



PISMO, KTÓRE CZYTA CAŁY ŚWIAT

Nr 10 (40) Październik 1954 r. Cena zł 2.50

Pierre Cot: Od Paryża do Maroka	2
S. Silverman: Bezpieczeństwo Europy	5
Ch. Bettelheim: Bezpieczeństwo i dobrobyt	7
Braterstwo francusko-wietnamskie	9
A. P. Lentin: Tunis i Maroko	13
NOWA POWIEŚĆ ILJI ERENBURGA: ODWILŻ (3)	20
Dr. Y. Martinet: Choroby nerwowe	45
J. Merrill: Tylko oczy matki (nowelka)	53
Alberto Cavalcanti o filmie	63
Prof. D. N. Lewitow: Wybór zawodu w ZSRR	71
Tsi Pai-cze — wielki malarz chiński	76
Miasto — odbicie cywilizacji	81
Czy można sztucznie stworzyć życie?	90
Teri Horvath	93
R. Deperasiński i dr J. Meduski: Rejs Pokoju	99
K. Zarewicz: Kartki z notatnika	106
Władysław Szerbic: Wspólna sprawa	115
Uchwały Biura Światowej Rady Pokoju	118
Stefan Litauer: Fakty i komentarze	120

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCOW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 53

Telefony: Redaktor Naczelny 662-01

Sekretarz Redakcji 65-184

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 824-11.

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 7,50 zł

półrocznie — 15,00 zł

rocznie — 30,00 zł

**Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy
pocztowe i listonosze wiejscy**

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa“, W-wa, al. Jerozolimskie 125

**Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są do-
puszczalne tylko za podaniem źródła: „W Obronie Pokoju“**

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR), *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argentyna) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

PIERRE COT

TYM razem kierujemy nasze spojrzenie ku Europie i ku Afryce Północnej. Francuskie Zgromadzenie Narodowe odrzuciło olbrzymią większością głosów projekt ratyfikacji ustawy o „europejskiej wspólnotie obronnej”; zatwierdzony został również wniosek premiera Mendes-France’a, proponujący odroczenie dyskusji nad francuską polityką zagraniczną do dnia 3 listopada br.

Klęska autorów projektu „europejskiej wspólnoty obronnej” doprowadzi stopniowo — miejmy nadzieję — mocarstwa zachodnie do bardziej zdrowego i realnego spojrzenia na wielki problem, jakim jest bezpieczeństwo europejskie.

Oczywiście — nie obejdzie się bez trudności! Jest rzeczą prawdopodobną, że fanatycy „małej zorganizowanej Europy” będą dążyć do uchwalenia nowej „alternatywy” tej „europejskiej wspólnoty obronnej” i jest — niestety — możliwe, że premier Mendes-France, chcąc za wszelką cenę utrzymać się przy władzy, przygotowuje się do tej niebezpiecznej gry.

Ogłoszony po zakończeniu konferencji w Brukseli komunikat, bardziej lub mniej półoficjalne komentarze, które jej towarzyszyły, zadziwiający telegram premiera Churchilla do kanclerza Adenauera, rozmowy tego ostatniego z Mendes-France’em, podróż Mendes-France’a do Londynu, stwierdzenie, że nie wyrazi się zgody na „neutralizację” Niemiec i prowadzić się będzie wysiłki w kierunku „integracji” europejskiej — wszystko to jest bardzo znamienne, a nawet niepokojące; wszystko to wyraźnie wskazuje, że troski nasze jeszcze się nie kończą.

Można jednak i trzeba pozostać optymistą. Gdyby chciano utworzyć nowy projekt „europejskiej wspólnoty obronnej“, lub przyjąć Niemcy zachodnie do paktu atlantyckiego, wystąpiłyby te same zasadnicze sprzeczności — i to tym bardziej, że w najbliższej przyszłości gromadzić się będą powody do nowych nieporozumień i przyczyny do nieufności między bońskimi Niemcami a Francją...

Można zatem spodziewać się, że nadejdzie dzień, w którym przestanie się wysuwać problem pozorny, jakim jest bezpieczeństwo zachodniej Europy, by przystąpić do problemu istotnego, jakim jest bezpieczeństwo europejskie.

Nie można osiągnąć rozwiązania tego prawdziwego problemu, z którym łączy się sprawa jedności Niemiec, bez porozumienia między Związkiem Radzieckim a mocarstwami zachodnimi. Można kręcić i wykręcać tę sprawę na wszystkie strony — trzeba jednak tak właśnie ją rozwiązać — jeżeli pragnie się uniknąć wojny.

W obecnym stanie rzeczy porozumienie takie można osiągnąć jedynie na drodze wzajemnych ustępstw i kompromisów — podobnie, jak na podstawie kompromisu doprowadzono do porozumienia, kładącego kres wojnie w Wietnamie. Nie przestaliśmy się domagać tego kompromisu. Dalsze wydarzenia i wola narodów doprowadzi do narzucenia go w Europie, tak, jak narzuciła go w Azji.

* * *

Również drogą transakcji i kompromisu trzeba będzie przywrócić pokój w Afryce Północnej.

Nasi czytelnicy (a w szczególności nasi czytelnicy w Afryce) zechcą mi wybaczyć, że nie poświęcam temu ważnemu problemowi tyle czasu, ile na to zasługuje. Ewolucja w Afryce, tocząca się tam walka o pokój, wyzwolenie i niepodległość narodową to sprawy, które winny skupić na sobie całą naszą uwagę.

W Afryce, tak jak i w Azji, a być może jeszcze w większym stopniu aniżeli w Europie, rozgrywają się losy ludzkości, zarysowuje się jej przyszłość. Ale zmuszony do odłożenia do przyszłego numeru uwag, jakie pragnąłbym poczynić na łamach naszego miesięcznika, ograniczę się do przekazania krótkich myśli.

Pierwsza z nich wita małe światełko nadziei, jakie rozbłyśnięto w Tunisie. Podjęte przez Mendes-France'a rokowania z rządem tuniskim winny doprowadzić do zaprzestania ekspedycji karnych i aktów przemocy, które są zbyteczne i nie na czasie.

Wolno nam pod warunkiem — ALE JEDYNIE POD WARUNKIEM, że będziemy ją oceniać jako początek, jako pierwszy etap na drodze, wiodącej naród tuniski do niepodległości, wyzwolenia i wolności — pochwalać nową politykę francuską w Tunisie bądź w całości, czy

przynajmniej w jej koncepcji. To uznanie w zasadzie nie powinno osłabiać ani rezerwy, ani przede wszystkim czujności, która winna mu towarzyszyć.

Natomiast — i to będzie moja druga uwaga — należy ubolewać, że szef rządu francuskiego nie uznał, przynajmniej jak dotąd, za stosowne zmodyfikować polityki francuskiej w Maroku. Polityka ta pozostaje w sprzeczności z interesami narodu marokańskiego, z jego słusznymi dążeniami i — w ostatecznym rachunku — ze sprawą pokoju.

Jest to polityka niesprawiedliwa, brutalna i ślepa. Prowadzi się ją za podszeptem wielkich francuskich kolonistów. Jej narzędziem jest ów osławiony pasza Marrakeszu, który był zawsze — w najgorszym tego słowa znaczeniu — kollaborantem tych wielkich kolonistów i który marzy o roli Quislinga. Polityka ta wykorzystuje lokalne rywalizacje i spory w sposób jak najbardziej niebezpieczny. *

W ciągu ubiegłych miesięcy Francja umiała znaleźć drogę do pokoju w Azji; w Brukseli uniknęła ona najgorszego; dała dowód rozsądku w Tunisie. To dobrze! Ale czas już, by wykazała nieco umiejętności przewidywania w Maroku, gdyż wszędzie — od Brukseli do Casablanki, od Genewy do Tunisu — winniśmy prowadzić tę samą walkę o odprężenie sytuacji międzynarodowej, o pokój i o wyzwolenie narodów.



Problem BEZPIECZEŃSTWA EUROPEJSKIEGO

SYDNEY SILVERMANN

WZASADZIE problem bezpieczeństwa europejskiego nie różni się od problemu bezpieczeństwa światowego. W zasadzie — jakkolwiek niestety nie w rzeczywistości — problem bezpieczeństwa światowego został rozwiązany. Organizacja Narodów Zjednoczonych stanowi tak z ducha, jak i z litery system bezpieczeństwa światowego, oparty na dobrej woli wszystkich narodów — niezależnie od dzielących je różnic społecznych, politycznych, czy gospodarczych — odrzucenia wojny jako broni lub narzędzia ich polityki narodowej i przyłączenia się do wszystkich innych narodów w celu nie dopuszczenia do pogwałcenia pokoju przez jakiegokolwiek państwo.

Nie można zapewnić pokojowego współistnienia między narodami bez rozwiązania problemu Niemiec. Nie może istnieć pokojowe współistnienie między narodami świata, jeżeli

nie ma pokojowego współistnienia w Europie. Niemcy znajdują się w sercu sytuacji, tak jak często się to zdarzało w toku historii.

Niemcy są paradoksem. Z jednej strony jedność Niemiec jest koniecznością dla Niemiec, dla Europy i dla świata — jest ona koniecznością polityczną, koniecznością gospodarczą i koniecznością moralną.

Z drugiej strony nigdy jeszcze nie było takich zjednoczonych Niemiec, które by nie budziły strachu i niechęci u wszystkich ich sąsiadów, lub które by rzeczywiście swoją postawą nie zagrażały śmiertelnie pokojowi światowemu. Ten punkt widzenia na Niemcy z równą siłą przejawia się we Francji i w Belgii, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii i w Związku Radzieckim.

Absurdem jest przypisywanie tej tragicznej sytuacji przyczynom rasowym. Jest ona bezpośrednim resulta-

tem historii. Jedność Niemiec uczyniła się w jak najgorszy sposób. Bismarck wykuwał ją we krwi, z bronią w ręku i kłamstwem na ustach. Zrodziła się ona ze zwycięskich napaści Prus na Danię, na Austrię, na Francję.

Umożliwiła ona pruskiej kaście wojskowej osiągnięcie wszechmocnej władzy w Europie na pięćdziesiąt lat. Również tyrańskiej władzy nad samym narodem niemieckim, bowiem jedność, osiągnięta przy pomocy siły, odnosiła się do tej siły z uwielbieniem nawet po powtarzających się katastrofach. A jednak istnieją wysoko postawieni głupcy, którzy uważają, że warto mówić dzisiaj Niemcom, iż Adenauer jest największym niemieckim mężem stanu od czasów Bismarcka!

Jest więc jasną rzeczą, że stoi przed nami zadanie rozwiązania tego paradoksu, znalezienia sposobu zjednoczenia Niemiec metodami pokojowymi, drogą porozumienia, drogą układu, którego postanowienia zadowolą nieuniknione dążenie do zjednoczenia, ale — z jednej strony nie oddając władzy w ręce militarystów i imperialistów w Niemczech zachodnich, ani z drugiej strony — nie budząc strachu we wszystkich ich dawnych ofiarach.

Nie znaleziono dotychczas żadnego tego rodzaju rozwiązania. Jasne jest jednak to wszystko, co rozwiązania **nie** daje — tworzenie w świecie dwóch bloków narodów, obawiających się jeden drugiego: utrzymywanie rozbitych Niemiec; zbrojenie po zęby każdej z tych części; wcielenie jednej czy drugiej części do takiego czy innego bloku — dopro-

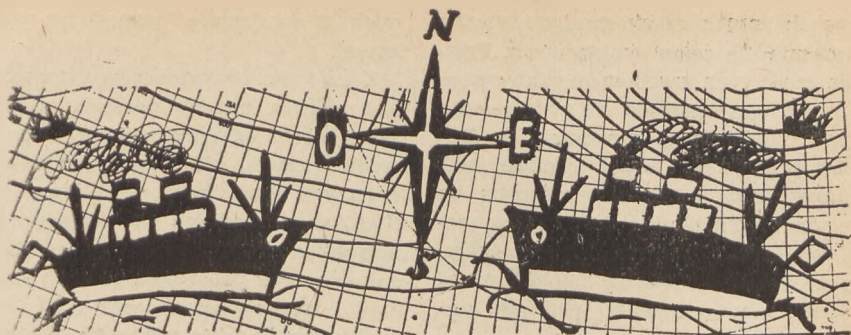
wadziłoby to bowiem do tego, że jedność Niemiec, jakkolwiek tak bardzo potrzebna, mogłaby zostać osiągnięta jedynie w drodze wojny światowej.

Nie jest to polityka godna prawdziwych mężów stanu — jest to polityka rozpacz. Oznacza ona porzucenie wszelkiej nadziei zachowania pokoju, wszelkiej nadziei uratowania cywilizacji, wszelkiej nadziei na zachowanie życia ludzkiego na ziemi. Dojdzie bowiem do tego szaleńczego kroku, jeżeli nie znajdzie się żadne inne rozwiązanie.

Genewa pokazała, że jeżeli narody pragną się porozumieć, znajdują one sposób dojścia do porozumienia. Jeżeli zaś chodzi o ten problem, może nastąpić tutaj albo porozumienie, albo ostateczna katastrofa. Niechaj ci, którzy chcą katastrofy, o ile tacy ludzie istnieją, odejdą.

Ale niechaj wszyscy inni ludzie zbiją się na nowej konferencji z wola doprowadzenia do rezultatów, tak, jak doprowadziła do nich Genewa. Obie strony będą musiały dokonać prawdziwych ustępstw. Zachód będzie musiał zahamować swoje obecne plany, a Wschód — zgodzić się na powszechne wybory, wolne i kontrolowane, niezależnie od tego, jakie przyniosą one wyniki.

Zjednoczenie Niemiec drogą porozumienia się całej Europy z przyrzeczeniem nie zawierania z żadnym państwem układów wojskowych, które by nie były dostępne dla wszystkich innych krajów, stanowiłoby olbrzymi krok ku pokojowemu współistnieniu, które jest wstępnym warunkiem prawdziwego i trwałego pokoju.



Bezpieczeństwo i dobrobyt

CHARLES BETTELHEIM

*Profesor Ekonomii Politycznej w Instytucie Studiów Wyższych
w Paryżu*

JESLI zastanowić się nad tym, jakie mogłyby być ekonomiczne reperkusje utworzenia europejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego, dochodzi się do wniosku, że reperkusje te byłyby zarazem bardzo liczne i niezwykle doniosłe. Jest oczywiście rzeczą niemożliwą roz-
wodzić się na tym miejscu szczegó-
łowo nad tymi reperkusjami — trze-
ba by poświęcić na to zbyt wiele
miejsca. Jest rzeczą pewną, że
wszystkie one sprzyjałyby postępo-
wi gospodarczemu i polepszeniu sy-
tuacji materialnej narodów Europy.

Można by określić charakter eko-
nomicznych konsekwencji stworzenia
tego rodzaju systemu bezpieczeń-
stwa zbiorowego, omawiając kolejno

reperkusje wewnętrzne, a następnie
reperkusje międzynarodowe.

Jedną z bezpośrednich konsekwen-
cji utworzenia takiego systemu bez-
pieczeństwa zbiorowego — wewnątrz
gospodarki narodowej każdego z po-
szczególnych krajów Europy — by-
łoby umożliwienie podniesienia sto-
py życiowej.

Jak wiadomo, w związku z istnie-
jącym obecnie napięciem międzyna-
rodowym, większość krajów euro-
pejskich przeznacza na cele wojsko-
we poważną część ich dochodu naro-
dowego. Proporcja ta w Europie za-
chodniej sięga niewątpliwie blisko
15%. Kładąc kres napięciu sytuacji
międzynarodowej, europejski system
bezpieczeństwa zbiorowego zwolnił-

by do innych celów zasoby używane obecnie dla celów wojskowych. Pewna część tych zasobów mogłaby więc zostać wykorzystana do podniesienia poziomu bieżącej konsumpcji, na budowę mieszkań, szkół, szpitali itd... Inną część tych zasobów można by wykorzystać dla produktywnego za-inwestowania kapitałów, co z kolei pozwoliłoby zwiększyć dochód narodowy, a w przyszłości podnieść poziom konsumpcji.

Jest rzeczą jasną, że tego rodzaju konsekwencje nie nastąpiłyby „automatycznie” w krajach Europy zachodniej; zależałyby one od skuteczności walki narodów o powrót do prawdziwie pokojowej gospodarki. Jednakowoż utworzenie europejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego jest w każdym razie najbardziej pewną drogą pokojowego rozwoju sił produkcyjnych.

Na arenie międzynarodowej, utworzenie europejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego pozwoliłoby na podjęcie na szeroką skalę wymiany handlowej Wschód — Zachód, co jest obecnie utrudnione ze względu na zakazy natury politycznej, które hamują tę wymianę.

Wiadomo, jak liczne wynikłyby korzyści z rozszerzenia wymiany handlowej Wschód — Zachód: możliwość zmniejszenia — a następnie zlikwidowania — deficytu dolarowego krajów Europy zachodniej, osiągnięcie równowagi w wymianie gospodarczej, regularne powiększanie zagranicznych rynków zbytu Europy zachodniej, która mogłaby korzystać ze stałego i szybkiego zwiększania chłonności rynków wewnętrz-

nych w krajach o gospodarce planowej.

Z tego punktu widzenia wymowna jest różnica między perspektywami, jakie otworzyłoby ewentualne utworzenie „małej Europy” (poddając kierownictwu wielkiego kapitału Niemiec zachodnich konkurujące z nim gospodarki Francji, Włoch i Beneluksu, oraz pociągając za sobą rozkład i marazm gospodarczy), a perspektywami, jakie otwiera utworzenie europejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego, w którym uczestniczyłyby wszystkie 32 państwa Europy.

Każdy z krajów uczestniczących w tym systemie, zachowując swoją pełną niezależność, mógłby swobodnie rozwijać swą wymianę handlową z wszystkimi innymi krajami i korzystać z części postępu gospodarczego, dokonanego w innych krajach.

Można nawet przypuszczać, że reszta świata szeroko korzystałaby ze stworzonej w ten sposób nowej sytuacji. Odnosi się to przede wszystkim do krajów gospodarczo zacofanych; może się to odnosić również do Stanów Zjednoczonych, gdzie gospodarka wojenna może pomóc w dojrzywaniu poważnego kryzysu, którego pierwsze oznaki już widać — ale to inna sprawa.

Reasumując, wydaje się rzeczą pewną, iż — w dziedzinie ekonomicznej — utworzenie europejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego pozwoliłoby zapewnić niezależność wszystkich krajów Europy i otworzyłoby drogę pokojowego rozwoju gospodarczego. Żaden mąż stanu nie ma prawa odrzucić takich perspektyw.

B r a t e r s t w o

FRANCUSKO-WIETNAMSKIE

KIEDY wiceprzewodniczący rządu Wietnamskiej Republiki Demokratycznej, Fam Van Dong, oznajmił w Genewie, że jego kraj zawsze zamierzał wchodzić w skład Unii Francuskiej, nie występując przeciw zasadom tego uczestnictwa, — wielu Francuzów, nawet tych, których uważa się za przyjaciół Wietnamu, nie ukrywało zdziwienia.

Nie mogą oni pojąć, że po ośmiu latach okrutnej wojny, że po napalaniu i obozach dla internowanych Wietnam daje wyraz uczuciom przyjaźni wobec Francji.

„Jest to sytuacja paradoksalna“ — piszą gazety. Podczas gdy sklecony przez Francję rząd Bao Daja, wywiesza w Sajgonie hasła antyfrancuskie przetłumaczone na język angielski po to, by afront ten był jeszcze dotkliwszy, na całym terytorium wietnamskim ludność za zachętą legalnej lub półlegalnej administracji rządu Ho Szi Mina daje wyraz prawdziwej życzliwości dla Francji, wyrażającej się nawet w zbiorowych gestach przyjaźni wobec jednostek korpusu ekspedycyjnego 1).

Amerykańscy korespondenci obsługujący konferencję w Trung-Gia, którzy mieli sposobność obserwowania rokowań w Panmundżon w Korei, nie omieszkali podkreślić różnicy między zachowaniem się północnych Koreańczyków a zachowaniem Wietnamczyków. Tam — nieukrywana wrogość i nienawiść do Amerykanów. Tutaj — ze strony Wietnamczyków przyjęcie najpierw pełne rezerwy, a niebawem przyjazne.

Natychmiast w umysłach paru polityków pojawiło się pierwsze wytłumaczenie tego faktu: wykryli oni, że rząd Ho Szi Mina postępuje niezwyczajnie zrećcznie, oświadczając się za przyjaźnią. Stara się uspić naszą czujność.

Tłumaczenie to napotyka na przeszkody. Zdarza się, że rząd oszukuje swój kraj — ale jakież rząd zdołałby przekonać swój naród, by przedstawiał życzliwość dla obcej armii, wczoraj jeszcze wrogiej, nadal przebywającej w kraju?

A oto drugie wytłumaczenie, związane tym razem z wielką polityką: rząd Ho Szi Mina miałby się posługiwać Francuzami, jako przeciwwagą

wobec Chin. Argument ten świadczy o poważnej nieznajomości ewolucji azjatyckiej w ciągu pięciu ostatnich lat, a przede wszystkim wpływów, jakie kraj nasz posiada jeszcze na tym obszarze.

Przypuściwszy nawet, że Ho Szi Min miałby powody, by obawiać się czegośkolwiek ze strony Chin (czego mianowicie?), któż może utrzymywać na serio, że Francja mogłaby tutaj coś zrobić?

Trzeba skończyć z tymi bzdurami. Jedno jest tylko wytłumaczenie postawy rządu i narodu wietnamskiego — jest nim prawdziwa przyjaźń narodu wietnamskiego dla narodu francuskiego. Czy naród francuski jasno zdaje sobie z tego sprawę?

ROK 1789

Nie jest rzeczą przypadku, że Konstytucja Wietnamskiej Republiki Demokratycznej czerpie z różnych konstytucji francuskich, a przede wszystkim z Deklaracji Praw z 1789 roku. Rzeczywiście po upadku oporu mandarynów przeciw podbojowi, kiedy walka o niepodległość przybrać musiała, jeżeli nie formę konstytucyjną, to przynajmniej półlegalną, patrioci wietnamscy uznali „zasady z 1789 r.“ za podstawę dla swoich żądań.

Nie przeszkodziło to uwięzieniu ich, bowiem kolonialiści ogłosili dekretem, że „rewolucji francuskiej nie eksportuje się do kolonii“. Czy nie ona pierwsza ogłosiła prawo ludów kolonialnych do niepodległości?

Petycje, legalne i podziemne gazyety, jawne lub tajne zgromadzenia,

cały walczący naród wietnamski w okresie 1910—1940 r. odwołuje się stale do programu z 1789 r. W Sajgonie i Hanoi można było zaobserwować w sierpniu 1945 r. widoczny przykład tego zjawiska. Wietnamczycy, usuwając z ulic nazwy „ślaw“ kolonialnych, nazwali dwie główne arterie w tych miastach „Ulicą imienia 1789 r.“ Sto pięćdziesiąt lat przed nimi uczynili to samo powstańcy na San Domingo.

PÓŁWIECZNA SOLIDARNOŚĆ

Przykład i nauki Wielkiej Rewolucji byłyby wystarczająco dla zapewnienia narodowi francuskiemu szacunku narodu wietnamskiego. Jednakże głęboką przyczyną jego przyjaźni dla narodu francuskiego jest solidarność, okazywana przez naród francuski narodowi wietnamskiemu przez cały okres jego walki o niepodległość.

Ta solidarność przechodziła okresy wzlotów i upadków, a dopiero niedawno przyniosła pełne rezultaty. Ale oddać trzeba narodowi francuskiemu, że trzymał stronę niepodległości skolonizowanego „w jego imieniu“ narodu. Z wyjątkiem narodu radzieckiego jest to taki tytuł do chwały, jakim żaden inny naród nie może się poszczycić.

Z początkiem podboju francuscy mężowie stanu i politycy, jak Guesde, Laffargue, Pressenssè, Jaurès potępiają ekspedycję i organizowanie kolonii w Indochinach. W prasie socjalistycznej i anarchistycznej

nej z tamtych czasów (1880—1919 r.) często porusza się temat jedności działania narodów kolonialnych i narodu kolonizatorskiego przeciw ich wspólnemu wrogowi — reakcji społecznej.

Zapewne, chodzi tutaj jeszcze o wyłożenie zasad, co nie może mieć żadnego wpływu na przebieg kolonizacji. Istotnie wystąpienia te mają takie tylko znaczenie, że krępują rządy metropolii, przygotowując przesunięcie opinii francuskiej ku lewicy po pierwszej wojnie światowej, kiedy to zwiększyły się szeregi partii socjalistycznej, komunistycznej, radykalno - socjalistycznej i ruchu chrześcijańskiej demokracji.

Pierwszym, mało znanym zwycięstwem, ale które miało znaczenie dla Wietnamu, było powstrzymanie prześladowań przeciw caodaistom. Wiadomo, że religia Cao Dai była jedną z form, jaką w latach 1927-1930 przybrał wietnamski ruch narodowy.

Władze francuskie w Indochinach rozpętały okrutne represje przeciw caodaistom. Liga Praw Człowieka we Francji zaalarmowała opinię publiczną i rząd zmuszony był ustąpić przed kampanią protestów i manifestacji.

Ale uderzającym dowodem solidarności obu narodów w latach międzywojennych był cios, zadany kolonializmowi przez powstanie we Francji Frontu Ludowego. Wydarzenia, jakie zaszły w Wietnamie od 1930 r. wstrząsnęły opinią publiczną — od upadku powstania w Yen-Bay (1929 r.) władze kolonialne stosowały represje, które pod pretekstem wykorzenienia komunizmu zmierza-

ły do stłumienia narodowego ruchu wietnamskiego.

Opinię francuską zaalarmowała prasa lewicowa od „Humanité“ po prasę radykalną, jak również „SOS Indochiny“ pióra pani Andree Violis. W tych więc latach trzydziestych obserwowaliśmy zadziwiającą solidarność między obu narodami. Kryzys gospodarczy obniżył stopę życiową. Francji groził faszyzm — w Wietnamie represje policji osiągnęły swoje szczytowe nasilenie.

Zwycięstwo Frontu Ludowego we Francji natychmiast odbiło się na losie Wietnamu, przynosząc pierwsze, co prawda ograniczone, wybory, do władz miejskich, następnie pierwsze swobody obywatelskie, związkowe, wolność prasy. Z chwilą upadku Frontu Ludowego zdobycze te również przestały istnieć, a wojna 1939 roku posłużyła za pretekst do rozpętania nowej fali represji, trwających do 1945 r., a przejętych przez Japończyków na ich własny rachunek.

1945 — 1954 R.

Przed paroma tygodniami, przyjmując komisję przedstawicieli państw neutralnych w Thai Nguyen, mającą za zadanie kontrolowanie rozejmu, Ho Szi Min powiedział, że „Wietnam dziękuje narodowi francuskiemu, który walczył i którego wysiłki przyczyniły się w znacznej mierze do przerwania działań wojennych“.

W kilka miesięcy po wybuchu wojny, ten sam Ho Szi Min zwracał się do swego narodu: być może będziemy musieli walczyć dziesięć lat, ale

z pomocą postępowych sił ludzkości, a w szczególności narodu francuskiego osiągniemy zwycięstwo, to znaczy naszą niepodległość.

W osiem lat później prezydent Ho Szi Min mógł sobie powinszować zaufania, jakim obdarzył swój naród i naród francuski. Może sobie powinszować, że nie dał posłuchu ofertom, wysuwanym od 1946 r. przez Waszyngton — tym samym, jakie przyjęli Indonezyjczycy i które omal nie kosztowały ich niepodległości — przy pomocy których Stany Zjednoczone chciałyby usunąć z Wietnamu Francuzów.

Osiem lat trwała wojna w Wietnamie, ale również i we Francji. Zapewne, nie można porównywać ceny zapłaconej przez jeden i przez drugi naród. To nie ulega wątpliwości. My Francuzi mamy sobie wiele do wyrzucenia. Nieopatrznie dopuściliśmy do wybuchu konfliktu. Zbyt długo zdawaliśmy się na rządy, które nas okłamywały.

Ale z chwilą, gdy naród francuski dowiedział się prawdy, z chwilą, gdy naprawdę uświadomił sobie dramat

wietnamski i swoją odpowiedzialność, wówczas zrodziła się nieustannie wzmagająca się akcja, jedyna — jeżeli chodzi o jej zasięg — w historii naszego kraju i jedyna również w historii jako przejaw solidarności między narodami kolonizatorskimi i kolonialnymi. Genewa i pokój — oto ukoronowanie tych wysiłków.

* * *

Oto — bardzo pobieżnie naszkicowane — prawdziwe powody, dla których Wietman nie może i nie chce oddzielić się od Francji. Oba narody są od półwiecza sprzymierzeńcami w tej samej walce. Miały one zaszczyt odegrać wspólnie w ciągu ostatnich miesięcy decydującą rolę w zachowaniu pokoju. Nic nie może obalić ich braterstwa.

1) Max Clos, specjalny korespondent dziennika: „Monde“ w Sajgonie, pisał dla swojej gazety („Monde“ z 6 sierpnia): „Jednakże Francuzi nie doznają przykrości a nawet spotykają się oni z przejawami życzliwości. Dzieci ofiarowują żołnierzom bukiety czerwonych kwiatów. Widuje się żołnierzy, holujących ucepionych do ich rąk małych chłopców. Na drogach rozwieszono transparenty z napisami: „Niech żyje pokój! Niech żyje prezydent Ho Szi Min! Niech żyją Francuzi!“





ALBERT - PAUL LENTIN

JESZCZE do niedawna sytuacja w Afryce Północnej nieustannie ewoluowała w kierunku wzajemnego usztywnienia stosunków między dwoma odłami ludności. Z jednej strony — u autochtonów — widzimy, jak masy muzułmańskie (przy czym kobiety i ludność wiejska zajmuje w tym bynajmniej nie poślednie miejsce) coraz bardziej aktywnie popierają

walkę, jaką toczą bojownicy ruchów narodowo-wyzwoleńczych i poszczególne reprezentujące je partie (Stary Destur, Neo Destur i Partia Komunistyczna w Tunisie, M.T.L.D., U.D.M.A. i Partia Komunistyczna w Algierze, Istiqlal, Demokratyczna Partia Niepodległości i Partia Komunistyczna w Maroku), politycznie rozbite, ale zjednoczone co do swoich głównych celów.

Ze strony europejskiej wielcy kolonizatorzy sprawują ze wzrastającą brutalnością władzę absolutną, opierając się na wielkich i małych feudalach (kaidach i paszach w Maroku, agliasach i baszasghasach w Algerze, szejkach i kalifach w Tunisie), gdy tymczasem całkowicie ulegająca im administracja coraz mniej się liczy z punktem widzenia i życzeniami Paryża.

Walka narodowo-wyzwoleńcza i represje

W Maroku, gdzie po generale Guillaume urząd Rezydenta Generalnego objął Francis Lacoste, wielcy kolonizatorzy zamierzają werbować lokalne posiłki do „Sił Porządkowych“, oraz przekazać straż i nadzór nad dzielnicami tubylczymi „posiłkom marokańskim“ — „mokhzanisom“, najczęściej należącym do plemion górskich, bardziej lub mniej wiernych paszy Marrakeszu El Glaui.

Owi „mokhzanisowie“ są uzbrojeni i wyćwiczeni przez żołnierzy europejskich (żandarmów, straż. strzelców, Legię Cudzoziemską), a dokonywane przez nich gwałty i ich okrucieństwo (rewizje, kontrolowanie „podejrzanych“ itp.) powodują, że otacza ich wzrastająca nienawiść ludności.

W Algerze jedynie obecność szczególnie dobrze wyćwiczonych oddziałów „Sił Porządkowych“ tłumaczy pozorny, zwodniczy spokój, panujący w tym kraju. Nadal stosuje się re-

presje. Więzienia pełne są więźniów politycznych, do których przyłącza się w Lamabese albo w Orleansville przewiezionych z Tunisu więźniów politycznych, z którymi ludność jawnie się solidaryzuje.

W Tunisie, kiedy ekstremiści występują przeciw Rezydentowi Generalnemu Voizardowi, uważanemu za „zbyt miękkiego“, europejscy przywódcy reakcji, odpowiedzialni już za zamordowanie (a ciągle jeszcze bezkarni) przywódcy związkowego Ferhata Haszeda, mnożą teraz „bezpośrednie akcje“, zabijając lekarza Beya i nie wahając się przed otwarciem ognia do Tunezyjczyków, siedzących na tarasie maurytańskiej kawiarni.

Odpowiedziały na to grupy Tunezyjczyków, postępując w ten sam sposób, a mianowicie ostrzeliwując gości w kawiarni (zamach w Ferryville). Widzimy jak coraz szybciej toczy się piekielne koło ataków i represji, „zamachów i przeciw-zamachów, terroru i kontr-terroru.

Jednocześnie po raz pierwszy występuje zbrojna forma ruchu oporu. Tworzą się grupy bojowe, powstańcy wdziewają mundury. Rekrutują się oni przeważnie ze zbiegów, lub ocalałych z obozów dla internowanych i z setek „podejrzanych“, którzy zeszli w podziemie, by ująć policji. Są oni wyposażeni w znacznie mniej-szym stopniu w broń pochodzenia zagranicznego, a w szczególności libijskiego, jak zapewniają oficjalne władze, aniżeli w staroświecką broń z magazynów, porzuconych przez cofające się wojska Afrika-Korps w 1943 r.

„Fellaghowie“, jak ich (pejoratywnie) nazywają w Urzędzie Rezydenta — słowo to oznacza po arabsku „obieżyświat, ścigany przez prawo“ — działają nie tylko na południu, ale na obszarach Kefu i Kasserine, w nadbrzeżnych wsiach północnych i aż po granicę algersko-marokańską. Operacje wojskowe o dość szerokim zasięgu przeciw „Fellaghom“ przynoszą w rezultacie „potyczki“ podobne do tych, od jakich w lutym 1952 r. popłynęła krew w Cap Bon i w Sohel. Krótko mówiąc, Tunis znajduje się u progu partyzantki, jeżeli nie wojny, co przypomina niektórym obserwatorom początek znanych wydarzeń w Indochinach.

W Maroku sytuacja jest niewiele mniej poważna. Mnożą się zamachy, wymierzone przede wszystkim przeciw marokańskim kolaborantom (policia pomocnicza, „mokhzanisi“, szefowie dystryktów, Ulemowie lub Fqihis — dostojnicy religijni, zbyt posłuszni podszeptom Glaui), ale czasem także przeciw Europejczykom (komisarz rządowy Monnier, generał d'Hauteville, cywilny kontroler Thivent, a w Casablance dr Eyraud, dyrektor „Vigie Marocaine“ i wielki agent grupy gospodarczej i finansowej, zwanej „grupą Mas“).

Mimo, że Maroko, kraj jeszcze feudalny, pozostaje w tyle za Tunisem, również i tam organizuje się akcja o charakterze ściślej już politycznym — strajki, bojkot kupna, bojkot tytoniu, a w sposób bardziej powszechny — produktów europejskich w ogólności.

W tej walce politycznej pierwszorzędą rolę odgrywa sprawa dyna-

styczna, związana z konsekwencjami zamachu stanu z sierpnia 1953 r. (usunięcie na rozkaz min. Bidault prawowitego sułtana i zastąpienie władcy „sułtanem Francuzów“ Ben Arafą).

Prawowity sułtan Mohammed Ben Yussef, którego kolejno deportowano na Korsykę, a potem na Madagaskar, staje się dla narodu marokańskiego w coraz większym stopniu symbolem walki narodowej z represjami i dążeniami Maroka do suwerenności. Ruch narodowy jednogłośnie domaga się jego powrotu na tron.

Inicjatywa premiera Mendes-France'a w Tunisie

Powaga sytuacji wywołuje wśród Europejczyków interesującą ewolucję. Pewien odłam opinii publicznej, znajdujący się jeszcze w mniejszości, ale stale wzrastający, złożony z socjalistów, komunistów, postępców, chrześcijan (szczególnie w Maroku), liberałów wszelkich odcieni — przyłącza się do francuskiej opinii publicznej i powołuje się na Prawa Człowieka, na zasady naszej demokracji i prostego poczucia człowieczeństwa, by zaprotestować przeciw represjom, by potępić „terror, niezależnie od tego, skąd przybywa“ i by domagać się od Francji nawiązania rozmów z prawdziwie reprezentatywnymi przedstawicielami ludności muzułmańskiej.

Osobistości reprezentujące wszystkie koła polityczne w Tunisie i Maroku występują w takim właśnie duchu. Z drugiej strony osobistości

te po raz pierwszy grupują się i koordynują swoją działalność (utworzenie grupy „Conscience Française” w Maroku), podczas gdy dotąd takie ruchy jak „Rassemblement” senatorów Colonna i Casablanca w Tunisie, lub jak „Unia na rzecz obecności Francuzów” w Maroku, bezpośrednio finansowane i kierowane przez wielkich kolonizatorów, przywłaszczały sobie monopol organizacji politycznego życia w tym kraju, utrzymując, że przemawiają w imieniu wszystkich Francuzów.

Z drugiej znowu strony w łonie samej „Wspólnoty Europejczyków” w Afryce Północnej siły bardziej postępowe mocniej związane z kapitałem przemysłowym, aniżeli z agrarnym feudalizmem, doprowadzone z tego tytułu do współpracy — przynajmniej w sferze interesów — z bogatą burżuazją muzułmańską i wreszcie bardziej liczące się z rzeczywistą sytuacją międzynarodową, a w szczególności z rzeczywistością amerykańską, zmuszone są do zajęcia stanowisk mocno różniących się od tych, jakie zajmują wielcy obszarnicy, a bardziej ogólnie przedstawicieli „starych kolonizatorów”.

Antagonizm ten uwidacznia się w Maroku, gdzie grupa Waltera, właściciela kopalń w Tellidża i dziennika „Maroc Presse” przeciwstawia się grupie Mas w Algerze, gdzie senator Borgeaud musi ustąpić miejsca „Królwi Alfa” Blochette i jego przedstawicielowi politycznemu Jacques Chevalier, nowemu sekretarzowi stanu w ministerstwie wojny Tunisu, wreszcie gdzie gaullista Perusel trzyma się z dala od senatora Colonna, podobnie jak Christian

Fouchet, obecny minister spraw tureckich i marokańskich.

Utworzenie gabinetu Mendes-France’a i sukces, osiągnięty przez francuskiego premiera w Genewie uczynią tę ewolucję bardziej konkretną i umożliwią siłom liberalnym we Francji ujęcie inicjatywy.

Za pośrednictwem dwóch posłów socjalistycznych najpierw André Philpa, a potem Savary, Mendes-France nawiązał rozmowy z przywódcą Neo Desturu, Habibem Burguibą, deportowanym najpierw na wyspę Galite na północ od Bizerty, potem na wyspę Groix w Morbihan, a wreszcie przeniesionym do Montargis w pobliżu Paryża.

Rezygnując ze swojego pierwotnego żądania utworzenia Tuniskiego Zgromadzenia Konstytucyjnego, Burguiba zgodził się wejść na drogę porozumienia, byle tylko Francuzi naprawdę uznali wewnętrzną autonomię Tunisu. Dotąd bowiem kolejne rządy bądź uznawały zasadę, gwałcąc jednocześnie jej zastosowanie w praktyce (Robert Schuman), bądź też głosiły antagonistyczną zasadę suwerenności francusko-tuniskiej (Bidault).

Uzyskawszy podstawy tego porozumienia, Mendes-France okazuje wyraźne zaniepokojenie. Korzysta z week-endu, by wybrać się z błyskawiczną wizytą do Tunisu. Czyta Belgowi orędzie, w którym wyraża wolę Francji przyznania Tunisiowi pełnej i całkowitej autonomii wewnętrznej. Rząd tuniski winien natomiast troszczyć się o interesy francuskie w dziedzinie dyplomatycznej, strategicznej, gospodarczej i kulturalnej, oraz chronić i gwarantować uprzy-

wilejowane położenie Francuzów, mieszkających w Tunisie.

W celu skonkretyzowania tych zasad utworzono nowy rząd, który zajmie miejsce rządu Mzali (zdyskredytowanego i zdymisjowanego i rozmawiać będzie z rządem francuskim na temat nowych umów francusko-tuniskich.

Podczas gdy przedstawiciele wielkich kolonizatorów dążą się na premiera — senator Colonna odmówił nawet spotkania z nim — wizyta Mendes-France'a podziałała na tuniską opinię publiczną, jak „wstrząs psychologiczny“. Po raz pierwszy przedstawiciel Francji został przychylnie powitany w tej cytadeli nacjonalizmu, jaką jest La Marsa.

W Genewie zebrało się biuro polityczne Neo Desturu w obecności Mongi Slima, który opuścił swą nadzorowaną rezydencję w Tunisie, i Salah ben Yussefa, który zagrożony wraz z innymi członkami gabinetu Szenika aresztowaniem, uciekł w 1953 r. za granicę.

Stały kontakt telefoniczny pozwalająca Burguibie brać udział w rozmowach, w wyniku których Neo Destur zamierza wejść do nowego gabinetu (będzie on ukonstytuowany po zmuśnionych rokowaniach przez „umiarkowanego nacjonalistę“ Tahara ben Ammar z udziałem byłego zastępcy sekretarza generalnego Neo Desturu, Hedi Nuira i dwóch oficjalnych przedstawicieli tej partii. Mongi Slima i Masmudiego. Dwaj ostatni, wraz z innym „umiarkowanym nacjonalistą“ Dżelluli będą mieli za zadanie przeprowadzić rokowania w

sprawie przyszłych umów francusko-tuniskich).

W ten sposób rozstrzygną się (w znacznym stopniu) w Genewie najbliższe losy Tunisu. Również w Genewie nawiązane zostaną kontakty pomiędzy wysłannikami rządu francuskiego i wysłannikami przywódców Istiqlal (przywódcy tej partii, spośród tych, którzy nie zostali aresztowani, znajdują się na wygnaniu w Kairze lub w Madrycie), by znaleźć rozwiązanie problemu tronu marokańskiego, rozwiązanie, które by pozwoliło rządowi „uratować twarz“, przywracając dawną dynastję.

Inne kontakty, nawiązane z Ben Yussefem pozwalają wysunąć na pierwszy plan wiele nadających się kandydatur — w szczególności kandydaturę drugiego syna sułtana i jego najstarszego syna Mulaya Idrisa — i dają wiele możliwości przystąpienia do nowej zmiany panującego.

W tym właśnie momencie nastąpiło zatrzymanie, albo raczej mocne szarpnięcie hamulcem. Wielcy kolonizatorzy przeszli do kontrofensywy.

Kontratak wielkich kolonizatorów

Zaskoczona inicjatywą Mendes-France'a w Tunisie grupa wielkich kolonizatorów próbuje najpierw „ograniczyć zakres szkód“. Jej przedstawiciele otwierają „ogień zaporowy“ w łonie samego rządu i po burzliwym posiedzeniu rady ministrów, na którym po dziesięć razy grożą podaniem się do dymisji, godzą się na powzięte decyzje tylko dlatego, że

je popiera marszałek Juin, towarzyszący nowemu Rezydentowi Generalnemu, powołanemu na miejsce Voizarda — generałowi Boyer de la Tour du Moulin.

Ten ostatni bez przerwy ściąga do regencji posiłki wojskowe. Z drugiej strony poleca on zmodyfikować konstytucję z czasów gabinetu Tahara ben Ammara, zmniejszając liczbę ministrów Desturu, wykluczając swoim veto pewne osoby, określone jako „ekstremiści“.

Dokonuje wreszcie poważnego kroku, uzyskując to, że pełna „tunizyfikacja“ rządu przeprowadzona zostanie dopiero po wejściu w życie nowych konwencji, a nie przedtem. Tak więc ministerstwo finansów, robót publicznych, poczta, nie mówiąc oczywiście o ministerstwie spraw zagranicznych pozostają w rękach wysokich funkcjonariuszy francuskich.

Neo Destur głosem swojego sekretarza generalnego Salaha ben Yussefa oraz i inne partie i organizacje Ruchu Narodowego (Stary Destur, Partia Komunistyczna, Centrale Związkowe USTT i UGTT) zgłaszają w tej sprawie wyraźne zastrzeżenia, ale jeszcze poważniejsze zastrzeżenia z ich strony wywołuje fakt, że jakkolwiek przygotowuje się w Tunisie „załagodzenie“, przedwczesną rzeczą byłoby jeszcze mówić o prawdziwym odprężeniu.

Stan oblężenia trwa nadal, jedynie garstka skazańców politycznych korzysta z amnestii, nie zatrudniono z powrotem robotników, usuniętych z pracy za strajki czy zlokautowanych, nie mówi się jeszcze ani o podniesieniu płac, ani o polepszeniu

niędznej sytuacji materialnej tuniskich robotników, wreszcie — jak już powiedzieliśmy — nadal napływają posiłki wojskowe.

Niemniej faktem pozostaje, że kraj odzyskał pewien spokój i że zrodziły się uzasadnione nadzieje. Nie można tego powiedzieć o Maroku, gdzie niektóre nadzieje, jakie mogły się tam zrodzić, w okrutny sposób zostały rozwiane.

Żywo atakowany w parlamencie przez przedstawicieli wielkich potentatów kolonialnych, a w szczególności przez Martinaud-Deplat w czasie gwałtownych dyskusji, Mendes-France energicznie bronił swojej polityki tuniskiej, ale ustąpił w sprawie Maroka, unikając poruszania problemu dynastycznego i robiąc aluzję jedynie do „obecnego sułtana“, jako możliwego rozmówcy w sprawie przeprowadzenia wspólnie pewnych potrzebnych reform.

W każdym jednak razie rozczarowanie mas narodu marokańskiego, które mocno wierzyły w nową politykę, wyraziło się nie tylko wzmocnieniem akcji politycznej (strajki w przedsiębiorstwach, strajki służby zatrudnionej u Europejczyków, defilady tłumów, niosących podobiznę Mohammeda ben Yussefa, kampania podpisów), ale również w gwałtownych manifestacjach, nieraz przekształcanych w rozruchy przez prowokatorów, których cała polityka polega na tym, by móc powiedzieć w Paryżu, że „każde popuszczenie cugli“ w Tunisie wywołuje poważne nieporządki w Maroku.

W Petitjean, gdzie zamordowano kupców żydowskich, policja, zazwyczaj tak chętnie strzelająca na chy-

bił trafił do uczestników pochodów jak to niedawno uczyniła w Casablanca i w Fezie, zużyła — jak wyznaje nawet półoficjalna agencja „France-Presse“ dwie godziny, by przybyć na miejsce wypadku.

W Port Lyautey pasza Senussi, kreatura Glaui'ego, nie waha się wydać swoim „mokhzanisom“ rozkazu, aby zmusili strajkujących kupców do otwarcia sklepików, wiedząc dobrze, że doprowadzi tym tłumy do rozpacz i tym samym samowolnie prowokując zamęt.

Krew płynie w Maroku. Codziennie wydłuża się lista zabitych i rannych. Ale nie zapowiada się żadnych politycznych posunięć, nie poczyniono żadnego kroku w kierunku odprężenia. Wprost przeciwnie, rezydencja znowu popierać zaczyna feudalną politykę Glaui'ego i inspirowane siły berberyjskich plemion na rzecz sułtana — uzurpatora Ben Mafa.

Na dzielnice tubylcze wielkich miast jak Petitjean, Port Lyautey, Fez, przeprowadza się akcje zbrojne, w których biorą udział samoloty wojskowe. Aresztuje się setki „podejrzanych“, a Ulemasów, zwolenni-

ków Mohammeda ben Yussefa, prześladowuje się jak złoczyńców.

Oto jak przedstawia się sytuacja w parę tygodni po podjęciu przez premiera Mendes-France'a inicjatywy w Tunisie, która spotkała się z uznaniem międzynarodowej opinii publicznej, włącznie z arabską i muzułmańską na całym świecie.

Dzisiaj Afryka Północna przeżywa zwrotny punkt swojej historii. Nigdy jeszcze walczący Ruch Narodowy i Wielka Kolonizacja, broniąca zaciekle i niemal rozpaczliwie swoich ostatnich pozycji, nie stanęły przeciw sobie w sposób tak ostry.

Jaką drogę obierze premier Mendes-France? Czy w przededniu nowej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, gdzie blok arabsko-azjatycki znowu zamierza wysunąć problem arabsko-afrykański, powróci do utartych ścieżek kolonialistów, czy też śmiało ruszy naprzód?

W każdym razie nie będzie mógł zbyt długo stosować polityki „liberalną“ zwanej w Tunisie, a jednocześnie polityki, zwanej „stanowczą“ w Maroku. Również w Afryce Północnej rządzić — znaczy wybierać.





ODWILŻ

ILJA ERENBURG

Ilustr. Jean Hugo

Streszczenie poprzednich rozdziałów

Dmitrij Korotiejew, inżynier w pewnej fabryce na prowincji, zabiera głos w dyskusji, krytykując nową książkę, która przedstawia osobiste życie rozchodzącego się małżeństwa. Jego pogląd różni się od zdania Leny, żony dyrektora Żurawlewa i całego grona słuchaczy, które sądzi, iż nie należy ignorować trosk ludzkiego serca. Lena i Korotiejew kochają się, ale nigdy sobie nie wyznali swoich uczuć.

Lena opuszcza Żurawlewa, którego karierowiczostwo i brak energii budzą w niej pogardę i przenosi się do lekarki Wiery Szerer. Wiera żyje samotnie. Odwiedza ją tylko główny konstruktor Sokolowski. Żona dawno go opuściła i wyjechała z ich córką do Belgii. Stąd być może milczące zachowanie tego kulturalnego człowieka, którego wszyscy szanują i boją się zarazem.

Wołodia powrócił z Moskwy, gdzie po otrzymaniu nagrody w dziedzinie malarstwa, wywołał skandal, krytykując niektórych wybitnych malarzy. Zamieszkał u swojego ojca, starego, chorego nauczyciela Andrieja Iwanowicza Puchowa. Siostra Wołodii Sonia zastanawia się, czy kocha młodego inżyniera Sawczenkę.

Gdy Żurawlewa mianowano dyrektorem zakładów, poprzednik jego Tarasiewicz, którego przeniesiono do ministerstwa, charakteryzując inżynierów, powiedział: „Sokołowski to człowiek z głową i dobry pracownik. Nie zwracajcie uwagi na jego złośliwości. Eugeniusz Władimirowicz lubi przygadać. Oryginał”. Żurawlew często przypominał sobie słowa Tarasiewicza. Nic nie ma oryginalnego w Sokołowskim, po prostu gbur na wielką skalę... Jeszcze niedawno Iwan Wasiliewicz poskarżył się Lenie: „Przychodzi Sokołowski i prosi żebym cofnął rozkaz zwolnienia Krapiewy, z jego żoną ponoć jest źle, jakiś tam system czynnościowy i tak dalej. Mówię do niego, że Krapiewa ma cztery nieusprawiedliwione spóźnienia, nie ma co tu stosować donkiszoterii. Więc wiesz co mi wygarnął? Pyta nagle: „Iwanie Wasiliewiczu, czyżbyście czytali „Don Kichota“? Nikt by was o to nie posadził”. Przy wszystkich. Ze jest bezczelny to bezsporne”. Żurawlew dawno pozbył się Sokołowskiego, ale wiedział, że w ministerstwie uważają go za dobrego konstruktora, znajdują się obrońcy, gładko to nie pójdzie. Iwan Wasiliewicz nie znoślił komplikacji.

Współpracownicy Sokołowskiego, jak i poprzedni dyrektor, uważali Eugeniusza Władimirowicza za dziwaka. Nawet powierzchowność jego była osobliwa: wysoki, za wysoki, wojskowa postawa, siwe włosy podstrzyżone na jeża, niebieskie oczy na twarzy koloru miedzi, tak że nawet w zimie wydaje się, że przyjechał z południa, na lewym policzku szrama, w zębach zawsze krótka w pogryzionym munsztukiem fajka, chociaż palił mało i wyłącznie u siebie w domu. Pracuje i milczy. Słucha jak Brainin sprzecza się z Jegorowem — czy Amerykanie poskromią Churchilla — i milczy. Wódkę pije i jednak milczy. Co prawda nikt specjalnie nie stara się wciągnąć go do rozmowy: może każdego dotknąć, ma ostry język.

Koledzy, którzy pracowali z Sokołowskim nie pierwszy rok, mało o nim wiedzieli. Mówiono, że pochodzi z Północy, ojciec jego był rybakiem; szramę ma z czasów wojny domowej; kocha muzykę, podobno interesuje się astronomią, miał rodzinę, ale żona nie mogła znieść jego charakteru i uciekła; w domu ma małego, bardzo złego pieska; trzy lata temu miał dostać nagrodę za wynalazek, ale ktoś ubiegł go. Na pewno wiedzieli jedno: przedtem pracował na Uralu, zwymyślał dyrektora, tamten zmieszał go z błotem; nawet w gazecie ukazał się felieton pod tytułem „Goły, ale sokół“, w którym pisano, że Eugeniusz Władimirowicz ubzdurał sobie, iż jest mędrcem, w rzeczywistości zaś to nieuk; sprawa była długo rozpatrywana w Moskwie, w wyniku czego Sokołowskiego przysłano tutaj.

Pośród różnych dziwactw, jakich Sokołowski posiadał nie mało, istniało jedno, chyba najmniej zrozumiałe: czasem pił wódkę z malarzem Puchowem i nawet zaszczycał swego kompana rozmową. Nic dziwnego, że Wołodźa cenił towarzystwo Sokołowskiego: młodemu Puchowowi wydawało się, że po Moskwie trafił na pustkowiu, mało tu ludzi o szerokich horyzontach, Sokołowski jest wyjątkiem. Ironiczne oczy właściwe Eugeniuszowi Władimirowiczowi, zachwycaly Wołodźę: uważał, że Sokołowski, podobnie jak on, patrzy na wszystko z góry. Sokołowski jednak widział dookoła siebie nie tylko zło, czasami cieszył się, nawet zachwycił się; w takich chwilach mrugał swymi niebieskimi oczami i ze złością pykał niezapałoną fajkę. Ale o tym nikomu nie mówił, uważając, że rzeczy dobre widzą wszyscy. Świństwa — to inna sprawa. Ludzie jak gdyby się umówili nie zauważać ich. A paskudztwa jeszcze jest, och, jak dużo. Właśnie dlatego Sokołowski lubił

„dotknąć do żywego“, co pociągało Wołodę. Jakżeż więc mógł Eugeniusz Władimirowicz sprzyjać młodemu Puchowowi, którego przejrzała na wskroś nawet naiwna Tanieczka.

Wołodę cechował silny duch przekory. Ojcu mówił, że nie istnieją ideały; w obecności Tanieczki naśmiewał się z miłości; widząc Saburowa atakował sztukę. Takim zagubionym, skromnym, jaki bywał w towarzystwie Sokołowskiego nie znali go ani jego rodzice, ani Tanieczka, ani moskiewscy przyjaciele. Wzruszył Sokołowskiego duchowym niezaspokojeniem, niepokojem. Gdy Eugeniusz Władimirowicz pewnego dnia wyraził chęć obejrzenia prac Puchowa, Wołodia zmieszany odpowiedział: „Za nic ich panu nie pokażę — to tandeta. Może uda mi się jeszcze zrobić coś naprawdę dobrego“. Tylko jeden raz Wołodia wywołał gniew Sokołowskiego, gdy powiedział: „Czym gorszy jest Żurawlew od Jegorowa, lub Brainina?“ Eugeniusz Władimirowicz krzyknął na niego: „Pan nie ma dwudziestu lat. Chce pan być cynikiem? To wstrętne rzemiosło, powiem wprost — kłozetowe. W starożytności cynicy gardzili dobrodziejstwami życia, wędrowali po świecie, mówili prawdę w oczy. Obawiam się, że pan nie gardzi dobrodziejstwami życia, lecz odwrotnie, gardzi porządnymi ludźmi, którzy umieją obejść się bez tych dobrodziejstw“... Wołodia zacerwienił się i po krótkim milczeniu przyznał, że Sokołowski ma rację: Wołodia czasem mówi głupstwa obliczone na efekt, pewne jest, że Jegorow i Brainin są uczciwymi ludźmi. Sokołowski odburknął: „No już dobrze, niech pan pije wódkę.“

Młody Puchow mógł się przekonać, że plotki na temat dziwactw Sokołowskiego nie są zbyt dalekie od prawdy. Piesek, który wabił się Fomka istotnie okazał się paskudny. Fomka nie tylko podarł nowe spodnie Wołodii, ale ugryzł go tak mocno, że Wołodia około tygodnia utykał na jedną nogę. Sokołowski uśmiechnął się: „On i mnie dwa razy złapał“... Wołodia kiedyś odważył się powiedzieć: „Dziwny charakter ma pana piesek. Zwykle psy nie ruszają swoich“... Sokołowski odparł, że znalazł Fomkę na ulicy, nie wie, jak żyło się mu przedtem, widać źle, przewrócono mu we łbie: „Przecież jest nadzwyczaj dobry, mnie uwielbia. Jest wspaniałym stróżem... Ale raptem nachodzi na niego zamroczenie, nie wie kogo przed kim ma bronić. Z ludźmi też tak bywa. Nawet często. Chcą pomóc i na swoich napadają“...

Prawdą okazało się i to, że Sokołowski lubi muzykę. Wołodia zaszedł doń kiedyś, Eugeniusz Władimirowicz siedział przy radioodbiorniku, nawet się nie przywitał. Nadawano Dziesiątą Symfonię Szostakowicza. Po zakończeniu audycji Sokołowski długo milczał i wreszcie powiedział do Wołodii: „Dobra rzecz — matematyka bezkresna“... I przez cały wieczór nie odezwał się ani słowem.

Wołodia widział na biurku Sokołowskiego książki najbardziej nieoczekiwane: wielki atlas astronomiczny, historię Indii, „Zagadnienia krystalografii“, wiersze Petrarki. Kiedy on ma czas na czytanie tego, zadawał sobie pytanie Wołodia i na co mu to wszystko? Na pewno nudzi się. Tak samo, jak ja... Sokołowski zdruzgotał go ostatecznie, gdy powiedział, że zaczął kuć angielski: „W szkole u nas był niemiecki. Mam ochotę przeczytać coś niecoś w oryginale“...

Uwadze Brainina nie uszedł ani jeden artykuł na temat sytuacji międzynarodowej; uwielbiał rozmowy o dyplomacji. Kiedyś nie widząc obok żadnego odpowiedniego rozmówcy, podszedł do Sokołowskiego: „Jak myślicie Eugeniuszu Władimirowiczu, czy francusko-amerykańskie rozbieżności mają, że tak powiem, realny grunt?“ Sokołowski uśmiechnął się: „Naumie Borysowiczu, wy powinniście wiedzieć to lepiej, wy przecież jesteście inter-

nacjonalistą. Francuzi powiadają: „Gdyby młodość wiedziała, gdyby starość mogła“. Wychodzi na to, że Amerykanie mogą, ale nie wiedzą, a Francuzi wiedzą, ale nie mogą“. Brainin nie rozumiał, jednak roześmiał się na wszelki wypadek.

Zdarzało się czasem, że Sokołowski zaczynał mówić pierwszy i wtedy było mu wszystko jedno kogo ma przed sobą — Brainina, młodego Puchowa, Żurawlewa, robotników. Było to wtedy, gdy wybuchał gniewem, oburzony źle wykonaną pracą, nieporządkiem lub bezdusznym stosunkiem do ludzi. Wymyślał wtedy organizatorowi związkowemu, postawił wniosek o stołówce dla robotników, a tam bałagan; i Żurawlewowi — domy na osiedlu nie dziś to jutro zawala się; i kierownikowi Klubu Dobrzyńskiego — ani koncertu nie urządzają, ani poważnego odczytu; gdy się tam zajdzie to albo referat Brainina i wszyscy śpią, albo piszczy patefon i trzy pary z nudów tańczą; i Łapuszkinowi — wypuszcza same braki, wstyd patrzeć, a potem myślą, że model jest zły; i dziennikarzom — opisali zakłady tak, jakby to były rajske ogrody, tylko patrzeć Iwanowi Wasiliewiczowi skrzydełka wyrosną. Z powodu takich właśnie uwag bano go się.

Ostatnio jakoś rzadziej napadał na ludzi i Żurawlew myślał z zadowoleniem: starzeje się Sokołowski, zmiękł... Przeczytawszy gazetę, Eugeniusz Władimirowicz teraz często mówił: „Słusznie napisane...“ Niedawno Jegorow poskarżył mu się na dyrektora: „Mówią: Wasiliew jest dla nas nieodzowny, a z Mamulianem w ogóle nie mam ochoty się rozstawać, trzeba stworzyć nowy etat. Sam on to wie, z chwilą, gdy zaczęliśmy wypuszczać automatyczne linie. Odpowiada jakby z nieba spadł, że nie ma zamiaru robić przedstawienia, należy skracać etaty, a nie rozdmuchiwać. Jakżeż więc sobie z nim poradzić?“ Sokołowski uśmiechnął się: „Żurawlewa, moim zdaniem, niedługo zdejmą ze stanowiska“. Jegorow ożywił się: „Słyszeliście coś na ten temat?“ Eugeniusz Władimirowicz pokiał głową: „Nic nie słyszałem. Ale jestem przekonany... Przeczytałem ostatnią uchwałę dwukrotnie. Wszystko jest absolutnie słuszne, co do obuwia, rondli. Chcą, żeby ludzie żyli...“ Jegorow zmieszał się: „Eugeniuszu Władimirowiczu, co to ma wspólnego?“... Sokołowski odparł: „Jedno wynika z drugiego“. I nie powiedział nic więcej.

Na ścianie u Sokołowskiego wisiała fotografia ładniutkiej dziewczyny. Intrygowała bardzo młodego Puchowa, lecz nie odważył się zapytać o to Eugeniusza Władimirowicza. Kławie, która przychodziła sprzątać jego pokój, Sokołowski powiedział pewnego razu: „To jest portret mojej córki. Nie widziałem jej dwadzieścia dwa lata“.

Eugeniusz Władimirowicz ożenił się w roku 1928 z ładną blondynką, studentką wydziału literatury, która miała na imię Maja. Usidliła go smutnym spojrzeniem i nieśmiałą marzycielskością. Czy była taka naprawdę, czy wydawała się Sokołowskiemu tak bardzo piękną? Wtedy pracował w jednym z moskiewskich zakładów przemysłowych, czasy były ciężkie, czasu na nic nie starczało i nie zauważył, jak nieśmiała marzycielka stała się krygującą się, krzykliwą kobietą. Ze zdziwieniem pytał: „Nudzisz się? A dlaczego nie pracujesz?“ Maja w odpowiedzi na to rozplakała się. Urodziła się córka i Sokołowski myślał, że jego życie rodzinne ułoży się. Ale Maja nie chciała się uspokoić; każdego wieczoru słyszał ciągle te same narzekania: przyjaciele Eugeniusza Władimirowicza — jeden nudniejszy od drugiego, to nie ludzie, ale maszyny i sam Sokołowski — nieczuły suchar; prawdziwe życie widziała tylko na jakimś tam amerykańskim filmie na wieczorku WOKS-u; musi oddać dziewczynkę swej matce i pojechać na Kaukaz; doktorzy mówią, że jej nerwy nie wytrzymają.



Po powrocie z Kisłowodzka oświadczyła mężowi, że po pierwsze mimo kąpiele nie doszła do zdrowia, oraz że przeżyła straszliwą tragedię; po drugie muszą koniecznie natychmiast się rozwieść, inaczej ona umrze lub trafi do kliniki dla nerwowo chorych; po trzecie poznała pewnego bardzo sympatycznego człowieka, teraz zajmuje się interesami, przyjechał po futra, ale posiada wyższe wykształcenie, jest adwokatem, oczywiście to nie komunista, ale sympatyzuje, papiery ma belgijskie, stale mieszka w Brukseli, ale jest Rosjaninem, jednym słowem zasięgnął już informacji, jej dadzą paszport zagraniczny, za tydzień wyjeżdża z nim do Belgii; oczywiście Maszeńkę oni zabiorą ze sobą, on uwielbia dzieci, dziewczynka otrzyma tam prawdziwe wykształcenie, w ogóle wszystko to wydźwię na lepsze Mai i Maszeńce, i Sokołowskiemu. Eugeniusz Władimirowicz poprosił o jedno: „Pisz mi co z Maszą...” Żona rozczerwieniła się i pocałowała go, zostawiając na nieogolonym policzku dwie czerwone kreski.

Gdy wyjechała, Sokołowski zrozumiał, że nie kocha jej, zresztą nie kochał nigdy. O niej nigdy nie wspominał, ale często Maszeńka stawała mu przed oczami. Początkowo Maja przysyłała mu regularnie pocztówki z widokami kościołów gotyckich i zamków, komunikowała, że Maszeńka jest zdrowa. Ostatnią pocztówkę otrzymał krótko przed wojną: Maja pisała, że Maszeńka bardzo kocha swego ojczyma, języka rosyjskiego nie zapominała, nazywają ją Mary, to ładniej niż Marie, w szkole uważana jest za jedną z lepszych, nie może napisać do ojca, ponieważ poszła do kina z nauczycielką. Sokołowski powiedział na głos „Mary” i sam drgnął od smutku, jaki zadźwięczał w jego głosie.

Przez wiele lat Sokołowski nie otrzymywał żadnych wiadomości, nie wiedział czy jego córka żyje. Przed trzema laty pewien inżynier, który jeździł z delegacją do Belgii, przywiózł Sokołowskiemu list od córki. Mary pisała, że matka jej umarła jeszcze w czasie wojny; w Belgii było okropnie, Rosjanie uratowali wszystkich i ona dumna jest z tego, że jest Rosjanką, studiowała na Uniwersytecie, ale rzuciła, zapaliła się do tańców plastycznych, wszyscy mówią, że posiada wielkie zdolności, tańce te dają jednocześnie rytm współczesności i plastykę starożytny Hellady; ma nadzieję, że kiedyś uda jej się odwiedzić Rosję i pokazać swe tańce; przyszłość należy oczywiście do Związku Radzieckiego, nie opuściła ani jednego rosyjskiego filmu, ani jednego referatu o życiu Rosjan, posyła ojcu dwa zdjęcia — na jednym sfotografowana, gdy była uczennicą, na drugim, młodszym, w stroju do ćwiczeń — to teraz w studium tańca plastycznego. Sokołowski ze złością schował tancerkę do szuflady biurka, długo z czułością i zdumieniem oglądał drugą fotografię, potem powiesił ją na ścianie i patrząc na nią za każdym razem dziwił się: niezrozumiałe, że ta dziewczyna o miłej twarzy jest jego córką, że ma na imię dławczegoś tam Mary i że nie mają ze sobą nic wspólnego. Odpisał córce, po roku przysłała krótki list: wyjeżdża do Paryża, bardzo się spieszy, jest bardzo zadowolona i na tym korespondencja się urwała.

Po nieudanym małżeństwie, Sokołowski z nieufnością odnosił się do siebie i gdy podobała mu się jakaś kobieta, przestawał się z nią spotykać. Przywiązał się do samotności, nie marzył ani o miłości, ani o przyjaciółni. Tak też dożył przeszło pięćdziesięciu lat, gdy w klubie zakładowym spotkał kobietę, która odebrała mu spokój jego duszy. Nie pamięta o czym właśnie mówił z Wierą Grigorjewną, gdy poznali się, zdaje się o muzyce Bacha. Wkrótce potem spotkał ją na ulicy i poprosił o pozwolenie odwiedzania jej. Zaczął przychodzić do niej, coraz dotkliwiej i dotkliwiej odczuwając nieprzepartą potrzebę ujrzenia uśmiechu rozjaśniającego jej surową twarz, usłyszenia cichego głosu, uczucia, że jest obok.

Cierpiał na bezsenność — zasypiał natychmiast, ale w środku nocy budził się, nie mógł ani zasnąć znowu, ani wstać i w godzinach tych przypominał sobie każde spotkanie z Wierą Grigorjewną, radości — obydwójce często ze zdziwieniem i uznaniem myśleli, że w ich sądach, gustach, upodobaniach jest wiele wspólnego — niedomówienia, nieporozumienia, jej opór, chłód, zmarszczone brwi i pełne pieszczoty oczy, gorące, niezrozumiałe, jak noc podczas burzy w końcu lata. Sokołowski długo nie zdawał sobie sprawy z tego, dlaczego pociąga go Wiera Grigorjewna, lecz pewnego razu, gdy obudził się na długo przed świtem, powiedział sam do siebie: ależ ona jest moją miłością, późną, jedyną. Całe życie marzyłem o niej, czekałem na nią. Nigdy jej tego nie powiem, przyjdę jutro lub za tydzień, będę milczał lub zacznę rozmowę o Żurawlewie, o życiu na Marsie, o Churchillu, o diable, wszystko jedno o czym, tylko tego nie powiem. Szczęście moje, mój wieczór, moja namiętność. Wiera — tak będę nazywał ją w myśli — jak się cieszę, że dożyłem poznania Ciebie...

Nie pozwalał sobie na częste odwiedzanie jej, bojąc się naprzykrzać i za każdym razem jakby duchowo się przygotowywał do tego spotkania, cieszył się i tęsknił, czuł, że nie ma nic cięższego od słów, które nie zostały wypowiedziane. Oto przyjdzie, posiedzi, potem Wierę wywołują do chorego, jeżeli zaś nie wywołają on wstanie — czas już iść, nie zatrzyma go i znowu tygodnie tęsknoty, namiętności, oczekiwania...

Dziś zauważył od razu, że przyszedł nie w porę. Wiera jest zdenerwowana i on się nawet nie dowie dlaczego, nie będzie mógł jej pocieszyć.

Powiedziała, że Fiedosjew umarł. Chłopiec Kudriawcewej ma się lepiej, matka cieszy się, a ona wie, że jest skazany na śmierć. Oczywiście poczyniono ostatnio wiele odkryć, a jednakże... Ludzie wierzą w medycynę, patrzą z nadzieją na lekarza, oczekują ratunku. Straszne jest poczucie własnej bezsilności... Sokołowski odpowiedział, że ludzkość dopiero zaczyna myśleć. Współczesnym wydaje się niemal cudem rozbicie jądra atomowego, dla potomnych zaś będzie to elementarną prawdą, jak odkrycie krzemienia i krzesiwa lub, jak wynalezienie koła. Jest stopniowanie, ruch naprzód, znaczy to, że jest nadzieja.

— To prawda, ale to abstrakcja — powiedziała Wiera Grigorjewna — ja jednak muszę mieć do czynienia z żywymi ludźmi. Chcę ich ratować i nie mogę. Pan mówił zeszłym razem, że interesuje Pana astronomia. Pomyślałam potem: temu można zazdrościć. Na pewno udaje się Panu czasem spojrzeć na nas z Marsa lub z Wenus. — Uśmiechnęła się — powinno to uspokajać.

— Ależ Wiero Grigorjewno. Akurat odwrotnie... Czyż gdy myślimy o nieskończoności, lub jeżeli pani woli o największej ze wszystkich danych liczb, jak nas uczono w szkole, chwila od tego staje się krótsza, biedniejsza? Moim zdaniem nabiera ona wiele więcej znaczenia i tym, że minie i tym, że za nią jest nieskończoność chwil, epoki, światy, życie.

Wiera Grigorjewna słuchała głosu Sokołowskiego, słowa do niej nie docierały. Przypomniła sobie niespokojne oczy Leny. Jakże mogłam jej nie zatrzymać? Straszliwie ciężko jest zrozumieć innego człowieka, trudniej niż dojrzeć morza na dalekiej planecie. Otóż Sokołowskiemu wydaje się, że powinien mnie pocieszać. Jak gdybym była Leną... Jakże to wszystko ciężkie i niepotrzebne.

— Ależ mrozy się trzymają — powiedziała niewiedomo dlaczego.

Skinął głową:

— Radio nadawało, że w nocy będzie trzydzieści pięć stopni.

Obydwójce milczeli. Sokołowski patrzył na Wierę Grigorjewną, nie mógł oderwać od niej oczu, chciał jej coś powiedzieć i wiedział, że nie powie; jego oczy niepokoiły Wierę Grigorjewną; sposepniała jeszcze bardziej.



Zabierał się już do wyjścia, ale nieoczekiwanie zaczął mówić.

— Pokazywano mi w ogrodzie botanicznym pewną roślinę, Pani na pewno wie — często hodują w mieszkaniach, w naszym klubie też jest — aloeś stuletni. Czytałem, że ma właściwości lecznicze. Więc do ogrodu botanicznego przyniósł go jeden pionier. Kupił małą doniczkę, żadnych kwiatów więcej nie miał. Wystarał się o książkę o kwiatach, tam powiedziane było, że aloeś rośnie na pustyni, tak, że podlewać należy go bardzo rzadko, ziemię ma mieć jak najgorszą. Chłopcu zrobiło się przykro, że nie może dbać o swój aloeś, plunął na książkę, przesadził, zaczął podlewać, użyźniać ziemię, jednym słowem postępował, jak z różą lub storczykiem, proszę sobie wyobrazić, staje się cud — aloeś tak się rozrósł, że nie mieścił się w pokoju, trzeba było odnieść go do ogrodu botanicznego, do oranżerii. Nie wiem dlaczego przyszło mi to do głowy... Niech się Pani nie gniewa, na pewno zmęczyłem Panią rozmową... Bardzo chciałbym zobaczyć Panią...

Wiera Grigorjewna odwróciła się, powiedziała głucho:

— Nie wierzę... Mówię o roślinie. Jeżeli przyzwyczaiła się do pustyni, takie warunki powinny były ją zgubić. Zresztą nie znam się wcale na botanice... Wybacz mi Pan Eugeniuszu Władimirowiczu, jestem bardzo zmęczona. Boli mnie głowa.

Wyszedł pośpiesznie. Była noc księżycowa tak mroźna, gdy oddech здаwałoby się od razu lodowacieje i gdy ptaki zamarzając w locie, padają kamieniem w dół. Pograżony w głębokim smutku Sokołowski szedł do siebie pustymi ulicami, zalanymi niepotrzebnym światłem; wargi jego poruszały się, z ust wydobywała się para. Co mówił i czy mówił w ogóle? Lub tylko poruszał wargami, cichy, smutny, bez marzenia i bez słów?

7.

Gdy skończyła się ostatnia lekcja, Lena zobaczyła w pokoju nauczycielskim Andrieja Iwanowicza. Zdaje się po raz pierwszy w ciągu ostatniego miesiąca uśmiechnęła się. Oczywiście podzieliła się z Puchowem swoimi zmartwieniami: w siódmej klasie jest wielu słabych uczniów i Genia Czyżykow całkiem rozpuścił się, opuszcza lekcje, pali, zaprzyjaźnił się z jakimiś chuliganami. Andriej Iwanowicz zaczął ją uspokajać, poradził pomówić z matką Miszy Burkowa. „Z Czyżykowem pomówię sam, pamiętam go z trzeciej klasy. To psotnik, ale nie zły chłopiec...“ Wyszli razem i Lena powiedziała, że odprowadzi Puchowa, chciała go jeszcze posłuchać, zresztą i nie ciągnęło jej do domu. Teraz zawsze szukała pretekstu, aby przyjść do domu później i nie jeść z mężem obiadu.

Wiele dni upłynęło od tego wieczoru, kiedy Lena zrozumiała, że powinna odejść od Żurawlewa, ale nic w jej życiu się nie zmieniło; nie mogła się na nic zdecydować, w rozpacz nazywała się szmatą, zerem. Więc i przeżyje tak do końca. Wstyd, wstrętnie... Szuroczka pierwsza, gdy wyrośnie będzie mną gardziła...

Andriej Iwanowicz opowiadał:

— Mam wspaniałe nowiny. Czy pamięta Pani Kostię? Były Pani uczeń, w zeszłym roku skończył. Nie, nie Punin, inny Kostia — Czernyszew. Taki rudy... Okropny z niego był psotnik, namęczyłem się z nim, ale to chłopiec dobry i zdolny, czyta dużo, myśli. Warunki domowe miał obrzydliwe: ojciec zginął na wojnie, matka zesłała się z magazynierem, kiedyś go spotkałem — szubrawiec i do tego nałogowy pijak. Kostia złożył podanie o przyjęcie go do instytutu, nie wątpił, że przyjmą — ukończył szkołę z odznaczeniem.

I proszę sobie wyobrazić, nie został przyjęty: miejsc nie starczyło, trzeba było zostawić dla zdających konkursowe egzaminy. Chłopiec był zrozpaczony, do tego ten magazynier wyrzucił go z domu. Jednym słowem nie-szczęście.

Powiadam do niego: „Ucz się jak gdyby cię przyjęto, najważniejsze to — ucz się“. Poszedłem do dyrektora, ale Pani zna Stiepana Aleksandrowicza — słucha, zgadza się i nic nie robi. Zwróciłem się do Komitetu Miejskiego, odpowiedzieli mi, że w środku roku szkolnego jest to niemożliwe. Dlaczego? Wszakże Kostia wszystko studiował zaocznie, sprawdzałem sam — nie będzie musiał doganiać. Komitet Miejski odpowiada, że ministerstwo w drodze wyjątku może dać zgodę.

Z ministerstwa odpowiedziano mi, że z ich strony nie ma sprzeciwu, ale zdecydować ma dyrektor. Idę znów do Stiepana Aleksandrowicza, patrzy na papierek, kiwa głową, zgadza się — przykro, że chłopiec się marnuje, a koniec końców mówi, że o ile ministerstwo nie dało wskazówek, on nie jest uprawniony... Wtedy napisałem do ministra, napisałem, że jest to mój były uczeń, że ma olbrzymie zdolności, niesprawiedliwie, że nie przyjęto go i o warunkach rodzinnych... Jeszcze w starym roku napisałem. I oto dziś Nadieżda Jagorowna przynosi list, odpowiedź od wiceministra, oświadcza, że polecono przyjąć. Niech sobie pani wyobrazi Leno, jaki to sukces.

Lena spojrzała na niego i uśmiechnęła się: zadziwiający człowiek. Przecież jest bardzo chory, Wiera Grigorjewna mówiła, że nic nie da się zrobić, mógłby pociągnąć jeszcze rok, ale nie przestrzega zaleceń lekarzy. Mówiła, że choroba jest ogromnie bolesna, ale on się nie skarży, ukrywa przed wszystkimi, a w tej chwili jest szczęśliwy z tego powodu, że Kostię przyjęto do instytutu. Teraz rozumiem, jacy ludzie zrobili rewolucję. Gdybym mogła czegoś się od niego nauczyć. Iść obok niego — już to jedno podnosi na duchu...

— Idę teraz do Kostii, ucieszę chłopaka. Przygarnął go jeden kolega, Sannikow, też mój były uczeń, ma pokój na Leninowskiej.

Lena zaniepokoiła się.

— Andrieju Iwanowiczu do Leninowskiej daleko, Panu nie wolno tyle chodzić. Lepiej przyprowadzę go do Pana.

— A po co? Doskonale dojdę, zobaczę przy okazji jak urządził się Sannikow. Niech Pani nie patrzy na mnie jak na inwalidę — jeszcze trochę pociągnę... Gdy dziś przyniesiono odpowiedź, odmłodziłem o dziesięć lat, zapewniam Panią. Szczerze mówiąc, miałem mało nadziei na powodzenie; myślałem, dostanę mój list i odeślą do instytutu, często tak bywa. Ale zorientowali się... Wielki sukces.

Stała ostrożnie, jak gdyby starał się za każdym krokiem wyczuć ziemię, mimo że zachował dobry wzrok, czasem zatrzymywał się, udając, że ogląda na wystawie zrobioną z masy plastycznej szynkę lub stary afisz. Ciężko mu jest iść, ze strachem pomyślała Lena i wzięła go pod rękę. Zaśmiał się:

— Mówię Pani, że odmłodziłem jak Faust. Oto idę pod rękę z młodszą kobietą...

Był w świetnym nastroju, żartował, śmiał się i twarz jego rzeczywiście wydawała się odmłodzona.

Wracając do domu, Lena przez cały czas myślała o Puchowie. Zazwyczaj podchodząc ku domowi denerwowała się, patrzyła na zegarek, zgadywała, poszedł Żurawlew, czy nie. Teraz nawet nie pomyślała, że jeszcze wcześniej i mąż jest w domu.

Iwan Wasiliewicz siedział w fotelu pod lampą. Pokiwał z zadowoleniem głową:

— Jak to dobrze żeś przyszła. Myślałem, że trzeba będzie znów jeść obiad samotnie.

Lena stała jak skamieniała, nie poszła do kuchni, nic nie mówiła, Żurawlew zapytał zdziwiony.

— Co ci jest?

Usiadła naprzeciw niego i bardzo spokojnie odpowiedziała:

— Nic... To znaczy muszę z tobą pomówić. Dobrze, że ciebie zastałam. Dawno miałam zamiar powiedzieć i ciągle odkładałam... My z tobą nie pasujemy do siebie. Nie gniewaj się... Jestem przekonana, że i ty tak myślisz... Długo się wahałam ze względu na Szuroczkę, a teraz widzę, że dłużej nie mogę. Rozumiesz?

Na chwilę głos jej się załamał, ale natychmiast opanowała się i spokojnie odpowiedziała:

— To wszystko jest bardzo ciężkie, wierz mi, ale wszystko przemyślałam, więcej nie mogę. Z mojej strony to będzie nieuczciwie...

Iwan Wasiliewicz pomyślał najpierw, że Lena żartuje. Uważał ją za narwaną, czasem w myślach nazywał histeryczką. Próbował krzyknąć na nią, lecz Lena powiedziała, że nie ma sensu urządzenie scen, należy zrozumieć się nawzajem i rozstać się.

Zjedli obiad w milczeniu. Żurawlew powiedział, że nie pójdzie do zakładów — musi popracować nad projektem Brainina. Lena wyszła. Siedział i myślał o tym co zaszło. Na pewno Lena zakochała się w kimś. Ostatnio rzadko bywała w domu. Znalazła sobie kogoś. Może młodego Puchowa? Rozmawiał on z nią dość poufale. Taki miał w Moskwie setki lafirynd, to bezsporne. W ogóle jestem człowiekiem zbyt przyzwyczajonym, wszystkim ufam. Wyobrażam sobie, jak się śmiała ze mnie...

Lena wróciła późno wieczorem. Żurawlew czekał na nią, obejrzał ją bawczowo. Lena nie wytrzymała, odwróciła się. Wprost od niego przyleciała, pomyślał Iwan Wasiliewicz. Miał ochotę obrazić ją, powiedzieć coś plugawego, ale powstrzymał się: w jednym wypadku ma ona rację, rzeczywiście, głupio urządzać sceny. Powiedział spokojnie, nawet łagodnie.

— Leno, może zakochałaś się w kimś? .

Lena straciła panowanie nad sobą.

— Co ci do tego? To nie ma nic wspólnego... Powiem ci wprost: nie mogę z tobą. Staralam się, ale nie mogę. Nie dlatego, że istnieje ktoś inny... Z tobą nie mogę, rozumiesz?..

— Nie denerwuj się... Sprawa jest poważna. Pomówimy jutro, bo gdy zaczniemy krzyczeć obydwoje, nic dobrego z tego nie wyjdzie...

Znów rozłożył na stole papiery i patrząc na nie, zaczął rozmyślać, jak ma postąpić. Nie wątpił dłużej, że Lena ma kochanka. Okazała się latawcem, to bezsporne, ale sam ją sobie wybrałem, więc nie mogę zwać na nikogo winy. Zresztą nic w tym nie ma dziwnego: wychowują złe, nie uczą rygoru. Życie jest tu dość nudne, do miasta daleko i w mieście też mało jest rozrywek. Oczywiście żona Chitrowa zajęta jest pracą, domem, ale jest ona poważną kobietą, Lena zaś — latawcem. Nie powiodło mi się...

W każdym wypadku rozwodzić się — głupio. Mam córkę. Jakżeż zostawić Szuroczkę bez ojca? Nie mogę wprost wyobrazić sobie takiego nieszczęścia.

Powstał i poszedł do pokoju, gdzie spała Szuroczka. Długo stał nad nią, wycierając rękawem mokre, obwisłe policzki i głośno, żałośnie dyszał. Odbierając córkę...

Nie spał przez całą noc i rano powiedział do Leny:

— Żyj jak chcesz. Nie będę ci przeszkadzał, ale rozwodzić się nie wolno, trzeba pomyśleć o Szuroczce.

Lena odpowiedziała, że przez cały czas myślała o Szuroczce. Żurawlew będzie mógł przychodzić do niej lub brać ją do siebie, szkoły Lena nie rzuci, nigdzie nie wyjedzie, postara się znaleźć pokój w osiedlu.

Żurawlew zbył to milczeniem. Poszedł do pracy, ale przez cały dzień myślał tylko o słowach Leny. Naprawdę zwariowała: boi się rozstać ze swoim facetem. Przecież to skandal: żona dyrektora zakładów przeniosła się do kochanka. Wyśmiej ją mnie. Do tego nie lubią u nas na górze takich rzeczy, bardzo nie lubią...

Próbował przemówić Lenie do rozumu:

— Gdy byłem chłopcem, ludzie wpadali do urzędu stanu cywilnego, jak na pocztę — dziś podpiszą się, jutro biorą rozwód. Teraz patrzą na to inaczej. Prawa są inne... Na coś takiego u nas krzywo patrzą, powiedzą, jakżeż możesz wychowywać dzieci? Nie mówię już o sobie. Jestem członkiem partii, stoję na czele wielkiego przedsiębiorstwa. Uczucia są uczuciami, ale o tym też należy pomyśleć...

Lena milczała.

Następnego dnia nie wróciła do rozmowy. Minął tydzień. Żurawlew nieco się uspokoił: zdaje się, że nabrała rozumu, rozumiała, że są pewne granice... Był wobec niej uprzedzająco grzeczny, o nic nie pytał, starał się jak najmniej obarczać ją swą obecnością; kto wie, może jakoś się ułoży? Nic straszного nie zaszło. Mam odpowiedzialną pracę, ufają mi, to bezsporne. Historie miłosne w ogóle mnie mało interesują. Kocham Szuroczkę, dziewczynka zaś nie zmienia się w stosunku do mnie. Dobrze, że nie będzie skandalu. Na pewno w wielu rodzinach dzieją się takie same łajdactwa, ale ludzie to ukrywają, nikt nie ma ochoty publicznie prać brudnej bielizny. Wtedy w Klubie Korotiejew słusznie wymyślał na pisarzy: żyjemy, można rzec, w historycznych czasach, ucziwi ludzie nie mają głowy do intryg... Pozostaje tylko pozazdrościć Korotiejewowi, że jest kawalerem, nie musi przeżywać takich historii. W ogóle jest on mądrą, poprawki do projektu Brainina są rzeczowe, uwzględnił specyfikę produkcji, ale oczywiście trzeba będzie wysłać wszystko do Moskwy, niech tam decydują.

Gdy Iwan Wasiliewicz uspokoił się ostatecznie, Lena oświadczyła:

— Znalazłam pokój, chwilowo — do lata — u Fiedorenki, wysłano go na wyższe kursy dokształcające. W niedzielę wszystko sprzątnę, a wieczorem przeprowadzę się...

Żurawlew zrozumiał, że nie przekona jej. Kłócić się głupio — i bez tego jest ciężko. Lepiej nie komplikować... Odparkł cicho:

— Rób jak uważasz.

Lena przeniosła się do Fiedorenki w poniedziałek. Gdy Żurawlew przyszedł wieczorem do domu, wydało mu się, że dom jest niezamieszkały, chociaż rzeczy były na swoim miejscu, wszystko starannie posprzątane. Chodził z pokoju do pokoju oglądając poruszony znajome drobiazgi: dziwne, że Lena nie nie wzięła, bardzo lubiła tę szkatułkę, przywiozłem ją jej z Moskwy i zostawiła... W pokoju jadalnym zobaczył nagle połamaną lalkę Szuroczki.

Zapomniały, czy jak? Lub Lena wyrzuciła.

Ujął w ręce lalkę i nagle poczuł, że nerwy odmawiają mu posłuszeństwa: jeszcze chwila i zapłacz. Niedobrze wszystko wyszło, bardzo niedobrze. A ja myślałem, że Lena kocha mnie. Gdy witaliśmy Nowy Rok, powiedziałem do Brainina: „Wypijmy zdrowie Leny, to wspomniała żona...“ Cudza dusza — to ciemności, rzecz bezsporna. Ale jak nudno teraz w domu i Szuroczki nie ma, ma się ochotę pójść gdzieś wypić...

Przyszła pomocnica domowa Grusza, przyniosła czajnik, kielbasę, ser. Żurawlew w pośpiechu schował lalkę. Należy wziąć się w garść. Bywa gorzej. Żona Jegorowa umarła, a on pracuje. Moje życie — zakłady. Sokołowski

może odgryzać się, ile mu się podoba, ale w Moskwie ufają mnie, a nie jemu. W ogóle ma zababraną opinię... Jesienią Zajcew mówił, że istnieje projekt przeniesienia mnie do Moskwy. Cóż, to nieźle. W ostatecznym podsumowaniu zakłady — to jeden z punktów. W zarządzie głównym będę mógł wykazać me doświadczenie w skalę państwowej. Oczywiście, jeżeli Zajcew nie wymyślił tego. Ale z jakiej racji miałby wymyślać? Ciekawe co odpowiedzą z ministerstwa odnośnie projektu Brańnina?

Uspokoił się, i gdy Grusza spytała czy można sprzątnąć ze stołu, odpowiedział: „Zostaw czajnik. Będę długo pracował, może zechce mi się pić“.

Na nowym miejscu Lena położyła się wcześniej, a pomimo to omal nie spóźniła się do szkoły. Ubierając się w pośpiechu, myślała: zasnęłam o jedenaście, teraz zaś jest ósma i jeszcze chce się spać...

Odczuwała straszliwe zmęczenie, jak gdyby przeszła pięćdziesiąt kilometrów, lub przez cały dzień rąbała drzewo.

Jak to się stało? Nie rozumiała. Zwlekałam, zwlekałam i nagle wszystko wygarnęłam. Odprowadziłam Andrieja Iwanowicza, długo szukaliśmy pokoju Sannikowa, potem szłam do domu i nawet nie myślałam, że powiem... Dziwne.

Szła szybko, spieszyła się i nagle uśmiechnęła się: przypomniała sobie, jak Korotiejew powiedział: „Pani jest bardzo młoda, Pani nie zrozumie...“ Przez ten czas zdążyłam zestarzeć się, straciłam szczęście, ale się nie poddałam; postąpiłam, jak podyktowało sumienie. Dmitrij Siergiejewicz nie kocha mnie, może gardzi mną. Myśli, że chciałam narzucić mu moje uczucia, ale pomógł mi z odległości, uwolnił od wielkiego ciężaru. Niech nie kocha, ale gdy myślę o nim, od razu robi się lżej...

— Lenoczko.

Była to Wiera Grigorjewna. Czekala na Lenę przed budynkiem szkoły.

— Przez cały czas niepokoiłam się co się z Panią dzieje, dwa razy wstępowałam, nie było Pani w domu. No a teraz Pani jest wesoła — idzie Pani sama i uśmiecha się. Wszystko jest więc dobrze...

— Wiero Grigorjewno, mój adres jest obecnie inny — przeniosłam się do Fiedorenki, blok G. Pani wie, jego żona powiedziała, że Pani ją leczyła...

Wiera Grigorjewna od razu zrozumiała wszystko; jej surowa twarz stała się łagodna, nawet bezbronna. Zaczęła namawiać Lenę, by zamieszkała u niej, dopóki nie otrzyma pokoju.

— Będzie Pani dużo lżej. Pokój jest duży, można przegrodzić, przeszkadzać sobie nie będziemy i do szkoły blisko. Znam żonę Fiedorenki, Pani zawsze będzie niespokojna o Szuroczkę. Przecież ona zlakomiała się na pieniądze... U mnie zaś, w sąsiednim pokoju mieszka gospośnia doktora Gorochowa, dobra stara kobieta, umówimy się z nią, będzie doglądała dziewczynki gdy Pani nie będzie w domu. Od razu dziś Panią przetaszczę...

Był zimny lutowy dzień, ale słońce już odrobinę przygrzewało i wchodzić do klasy, hałaśliwej jak ptasia ferma, spojrzawszy na czarną tablicę pokreśloną kredą, po której miotał się słoneczny zajęczek, Lena pomyślała: a więc niedługo wiosna...

8.

Andriej Iwanowicz bardzo się zdenerwował i musiał się położyć do łóżka; ukrył przed żoną, że w nocy miał atak, powiedział, że po prostu się zmęczył, chce poleżeć dzień — dwa. Nadzieja Jegorowna zaniepokoiła się, sprowadziła doktor Szerer, następnie Gorochowa, namawiała męża, by zażywał kropli, które przepisał mu homeopata, nakrywała go dwiema kołdrami, mi-



mo że w pokoju było gorąco, głośno wdychała i Andriej Iwanowicz gniewał się na siebie: trzeba było zrobić wysiłek i wstać...

Wołodzia przyszedł z nowiną: od Żurawlewa uciekła żona. Opowiedział o tym ze śmiechem; czyż to nie świetny kawał? Andriej Iwanowicz tak się ucieszył, że przepuścił mimo uszu ironiczne komentarze Wołodii.

— Dobrze zrobiła — mówił Puchow, zwracając się do Nadieždy Jegorowny. — Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak ona może żyć z Żurawlewem. Wszakże znam Lenę, dwa lata razem pracowaliśmy, jest sumienna, we wszystko wkłada serce i uczniowie ją lubią, często słyszę od moich chłopców: „Helena Borisowna pomogła“... Żurawlew zaś — typowy biurokrata. Przez takich ludzi łzami się zalewają, a na nich to nie robi wrażenia... Jednego się zdepcze, dziesięciu nowych wyskakuje, jak grzyby po deszczu... Dziwna historia, widziałem Lenę niedawno, akurat kiedy przyszła odpowiedź co do Kostii, nic mi nie powiedziała... Cieszę się z tego, nie możesz sobie wyobrazić.

Wołodzia zaszedł do Soui, zapytał:

— Znasz żonę Żurawlewa?

— Nie. To znaczy przychodziła parę razy do ojca, ale nie rozmawiałam z nią. A ty znasz ją?

— Trochę. Przecież malowałem portret Żurawlewa. Ale widziałem takie w Moskwie... Śmieszne jak ojciec idealizuje wszystko. Na pewno pamięta on jeszcze dziewczyny, które bratały się z ludem, robiły rewolucję, jednym słowem szły na katorgę. A teraz one wychodzą za mąż za reżyserów filmowych, za generałów. Lub jak ta — za dyrektora zakładów... Ojciec jest zachwycony, że odeszła od męża.

— Skąd wiesz o tym?

— To fakt. Ostatnia miejscowa sensacja. Na pewno są wariaci jedno drugiego. Zgadzasz się z tym?

— Powiedziałam ci, że jej nie znam. Żurawlewa również mało znam, mówią o nim różnie. Na przykład Sawczenko uważa, że nie ma inicjatywy. W każdym razie wierzę ojcu.

— Wciąż jesteś zadowolona?

— Czegoś się przyczepił? Mówię ci, że jej nie znam. Ale jeżeli ojciec mówi o niej dobrze, to dla mnie znaczy bardzo wiele. Wstrętne jest tylko to, gdy ludzie się rozwodzą. Rozmowy, ogłoszenia w gazecie, sprawa w sądzie... W dawnych czasach na pewno było to rzeczą zwykłą, teraz zaś jakoś wstyd. Przecież nie pobierają się jako dzieci, można wybrać, przemyśleć...

Wołodia głośno się roześmiał.

— Zrobić analizy, zaprosić ekspertów.

— Nic w tym nie ma śmiesznego. Jak twoim zdaniem wygląda ojciec?

— Uważam, że jest mu lepiej. Gdy opowiedziałem o Żurawlewie, aż podskoczył...

— To właśnie źle. Sam się zabija. Okazuje się, że trzy dni z rzędu chodził piechotą na Leninowską, tam zbierali się jacyś studenci pierwszego roku i on z nimi rozmawiał. Przecież to straszne. Sama przedtem mówiłam do matki, że trzyma go własna energia, ale teraz widzę, że matka ma rację. Należy go przekonać za wszelką cenę...

Wołodia przestał się uśmiechać.

— Nie zgodzę się z tym. Ojciec — to niezwykle człowiek. Następnie, to inne pokolenie. Obecnie, jak „przerobią“ kogoś, raz dwa dostaje zawału serca. Staruszkowie zaś skrojeni są inaczej. Często zadają sobie pytanie, skąd w nich taka siła? Rozumiem, boję się o ojca. Śmieję się, śmieję, a ty myślisz, że się nie boję? Ale z nim wcale nie można dać sobie rady — żył po swojemu i umrze po swojemu...

Wołodia poszedł do miasta. Nadieżda Jegorowna zasnęła (nie spała zeszłej nocy — niepokoiła się o męża). Sonia zajrzała do ojca — czytał. Postanowiła z nim pomówić.

Przygotowywała się długo do tej rozmowy, uważała, że matka nie potrafi przekonać ojca — przecież ma jeden argument — jego zdrowie, on milczy i odpowiada żartem, a w godzinę potem udaje się do swoich „podopiecznych“. Ze strony ojca jest to dziecinność. Zużywa resztkę sił dla dziesięciu chłopaków. Dwukrotnie proszono go o napisanie obszernego artykułu na temat jego doświadczenia pedagogicznego. Może to zrobić leżąc, jeżeli ciężko mu pisać, niech podyktuje mnie. Naprawdę jest to o wiele ważniejsze, niż telepanie się na Leninowską i pogawędka z chłopcami...

Wszystko to Sonia powiedziała ojcu załamującym się czasami ze zdenerwowania głosem.

Andriej Iwanowicz słuchał; była chwila, gdy Sonia wydawało się, że zgadza się z nią. Tymczasem wszystko w nim oburzało się na słowa Soni, z wysiłkiem zmusił się do wysłuchania jej.

— Jakże jest obca. I Czernyszew, i Sannikow, i Sawczenko rozumieją mnie. Więc nie jest to sprawa wieku. Nadia również namawia mnie, żebym się nie ruszał, abym słuchał lekarzy, ale nigdy Nadia nie powie, że głupio chodzić do moich chłopców, wie ona, że jest to potrzebne, my wszakże z nią razem zaczęliśmy życie, razem je przeżyliśmy. Nie ma ona argumentów przeciwko, tylko boi się o mnie, mnie też strach ogarnia, że zostanie sama. A Soni moje postępowanie wydaje się dziecinne, nawet powiedziała w ten sposób „dziecinność“, rozmawia ze mną jakby była starsza ode mnie. Nie rozumiem...

— Nie rozumiem ciebie Soniu — powiedział wreszcie Puchow. Mówisz, że jedno jest ważniejsze od drugiego. Skąd wzięłaś wagę, żeby zważyć? Może i należy napisać artykuł, często myślę o tym, coś niecoś przygotowałem. Ale czy to znaczy, że mam zaniedbać moich chłopców? Zrozum, nie mają ojców, Czernyszew właściwie nie ma też matki. Teraz ty twardo stoisz na nogach.

ale przypominaj sobie jak przylatywałaś do mnie po radę... Przecież to są zwykli ludzie, jutro będą budowali to, cośmy zaczęli. A ty proponujesz, żebym ich porzucił...

— Nie przeczę, że to poważny problem. Ale co możesz zrobić sam jeden? Takie zagadnienia powinno się rozwiązywać w skali państwowej, w przeciwnym razie powstaje chałupnictwo. Dziś pomożesz radą Czernyszewowi, jutro ciebie nie będzie i on znajdzie się pod wpływem jakiegoś bandyty. Powiedziałam ci o artykule, ponieważ to jest istotnie potrzebne. Na przykład mówię, że masz wiele dowodów przemawiających za nauczaniem koedukacyjnym. Czytałam o tym w „Literaturce“, prowadzona jest dyskusja. Jeżeli się wypowiesz, może to dać realne wyniki i nie dla dziesięciu chłopców — dla dziesięciu milionów. Ty zaś zużywasz resztkę sił na to, by namówić matkę Sierioży, lub pomówić z Miszą o fizyce. Naprawdę, to nie ma sensu...

— Nie Soniu, to ma sens: społeczeństwo składa się z żywych ludzi, arytmetyką nic nie rozwiążesz. Mało jest opracować mądre metody, należy umieć je wykonać, a za to odpowiada każdy człowiek. Nie wolno sprowadzać wszystkiego do protokołu „wysłuchano — postanowiono“. Od tego jak będziesz żyć, pracować, jakie będą twoje stosunki z ludźmi, zależy przyszłość całego społeczeństwa. Dlaczego mówisz ironicznie „co może zrobić jeden człowiek?“ Nie rozumiem. Dawno, sześć lat przed rewolucją, zaszedłem do znajomego studenta, zbierało się u niego kółko, czytano Lenina, Plechanowa. Opowiedziałem ojcu, ojciec mój był cichy, nawet nieśmiały — służył w kantorze, przyzwyczaił się do pokrzykiwań — mówi do mnie: „A iu was jest? Osiem osób? Wariaci. Co możecie zrobić?“ — Ale on był starszym, jemu można wybaczyc. Zresztą i czasy były inne... Ty zaś jesteś młoda, komсомолка, powinnaś porywać się z motyką na słońce, a nie wymigiwać się. Wiem przecież, że masz gorące serce, dlaczego wkładasz obroż na serce?

Popatrzał na Sonię i zamilkł, oczy jej gorączkowo błyszczały, wargi się poruszały — chciała odpowiedzieć i nie znajdowała słów i tyle było w niej niepokoju, że Andriej Iwanowicz zapomniał o sprzeczce, objął córkę:

— I wcale nie jesteś taka...

Wyszła od ojca poruszona, nie zmienił jej przekonań, ale wprowadził ją w załopotanie; poczuła w jego słowach siłę, daleką, wręcz niezrozumiałą.

Cieężko żyć, och jak ciężko...

Wzięła książkę i zmusiła się do czytania. Potem wszystko w pokoju poszarzało. Sonia nie zapaliła światła, podeszła do okna. Śnieg wydawał się liliiowy.

Ojciec myśli, że jestem przekonana o słuszności mego zdania, powiedział właśnie tak: „Teraz twardo stoisz na nogach“. W rzeczywistości zaś cały czas potykam się. Nic nie widzę, jak teraz na ulicy — nie dzień i nie noc. Wszystkie nierozumiałe. Dobrze jest umieć zbywać wszystko żartem, jak Wołodja, chociaż nie zazdroścę mu: moim zdaniem, nie może on znaleźć sobie miejsca. Zona Żurawlewa ma sympatyczną twarz. Dlaczego odeszła od męża? Dawniej było to zrozumiałe, wydawano za mąż siłą, lub małżeństwa zawierano z interesu. Teraz jest inaczej, jednak teraz też się rozwodzą... Straszne, że nie można odczytać cudzych myśli. Idzie się po ciemku, zdaje się, że przed tobą szczęście, a jeszcze krok i potłuczesz się. Straszliwa gra. Tak jak u mnie z Sawczenką... Ojciec i tego nie rozumie. Zawsze broni Sawczenki. To naturalne: mają dużo wspólnego w charakterach. Ale gdy ojciec zapala się, przesadza, mimo woli czuje się szacunek, przecież udowodnił całym swoim życiem, że dla niego to nie próżne słowa. U Sawczenki zaś wygląda to śmiesznie — naprawdę jeszcze nie żył. Ja też jeszcze nic nie rozumiem. Ojciec nie wiadomo czemu jest przekonany, że kocham Sawczenkę. powiedział niedawno: „Więc gdy dojdiesz z nim do ładu...“ Oczywiście ko-



cham go. Na pewno, jakby się nie ukrywało, widać to. Ale nie między nami się nie naprawi, jestem o tym przekonana. Za często o nim myślę. Głupio i nic z tego...

Zapaliła światło i przeczytała do końca artykuł o najnowszych modelach generatorów dla budowlı kujbyszewskiej. Gigantyczne maszyny... Zadzwoniono. Sonia przypomniała sobie, że matka śpi i pobięła otworzyć drzwi. Tego nie oczekiwała: przyszedł Sawczenko.

Nie widzieli się od dnia urodzin Andrieja Iwanowicza. W pierwszych dniach Sonia myślała, że przyjdzie, wieczorem nadsłuchiwała czy dzwonią. Oczywiście nagadał jej impertynencji i w ogóle nic dobrego u nich nie wydzie, ale jednakże głupio jest się klócić... Sawczenko jednak nie przychodził.

Wytrzymał prawie miesiąc, przychodziło mu to nielekko. Każdego wieczoru szedł do Puchowów i dochodząc do apteki na rogu ulicy zawracał z powrotem. Dlaczego to właśnie przy aptece myślał zawsze to samo: po co do niej idę? Przecież powiedziała wyraźnie, że nie kocha, nawet nie chce rozmawiać na ten temat. A po prostu przyjaźnić się nie mogę, nawet jeżeli zechce, lepiej nie próbować...

Szedł do siebie, lub do Klubu, czasem wstępował do Korotiejewa, który był jego sąsiadem.

Gdy Sawczenkę przysłano z instytutu, Korotiejew od razu wziął go pod swoją opiekę, zapoznał z pracą, podtrzymał na duchu. Na początku każdemu jest ciężko, teoria to jedno, możliwości zakładów to drugie. Pewnego razu zawałował go wieczorem do siebie: „Posiedźmy nad projektem Brainina, on go przerobił“. Gdy skończyli pracować, Korotiejew zaczął opowiadać o zakładach leningradzkich w których odbywał praktykę. Siedzieli prawie do switu i żegnając się Korotiejew powiedział: „Wstępujcie, chodź spać późno. Będziemy mogli porozmawiać nie tylko o maszynach...“ Gdy Sawczenko poszedł, Korotiejew uśmiechnął się: dobry chłopiec. W jego wieku przeszedłem przez chrzest bojowy. Była wojna... Teraz jest inaczej. Sawczenko, zdaje się, jeszcze się was sypie...

Gdy przychodził Sawczenko, Dmitrij Siergiejewicz opowiadał o latach wojny, o nocnym boju nad Donem, gdzie zginął młodziutki poeta, którego żartem nazywano Puszkinem i który deklamował wszystkim jeden wiersz, zaczynający się od słów: „Gdy na stare lata przypomnę sobie o tobie“, o małym muzeum w zrujnowanym niemieckim mieście, gdzie pośród rogów jelenich, wypchanych ptaków i sztandarów nazistowskich zobaczył wspaniały portret młodej kobiety z podpisem „Nieznany malarz XVI wieku“, o swej młodości. Czasem mówili o ostatnich komunikatach z gazet, o sądzie nad Mossadikiem, o strojach we Francji, o konferencji ministrów; czasem sprzeczali się na temat nowości książkowych. Sawczenko słuchał Dmitrija Siergiejewicza z zachwytem, zapominając o swej nieszczęśliwej miłości. Łatwo wpadał w zachwyt, odrzucał głowę do tyłu i pokazywał duże zęby, jaskrawo błyszczące na smagłej twarzy. Był podobny do Cygana: i śmiejąc się mówił: „Zdaje się, że najbardziej ze wszystkiego“. Korotiejew zaczął czytać: „Swawolna“.

Wczoraj spędził wieczór u Korotiejewa. Mówili o literaturze. Nagle Sawczenko zapytał: „Dmitriju Siergiejewiczu, dlaczego wtedy w klubie napaśliście na Zubcowa?“ Korotiejew uśmiechnął się i nie odpowiedział. Potem wziął z półki książkę. „A wiersze lubicie?“ Sawczenko zaczął się uśmiechać. „Zdaje się, że najbardziej ze wszystkiego“. Korotiejew zaczął czytać:

*...Rozstali się w niemym i dumnym cierpieniu,
Li czasem się widząc w snów lubyh marzeniu...
Śmierć wreszcie nadeszła — ujrzeni się w niebie;
Lecz tam już obcymi zostali dla siebie.*)*

Sawczenko był zachwycony i od razu zgasł, zgasły oczy, znikł jasny uśmiech: przypominał sobie Sonię. Spotykamy się, rozmawiamy, ale przystać się do mnie nie chce... Dziwne, wtedy w lesie wydało mi się, że kocha, całowała i tak patrzała, tak patrzała, że dotąd, gdy przypominę sobie, mam ochotę biec do niej, powiedzieć: „Soni, przeciw to ja“...

Spojrzał na Korotiejewa. Ten siedział nieruchomo, upuściwszy książkę na podłogę. Długo milczeli. Wreszcie Sawczenko nabrał odwagi:

— Dmitriju Siergiejewiczu, jak uważacie, jeżeli człowiek kocha, czy powinien walczyć o swe szczęście? Mnie się czasem wydaje, że to jest upokarzające...

Korotiejew uśmiechnął się ledwie widocznie:

— Powinien walczyć... Zdarza się, że trzeba przedzierać się przez mgłę...

Sawczenko znów zaczął się uśmiechać.

I oto przyszedł do Soni, powie jej wszystko, przedrze się przez mgłę, zdobędzie swe szczęście.

— Soniu, chodźmy na spacer. Mam ci dużo do powiedzenia, a tu źle się rozmawia...

— Zimno na ulicy. Ale jeżeli chcesz, chodźmy.

Mróz znów jest większy: powiał północny wiatr. Ludzie idą szybko, zaś Sawczenko z Sonią nie śpieszą się, nie mają dokąd się śpieszyć. Na pozór wyglądają na szczęśliwych, zakochanych, ale przez cały czas sprzecają się. Sawczenko mówi o Korotiejewie, o automatycznym kierowaniu, o konferencji berlińskiej, o filmie włoskim, który niedawno wyświetlano w klubie. Sonia oponuje przeciw wszystkiemu co on mówi (jedynie o obrabiarkach nie nie powiedziała).

— To wspaniały film — zachwycał się — gdy chłopiec rozgniewał się na ojca, mało się nie rozplakałem.

— Sentymentalne. Są dobre miejsca, ale nie ma zakończenia. W końcu nie zrozumiałam co zrobi ten bezrobotny — pójdzie do komunistów, czy pozostanie nieświadomiony...

Jeszcze dwieście kroków. Sawczenko z zachwytem mówi o Francji:

— Francuzi nigdy nie dopuszczają do ratyfikacji...

— O kim mówisz? O komunistach, czy o parlamencie? Należy liczyć się z realnymi siłami. Ty zawsze się entuzjazmujesz.

— Mówię o całkiem realnej sile. Przecież uczyłaś się, że idee, dochodząc do świadomości milionów, stają się materialną siłą...

— W przyszłości, my zaś mówimy o tym co teraz...

Jeszcze dwieście kroków.

— Żurawlew dziś niesprawiedliwie zwymyślał jednego frezera od brakorobów. W ogóle jest łotrem.

— Zawsze przesadzasz. Ojciec mówi, że Żurawlew jest przeciętnym człowiekiem.

— Korotiejew też tak uważa. Moim zdaniem, to łotr. Teraz całkiem się wściekł, odkąd żona go porzuciła. Słyszałaś o tym?

— Słyszałam, chociaż to są plotki. Mnie nie interesuje jego życie osobiste

*) Wiersz w przekładzie Czesława Makowskiego

— A mnie interesuje. Chciałbym zrozumieć: jaka kobieta mogła go pokochać? Dziś zapytałem Korotiejewa, co myśli o żonie Zurawlewa, był wszakże u nich, nie dał żadnej odpowiedzi — spieszył się. Jestem przekonany, że jest dużo lepsza od niego i w ogóle dobrze, że go rzuciła.

— Nie widzę w tym nic dobrego.

— A jeżeli jest łotrem?

— Mogła wcześniej pomyśleć.

— Twój brat namalował portret Zurawlewa?

— Zdaje się, że tak. Nie widziałam.

— A dlaczego postanowił namalować takiego łotra?

— Nie wiem. Zapewne zamówiono. Spytał go.

— Nie, nie będę pytał. Gdy Saburov mówił o sztuce, podobają mi się. Twój brat zaś ma dziwne idee. Czy twoim zdaniem mówił serio, czy grał?

— Nie wiem. On tak samo, jak ty — obydwaj żyjecie tylko własnymi wrażeniami, ale on widzi wszystko w czarnych kolorach, podczas gdy ty w różowych.

— A ty?

— Nie mówiłam o sobie... Widzę tak, jak jest.

Przeszli wiele razy do apteki i z powrotem. Teraz Sawczenko mówi o książce, którą niedawno przeczytał:

— To żaden realizm, po prostu poniżenie człowieka...

Sonia książka nie podobala się również, lecz gniewa się na Sawczenkę:

— Nie uważam. Moim zdaniem to ciekawa powieść, postawiono wielki problem. Ale czy nie uważasz, że dyskusję literacką należy odłożyć? Zażmno. Zdaje się, chciałeś mi coś powiedzieć? Mów. Jak nie, to pójdziemy do domu, napijemy się herbaty.

Sawczenko milczy. Oto już czerwony dom z cegły. Mówi sam do siebie: teraz lub nigdy. Ależ bzdura, nie ma słów, zupełnie nie ma, jak gdybym pogubił je na śniegu...

— Soniu, zaraz ci powiem... Nie śmiej się, ale bez ciebie nie zgodzę się... Przez mgłę, przez śnieg, wszystko jedno...

Ona milczy. Bierze ją za rękę, ustami dotyka jej zimnych ust. Sonia szepce ze smutkiem:

— Nie trzeba... Między nami jest przepaść... Taka przepaść, że w głowie się kręci...

Za chwilę opanowuje się, już swym zwykłym głosem mówi:

— Przecież powiedziałam ci, że mamy całkiem różne charaktery. Dość już na ten temat... Czy chcesz z nami wypić herbatę? No, czego milczysz? Nie chcesz?

Sawczenko ze złością odpowiada:

— Jeszcze nie powiedziałaś mi, że dwa razy dwa jest cztery i że należy trzymać pieniądze na książeczce oszczędnościowej...

Nadzieжда Jegorowna woła:

— Soniu, chodź na kolację. Ojciec mówił, że przychodził Sawczenko. Dlaczego nie zatrzymałaś go na kolacji?

— Spieszył się na naradę, odprowadziłam go kawałek — głowa mnie bolała, nie będę jadła kolacji — głowa mimo wszystko nie przestała boleć...

Zaszła się w swoim pokoju. Przepelnia ją gorycz: wszakże dopiero co zrezygnowała ze szczęścia. Jeżeli opowiedzieć to ojcu, powie: czyś zwariowała? Jeżeli kochacie się nawzajem, po co się męczyć? Nie da się to wytłumaczyć, ale na pewno wiem, że nie możemy żyć razem; rzecz nie polega na tym, żebyśmy się pokłócili. Głupio powiedział o tej książeczce oszczędno-

ściowej, za to jedno mogłabym go znienawidzić. Ale on jest jeszcze chłopcem. Teraz na pewno sam żałuje, że się uniósł. Orientuję się w tych rzeczach lepiej od niego. Możemy jutro, lub za miesiąc się pogodzić. Ale nie z tego nie wyjdzie. Jak może żyć ze sobą dwoje ludzi, którzy w żadnych sprawach ze sobą się nie zgadzają. On uważa, że jestem zanadto praktyczną, uznaje jedynie tabliczkę mnożenia. Nie, ale żyję na ziemi, nie umiem fruwać w obłokach. Nie rozumiem tylko dlaczego tak nas ciągnie do siebie? Zalał się, więc przyszedł. I ja nie mogę żyć bez niego. Dopiero co strasznie mnie obraził, ale gdyby zjawił się teraz, nie wiem czy starczyłoby mi sił, by go wypędzić. Cóż to znaczy? Gdy pocałował mnie przed bramą, myślałam, że natychmiast się rozplaczę, lub rzucę mu się na szyję. Ojciec powiedział, że wkładam na serce obręcz. Jakżebyśmy chcieli pójść do ojca i powiedzieć: masz rację, mówiłam dziś nie to... I co do mojej osoby masz rację. Takie straszliwe obręcz. że serce bić nie może. ginę. naprawdę ginę...

9.

Ostatnio Władimir Andriejewicz Puchow był w złym nastroju. Nie przychodził do Sokołowskiego i spotkawszy kiedyś na ulicy Tanieczkę powiedział szczerze: „Nie myśl, że się obrażam, wszystko to bzdury. Po prostu jestem w złej formie, nie chcę nikogo widzieć. Nawet ciebie“... Tanieczka odparła „Nie mogę cię rozweselić, sama siedzę i wyję, nasza premiera znów zrobiła kłapę, nawymyślaliśmy sobie z kierownikiem artystycznym, ząb boli, muszę pójść do dentysty, jednym słowem niewesoło...“ Tanieczka zawsze podejrzewała, że Wołodia „wyglupia się“, ale powiedział jej prawdę; rzeczywiście wybierał się do niej parokrotnie i rozmyślił się — jej samej jest smutno, ją należy pocieszać, a ja teraz zdolny jestem do tego, by wturcić w otchłań smutku nawet zawołanego wesołka...

Dlaczego się rozkleiłem, zadawał sobie pytanie Wołodia i raz wydawało mu się, że nudzi się z dala od moskiewskiego życia, raz tłumaczył zły nastrój brakiem pieniędzy, to wzdychał po prostu: starzeję się. Co prawda miał kłopoty pieniężne. Portret Żurawlewa w nikim oprócz Iwana Wasiliewicza nie budził zachwyty. Na szczęście trafiła się niewielka tandetka: trzeba było zrobić dla wystawy rolniczej panneau przedstawiające rasowe krowy i kury. Z krowami szybko dał sobie radę — dano dobre fotografie. Kury zaś wyczerpały go — okazało się, że mają być białe i niepodobne do zwykłych. Władimirowi Andriejewiczowi zaproponowano, by pojechał do sowchozu i tam namalował je z natury. Rozgniewał się: jechać osiemdziesiąt kilometrów dla jakichś tam paskudnych kur? Koniec końców dostarczono mu ilustracje z pisma. Wykonał pracę i wczoraj otrzymał cztery tysiące siedemset.

Nie stał się weselszy i to ostatecznie wprawiło go w zakłopotanie. Rzecz więc nie w pieniądzach. Oczywiście przyjemnie, że mogłem dać matce trzy tysiące, ale humor od tego się nie poprawił. Ze mną dzieje się coś paskudnego. Naprawdę, gdy w Moskwie wyrzucono mnie z pracowni, byłem w lepszym stanie. Nawet gdy Lola oświadczyła mi, że wychodzi za Szaposznikowa, nie martwiłem się tak. Oczywiście było przykro, myślałem przecież, że ona mi się podoba, ale wieczorem poszliśmy z Miszą do CDRI, była tam żona Szwarca, zacząłem adorować ją, jednym słowem, nie poddawałem się nastrojowi. A teraz, jakbym po łbie dostał.

I nic przecież się nie stało. Jeżeli pójść do Tanieczki, przywita mnie jak gdyby nic nie zaszło, tak właśnie powiedziała: „Przejdzie ci chandra, przychodzi“. Ale ja i na to nie mam ochoty. Powiedziałem Soni, że nudzę się

w tej dziurze, ale prawdę mówiąc do Moskwy mnie nie ciągnie. Tam trzeba sadzić się na uprzejmość wobec malarzy, uważać kogo pochwalono, kogo objechano, kalkulować, przez cały czas bronić swego prawa do kawałka pieroga. Robiłem to i nawet nieźle, a teraz nie mam ochoty. Nie należy w wieku lat trzydziestu czterech uskarżać się na starość, ale prawdopodobnie porządnie się zestarzałem. Tu nikt mnie nie krzywdzi, w skali miejscowej jestem pierwszym malarzem. Mam mądrego rozmówcę — Sokołowskiego. Jest Tanieczka. Ojcu, moim zdaniem, jest lepiej, to dobrze. Nie myślałem przedtem, że jestem aż tak do niego przywiązany. Trzeba przyznać, że wyprowadzałem go z równowagi, to głupio. Oczywiście jego pojęcia są przestarzałe, ale to rzadko spotykany człowiek, wyjątek, nie należy go krzywdzić. Jednakże nie potrafię zrozumieć, dlaczego jestem tak bardzo przynębiony? Zapewne dlatego, że myślę. W Moskwie nie miałem czasu. Kręciłem się jak w kołowrocie. Tu zaś mam dużo czasu, mimo woli zacząłbym myśleć. Zawsze wydawało mi się, że tylko wariaci potrafią myśleć nie o czymś konkretnym, tylko tak w ogóle. I oto sam się tym zajmuję. Wstrętne zajęcie.

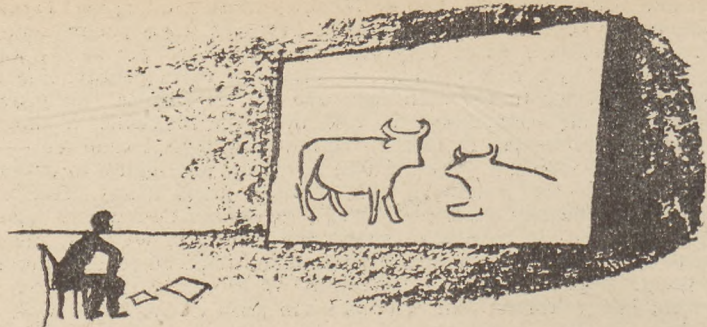
Wołodia rzadziej zaczął stroić żarty i oczy jego straciły ten wyzywający blask, jaki dawniej wytracał z równowagi wszystkich wykładowców i jeszcze niedawno doprowadził Tanieczkę do łez. Teraz rozmawiał ze wszystkimi grzecznie i obojętnie. Kiedyś w autobusie znalazł się obok Sawczenki. Wypadało zagadać. Sawczenko opowiedział o nowej obrabiarce Sokołowskiego. Wołodia nie lubił maszyn, ale pomyślał: Sawczenko nie taki głupi, jak mi się wydawało. Tego samego wieczora powiedział do siostry: „Spotkałem dziś Sawczenkę. Ciekawie opowiadał. W ogóle robi wrażenie człowieka mądrego“. Sonia spojrzała na niego ze zdziwieniem i skrzywiła się: „Nie rozumiem dlaczego mi to referujesz?“

Tego zimnego wieczoru, gdy Sonia i Sawczenko chodzili między domem a apteką, Wołodia wyszedł z domu nie wiedząc co ma robić. Zobaczywszy z daleka siostrę i Sawczenkę uśmiechnął się i przeszedł na drugą stronę ulicy, nie trzeba straszyć młodzieży... Dokąd pójść? Sokołowskiemu się znudziłem. Gdy byłem u niego ostatnim razem nie chciał o niczym rozmawiać. krzywił się, jak gdyby wypił butelkę octu. Ciekawe, co robią oni we dwójkę ze swoim Fomką? Na pewno warczą jeden na drugiego... Dokąd jednakże pójść? W restauracji „Wolga“ przebywający służbowo w mieście ponuro lykają bitki, a pijacy żłopiają wódkę pół na pół z maderą i wrzeszczą. Nieciekawe. A na ulicy piekielnie zimno.

Nagle przypomniał sobie Saburowa: Dlaczego by nie pójść do niego? Ostatnim razem byłem u niego, gdy przyjeżdżałem z Moskwy w roku pięćdziesiątym pierwszym. Prawie trzy lata... Można popatrzeć na jego arcydzieła. Biedak, na pewno żyje w okropnych warunkach. Kupię zakąsek, wina... Chociaż jest wariatem, ale wypić i zjeść lubi, narzucił się na pierogi mamy.

Wołodia wstąpił do sklepu, nakupił furę żywności, wziął wódkę, wino dla żony Saburowa i taksówką pojechał na przeciwległy kraniec miasta. Ulica schodząca w dół ku rzecze okazała się zamknięta dla ruchu kołowego. Wołodia z trudem odnalazł pochyły różowy domek, w którym kiedyś zamieszkiwał drobnny kupiec, a teraz mieszkały tu cztery rodziny, między nimi Saburow z Glaszą.

Wchodząc do pokoiku, Wołodia skrzywił się: niech to diabli. Przypuszczał, że Saburow żyje bardzo skromnie, ale czegoś takiego nie mógł sobie wyobrazić. Dawniej Saburow miał pokój w gmachu Szkoły Sztuk Pięknych, ale go stamtąd wysiedlono. Akurat przed tym się ożenił, pokój otrzymała Gła-



sza — domem dysponowało wydawnictwo. Dwa łóżka, tuż obok piecyk z rondelkiem, obok też setki płócien, ciasno, nie ma się gdzie obrócić. Głasza oczyściła dla gościa stare, dziurawe krzesło, zawalone kartonem, szmatami, gazetami, połamanym sprzętem domowym. Saburow cieszył się jak dziecko:

— Dziękuję ci Wołodio, żeś przyszedł, Głasza też się cieszy. Rozumiesz, jak to dobrze wypadło: dziś rocznica naszego ślubu — dwa lata już razem... Marzyłem o tym, żeby uczcić, mówiłem do Głaszy — zaprosimy Puchowa, ale nie wyszło... koniec miesiąca... A mnie, osobiście nic nie wychodzi, mówili, że wezmą do teatru, skończyło się na rozmowach... Ale to nie ważne... Wspaniale żeś przyszedł. Napijemy się herbaty. Głasza ma konfitury... Głaszo, przecież uczyliśmy się z nim przez dziesięć lat razem. I przyszedł... Mamy szczęście...

Wołodia uśmiechał się:

— Gratuluję. Uczcijmy tę uroczystość. Przyniosłem trochę winka. Można wypić za wasze szczęście.

Głasza zaczęła się krzątać: chleba nie ma. Wołodia przyniósł wszystko. a o chlebie nie pomyślał Głasza powiedziała.

— Zaraz skoczę...

Gdy wyszła, Wołodia powiedział Saburowowi:

— Pamiętasz, gdy przyjeżdżał Teatr Kameralny, pokłóciłem się z ojcem. nie miałem ani kopiejki, a chciałem zaprosić Mirę i ty dałeś mi dwadzieścia rubli.

Saburow roześmiał się:

— Opowiadałeś, że zostało jeszcze na lemoniadę dla Miry, ty zaś sam nie pijeś. Ładna to była dziewczynka. Nie wiesz co się z nią stało?

— Poczekał, chciałem powiedzieć coś innego. Nie masz pieniędzy, to fakt. Masz — tysiąc, więcej teraz nie mam, ale mnie nie są absolutnie potrzebne. Zwrócisz, kiedy zostaniesz członkiem Akademii. Mogę poczekać. Mówię ci bierz... Słuchaj, jeżeli nie uważasz mnie za kolegę, obrażę się...

Wrocila Głasza z chlebem. Saburow zaproponował od razu usiąść do stołu, ale Wołodia poprosił go, aby pokazał swe prace. Saburow odmówił:

— Po co? Jeszcze się tobie nie spodobają. Lepiej wypijemy, przypomnijmy sobie szkołę...

Wołodia nalegał. Nie miał zbyt wielkiej ochoty na obejrzenie obrazów, ale uważał, że Saburow udaje skromnego i w głębi duszy obrazi się, jeżeli Wołodia jego nie pochwali. Głasza podtrzymywała Wołodię:

— Koniecznie należy pokazać... Władimirze Andriejewiczu, jego ostatnie pejzaże i mój portret — w zielonej bluzce — to wprost zadziwiające.

Wołodia kochał malarstwo, chociaż nikomu z tego nie przyznawał: gdy w jego obecności nawiązywano rozmowę o sztuce, milczał lub żartował. Przed paru laty spędził tydzień w Leningradzie, każdego ranka spieszył do Ermitażu i rozkoszował się starymi mistrzami. Wychodząc z muzeum, wracał do codziennego życia, myślał, gdzie złapać zamówienie, jak uzyskać przychylną Blandowa z wydziału sztuki, co zawieźć w prezencie Loli.

Milcząc patrzył na pejzaże Saburowa; twarz jego nie wyrażała ani aprobaty, ani ironii. Głasza na próżno spoglądała na niego: nie rozumiała w końcu, czy spodobały się Puchowowi prace męża. Wołodia rzucił jedynie: „Nie zabieraj, poczekaj“, lub „Odbija światło“, lub „Pokaż jeszcze“. Może talent Saburowa bardzo się rozwinął w ciągu trzech lat, może Wołodia był szczególnie wrażliwy tego wieczoru, ale był zdruzgotany. Zapomniał o wszystkim i na próżno Saburow powtarzał: „Starczy, chodźmy na kolację...“

Oglądając w muzeum płótna wielkich malarzy, Wołodia zachwycał się; było to jasne, lekkie uczucie, podobne do rozkoszowania się zielonością drzewa, lub urokiem twarzy kobiecej. Uważał, że kiedyś sztuka istniała, ale dawno znikła; nie bez przyczyny w muzeach zawsze jest coś niewązkiego — czystość, chłodek, zwiedzający mówią szeptem. Prace Saburowa wstrząsnęły nim: wszakże zrobił to współczesny mu, kolega szkolny. Oto czego nie mógł zrozumieć: namalował ten pejzaż tu, koło małego okna, w norze, ze swoją kulaską. Jakie pełne odcienie, ile głębi w stalowo-granatowym niebie, jak ciężka jest gliniasta ziemia, do jakiego stopnia jest to proste i niezrozumiałe. Saburow pokazał ostatni portret żony i Wołodia znów milczał. Głasza zapytała: „Czy Pan uważa, że jestem podobna?“ Nie odpowiedział. Widział tylko malarstwo: ochrę włosów, oliwkowe cienie na twarzy, zieloną bluzkę. I stopniowo tak, jak przedtem ukazywała mu się przyroda biedna i wspaniała, topniejący śnieg, czarność nagich gałęzi, błękit nieba, cud północnej wiosny, tak teraz zobaczył kobietę brzydką i piękną — można przeżyć całe życie po to tylko, by zasłużyć na jej nieśmiały, nikiły uśmiech...

W milczeniu usiadł do stołu, w milczeniu wypił szklaneczkę wódki i dopiero, gdy wypił, spostrzegł się: należało coś powiedzieć. Saburow nalał mu jeszcze. Wołodia powstał i tonem uroczystym, niespotykanym u niego, powiedział:

— Za two szczęście. Za Pani szczęście. Głafiro Antonowno. Widziałem Panią na jego portrecie. Widziałem two prace, Saburow. Za wasze szczęście. To wszystko.

Znów duszkiem opróżnił szklanke. W chwilę potem Głasza zapytała:

— Władimirze Andriejewiczu, niech Pan powie szczerze: czy Panu się naprawdę podobało?

Znów nie odpowiedział, ale po namyśle rzekł do Saburowa:

— Wiesz co? Zazdrość — to wstrętne uczucie, ale ci zazdroszczę.

Nad rankiem, wspinając się w górę śliską ulicą, pędzony przez zły wiatr, myślał: to powinno brzmieć głupio... Saburow żyje w obrzydliwych warun-

kach. Dobrze, z tym jeszcze można się pogodzić. Ale nikt przecież nie zna jego prac. Powiedział, że jestem pierwszym malarzem, który do niego przyszedł. W związku uważają go za nienormalnego. Co prawda, trzeba być schizofrenikiem, by tak pracować, nie ustąpić, robić to co się czuje... Tak, to brzmi głupio, ale to fakt: zazdroszczę mu. Mogę wrócić do Moskwy, postarać się, popodlizywać, urządzić mi wystawę, otrzymam nagrodę, zewsząd będzie słychać: „O, Puchow“, „Ach, Puchow“ — mimo wszystko będę zazdrościł temu schizofrenikowi. Tanieczka powiedziała słuszniej: dobrze, że ożenił się z kulaską. Takiego portretu nie można namalować na obśtałunek... Tu trzeba nie tylko artyzmu — trzeba uczucia... Oto znów myślę o niczym, w ten sposób można oszaleć. Ale jeżeli zwariuję, nie namaluję takich obrazów, jak Saburow, nie — i talentu za mało i przehandlowałem wszystko. Będę nawet w szpitalu dla umysłowo chorych malował białe kury zgodnie z instrukcjami... Pan tego chciał Władimirze Andriejewiczu? Chciałem. Więc, rachunki wyrównane...

Następnego ranka przyszła do Wołodii Nadieżda Jegorowna.

— O tobie napisano w gazecie. Zaraz ci przeczytam... „Należy wyróżnić głęboko realistyczne panneau malarza Puchowa, wykonane z właściwym mu mistrzostwem. Obok niego wyróżnia się...“ Nie, to już o dywanie... Zadowolony jesteś?

Chciał zakląć, ale przypomniał sobie: mama obrazi się, kiwnął głową, potem powiedział:

— Dobrze, że ojcu lepiej, niepokoiłem się o niego.

Nadieżda Jegorowna rozczulona ucałowała syna. Tego Andriusza nie wie: Wołodia ma dobre serce, tylko że jest skryty.

Wołodia podeszedł do okna: śnieg, nic oprócz śniegu... W pokoju było ciepło, ale gdzieś wewnątrz czuł taki chłód, że wziął z przedpokoju palto, narzucił na siebie. Jednakże ogrzać się nie mógł.

(C. d. n.)

Tłum. MARIA GRABOWSKA





CHOROBY NERWOWE

Dr YVETTE MARTINET

PSYCHIATRIA, choroby psychiczne, wariaci! Już same te słowa kojarzą się od razu z pojęciem jakiegoś wielkiego niepokoju, z krzykiem, z gwałtownymi wybuchami, kiedy wszelkie hamulce przestają działać. Jednak większość sal w szpitalach dla psychicznie chorych przypomina sale w zwykłych szpitalach, w których leżą chorzy wstają, rozmawiają, grają w karty. Oczywiście tu i ówdzie usłyszymy jakieś dziwne rozmowy, lub zaskoczy nas czyjeś dziwne zachowanie; ale często konieczna jest dłuższa obserwacja, by zauważyć nienormalne zachowanie się pacjentów. Przecież ludzie ci nie mogą żyć normalnie wśród innych.

Właśnie psychozy są tymi formami zaburzeń psychicznych, które dość silnie zmieniają osobowość chorego i jego zachowanie, i które u-

trudniają mu prowadzenie normalnego trybu życia. Znamy bardzo wiele rodzajów psychoz, przybierających formy od najbardziej tragicznych począwszy aż do komicznych.

Najcięższą psychozą jest schizofrenia albo demencja wczesna: Młody człowiek, który dotychczas czuł się dobrze, zaczyna zachowywać się dziwnie, wbrew swoim zwyczajom przestaje interesować się swoją pracą, rozrywkami, staje się jakby daleki w stosunku do otoczenia, trudno go czymś poruszyć. Niepokoją go urojenia. O jego oderwaniu od świata zewnętrznego świadczą halucynacje, podczas których widzi jakieś nieistniejące przedmioty, słyszy nieistniejące dźwięki i rozmowy. Często chory zdaje sobie sprawę z tych przemian i sam opisuje z przerażeniem to uczucie „obcości“.

Objawy te nasilają się stopniowo, chory całe tygodnie spędza bezczynnie, popełnia zupełnie nieprzewidziane czyny, czasem nawet niebezpieczne. Żyje odtąd w jakimś innym świecie, który ma swoją logikę i swoje własne prawa, lecz do którego nikt nie ma dostępu. Leczenie może polepszyć stan chorego, ale przeważnie jest to tylko chwilowa poprawa i często po kilku latach choroba pogłębia się, doprowadzając do zupełnego obłędu, w którym inteligencja i wrażliwość uczuciowa prawie całkowicie zanikają. (Należy dodać, że chociaż lekarze psychiatry interesują się przede wszystkim tą tragiczną chorobą, poświęcając jej wiele dzieł naukowych, to jednak nie jest ona tak często spotykana).

Do psychoz należy również rozległa dziedzina urojeń, przejawiających się w najrozmaitszych formach, różnie rozwijających się i o rozmaitych skutkach. Urojenia mają nieraz ostry przebieg (trwają tylko kilka dni lub nawet kilka godzin), jak przy ciężkim zatruciu alkoholem lub po prostu przy dużej gorączce. Jest to rodzaj ciężkiego snu, z którego człowiek budzi się.

Ciekawsze są formy chroniczne, długotrwałe, o niezliczonych odmianach. Może to być po prostu fałszywa interpretacja rzeczywistości. Jeżeli na przykład obrażamy się ciężko w chwili złego humoru z powodu zwykłego żartu przyjaciela — nie jest to urojenie. Ale kiedy myśl taka staje się głębokim przekonaniem, kiedy szuka się potwierdzenia w innych równie fałszywych urojeniach, całe życie mocno się komplikuje. Chory

wiąże wtedy wszystko ze swoim urojeniem prześladowającym go; każde słowo, każdy postępek analizuje w sposób stronniczy. Jeden uważa, że jest prześladowany. Jeśli ktoś uśmiecha się do niego, to tylko po to, by go oszukać, jeśli ktoś częstuje go ciastkami, to tylko po to, by go otruć, hałasy, które słyszy w nocy — to zbliżający się wróg. Inny jest synem wielkiej osobistości. Został porwany w dzieciństwie, jego prawdziwym ojcem jest książę. Jak się o tym dowiedział? Przypadkowo, w czasie jakiejś rozmowy, z jakiejś lektury, a odtąd najrozmaitsze wskazówki potwierdzają prawdziwość tego przekonania.

Częste są manie wielkości. Oto chory, który was zapewnia, że jest milionerem, że jego własne ciężarówki wyładowane złotem toczą się po rozmaitych drogach świata, że wszędzie posiada pałace. Dlaczego więc pędzi tak smutne życie w szpitalu? Ach, to jest tylko przelotne nieporozumienie. Kilku złych ludzi, którzy mu zazdroszczą, wsadzili go tu, ale to tylko chwilowo... wkrótce przyjedzie go zabrać córka, która ma nieograniczone środki do dyspozycji, jest bowiem królową angielską. Czy jest tego pewny? Ależ oczywiście, wszyscy o tym mówią — dzienniki, radio. Nazywa się Elżbieta!

Wszystkie te oszałamiające myśli nie opierają się jedynie na słowach: chory znajduje ich potwierdzenie w wizjach, które są tylko dla niego dostępne, w rozmowach, które tylko on słyszy, i w które wierzy bez zastrzeżeń.

Czasem urojenie ogarnia całą osobowość chorego, zaprzęta wszystkie jego myśli. Czasem odwrotnie — urojenie absorbuje tylko część jego życia psychicznego, pozostawiając mu możliwość zachowania normalnego stosunku do innych zagadnień. Znamy przecież wszyscy ludzie pozornie normalnych, którzy tylko w niektórych dziedzinach przejawiają zdumiewające nas dziwactwa.

Innym rodzajem psychozy jest psychoza depresyjna. Wywołana czasem przez gwałtowne wzruszenie, przejawia się w postaci apatii, czarnych myśli, ataków płaczu. W najostrzejszej formie wyklucza zupełnie zdolność działania. Chory pogrążony w smutku absolutnie niczym się nie interesuje. Rozpacz może go nawet doprowadzić do samobójstwa, ponieważ uważa on, że życie jest nic nie warte.

Jest na szczęście pewna dobra strona w tej chorobie, a mianowicie można ją najłatwiej wyleczyć. Przeciwnieństwem jej jest to, co nazywamy manią. Tu wszystko dzieje się na odwrót. Chory jest wesoły, szczęśliwy, gadatliwy, podniecony, do tego stopnia zresztą, że staje się nieznosny dla drugich i także wymaga leczenia. Mania ta daleko posunięta stanowi niepokojący obraz prawdziwego furia, wyjącego, gestykującego, gotowego wszystko zniszczyć dokoła siebie. Chorego takiego trzeba natychmiast przewieźć z pomocą silnych pielęgniarzy do szpitala dla psychicznie chorych.

* * *

Na szczęście choroby psychiczne nie zawsze przebiegają tak dramatycznie.

Spokojniejszą dziedzinę stanowią nerwice, które mniej odbiegają od stanu normalnego. Należą do nich rozmaite zaburzenia charakteru, konflikty uczuciowe i moralne, obsesje, niepokój, histeria: cały świat niepokojów i problemów, które niewątpliwie utrudniają życie jednostkom dotkniętym tą chorobą, ale jednocześnie pozwalają im żyć prawie normalnie. Nieposób opisać te niezliczone objawy przechodzące z jednej ostateczności w drugą.

Bywają paranoicy arogancy, pewni swojej racji, przekonani, że to właśnie cały świat jest w błędzie i którzy dochodzą nawet do manii prześladowczej. I odwrotnie bywają bojaźliwi, czujący się wszędzie źle, zawsze uważający się za mniej wartościowych od innych, świadomi swych wad. Bywają też egoiści, zupełnie nieuczuciowi, niezdolni do interesowania się kimkolwiek, lub przeczuleni, przewrażliwieni nawet wobec najmniejszych trudności codziennego życia do tego stopnia, że nie są zdolni do myślenia o czymkolwiek innym. Lekkomysłni, niestali, którzy żyją z dnia na dzień, nie myśląc o przyszłości, są przeciwnieństwem skrupulatnych do maniactwa. Jak to nazywamy, którzy nie posuną się o krok naprzód, póki nie zastanowią się drobiazgowo nad tym, co już zrobili, którzy narzucają sobie niezliczone a zbyteczne reguły postępowania przy najmniejszej okazji. Są to bardzo uczciwi ludzie, trochę drobiazgowi, zbyt sumienni urzędnicy.

Ale czasem zdarza się, że popadają w obsesję stałych wątpliwości, która utrudnia im powzięcie decyzji i pa-

ALLES ENSELO ONDEPAU L'LES BOULEN OPEVE
PAPAL RELEVONS LE POUVOIR LE VONS LE POUVOIR PAPAL

HABITR UNIVERSEL EMOI AMMATOME PAROLE ETERNELLE

SORTEGE LEMANAT PRIMORDIALISME PRECORDIALISME

FOUDHERODIE COSMOPOLITE

FULMEN COTTON

PORTION PIE-DIX CONGRUE

PATIENCE

LES PETITS PETITS LES

CULSENT

PROUDHON

JULES JESUS

GRIVY

LA CAULE

LE MONDE



PEUPLES ET NATIONS

TRESSAILLEZ



REPUBLIQUE FRANCIEUSE

CRANCIEUSE - CROSCIEUSE - CRASCIEUSE - GRANDIEUSE

PROSPERITE LIBERTE PEREGALITE

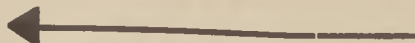
ralizuje całą ich działalność. Są także jednostki zbyt spokojne, biernie, niemal obojętne w stosunku do życia, lub przeciwnie — niespokojne ofiary nieuzasadnionego lęku dotyczącego przeszłości, który odbiera im całą radość życia. Istnieją także słabi, tchórzliwi, uginający się pod wszelkimi trudnościami, źli, którzy cieszą się z cierpień innych, perwersyjni, którzy je prowokują umyślnie, łgarze, zwykli zarozumialcy lub prawdziwi mitomani, wierzący w niezwykle przygody, które sami wymyślają. Jest jeszcze bardzo wielu innych...

Wspólne dla tych wszystkich nerwic jest to, że poważną rolę w tych zaburzeniach odgrywa środowisko zewnętrzne. Wszystkie te anomalie usposobienia i myśli są reakcją na problemy, które narzuca życie. Oczywiście, warunki zewnętrzne, konstytucja chorego gra swoją rolę i w tych samych warunkach większość ludzi znajduje jakieś rozwiązanie, a innym się to nie udaje. Jeden będzie reagował złośliwością, drugi biernym podporządkowaniem się, trzeci zamknięciem się w sobie. U niektórych te cierpienia duchowe tłumaczą się rzeczywistymi chorobami organicznymi. Są to hipochondrycy, którzy odczuwają stokrotnie silniej drobne cielesne dolegliwości, histerycy miewający ataki nerwowe, słowem wszystkie zaburzenia czynnościowe, które medycyna długo miała w pogardzie, uważając tych chorych za

symulantów. Dzisiaj rozpoczęto badania naukowe w tej dziedzinie, doceniając jej wagę i złożoność.

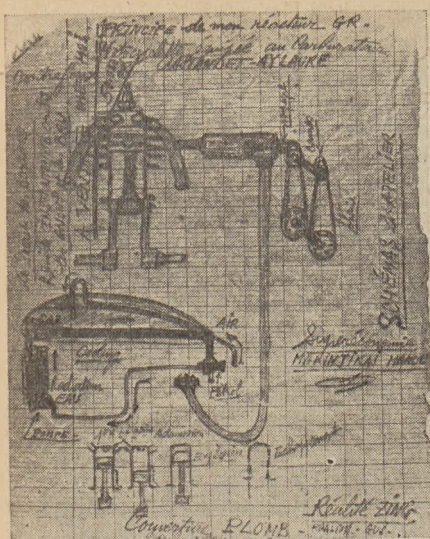
Niewątpliwie każdy z nas wie z własnego doświadczenia, że zmartwienie wywołuje chęć do płaczu, odbiera apetyt, może spowodować rzeczywiste niedomagania fizyczne — bicie serca, bóle głowy, lecz nie wszyscy wiedzą, że może również wywołać w niektórych wypadkach atak astmy, egzemę, nadciśnienie. Jak ustalić dokładnie udział tych zjawisk psychicznych w powstawaniu innych chorób lub w zmniejszeniu odporności na zakażenia? Medycyna od kilku lat interesuje się coraz bardziej związkiem istniejącym między chorobami psychicznymi a organicznymi.

Któż nie słyszał o takich naukowych terminach medycznych jak psycho - somatyka czy medycyna korowo - trzewna? One właśnie wyrażają nowy kierunek w medycynie. Po cóż dwa różne terminy, jeśli chodzi o jedną i tę samą rzecz? Spór dwóch różnych szkół, lecz niezmiernie ważny. Psycho-somatyka pod wpływem psychoanalizy (powróćmy do psychoanalizy w związku z leczeniem chorób psychicznych) usiłuje tłumaczyć wszystko zaburzeniami w sferze instynktów i podświadomości, które są domeną hipotetyczną i niepoznawalną. Szkoła korowo-trzewna zrodzona z prac Pawłowa o odruchach warunkowych tłumaczy, że siedzibą życia psychicznego jest kora mózgowa czyli powierzchowna warstwa mózgu, która jest wrażliwa na wpływy świata zewnętrznego i wyjaśnia, jak je ona przetwarza i jak wpływa na narządy wewnętrzne.



(Rysunek ołówkiem)

Zbiory Dr CHAMBARD



Zrodzona w wyobraźni maszyna

W ten sposób otworzyła się szeroka droga do badań naukowych nad wyjaśnieniem zjawisk życia.

Jest to dziedzina przyszłości! Zatrzymajmy się nad tym, co znane jest już dzisiaj. Co wiemy o przyczynach, rozwoju i leczeniu psychoz i nerwic? Przyczyny są liczne i złożone. Pewien udział ma tu konstytucja chorego i dziedziczność. Czasem mamy do czynienia z wpływem przewlekłych zatruc (alkoholizm na przykład) lub infekcji (bakterie lub wirusy atakujące mózg). W innych wypadkach występują zaburzenia w działaniu mózgu na skutek zaburzeń w krążeniu lub przez guzy. Czasem może to być na skutek wypadku, uszkodzenia czaszki, które pozostawiają trwałe anomalie.

Poważne znaczenie, szczególnie przy nerwicach, ma wpływ środowis-

ka, w którym żyje chory: zmartwie-
nia, troski, trudności, zmęczenie. Bez
wątpienia każdy ulega tym wpły-
wom, ale nie wszyscy reagują na nie
jednakowo. Inne formy nerwicy wy-
stępują wśród robotników w krajach
kapitalistycznych, przemęczonych
ciężką pracą w hałasie i kurzu, na-
rażonych na różne choroby i bezro-
bocie, i inne wśród bogatych próż-
niaków, których dreczy bezcelowość
życia. Wszyscy oni odczuwają lęk
wobec życia, w którym trzeba zna-
leźć sobie miejsce kosztem drugich,
w którym groźba wojny zaciemnia
jeszcze bardziej i tak już niepewną
przyszłość.

Wszystko to stwarza pewien ciąg
trudności w życiu. Bardziej zrówno-
ważeni znajdują rozwiązanie dla
tych problemów, swoje miejsce
mniej lub bardziej godne zazdrości,
ale mające duże znaczenie dla nich
samyh. Inni tracą grunt pod nogami.

Jest to również widoczne wśród
dzieci. W okresie, kiedy zaczynają
rozumieć zjawiska otaczającego je
świata, konflikty stają się bardziej
dotkliwe. Wszystkie trudności rodzi-
ców, kłopoty materialne, ciasnota w
mieszkaniu, niezgoda w rodzinie,
zbytnia surowość, jak również nied-
bała pobłażliwość mogą spowodować
różne spacenienia charakteru. Spo-
tykamy dzieci o zmiennym usposo-
bieniu, pobudliwe, które wyrzucane
są nieraz ze szkoły, nieposłuszne aż
do zajętych tylko sobą lub złośli-
wych, które mszczą się na innych
za własne trudności. Bardzo często
konflikty te słabną z wiekiem, pozo-
stawiając jedynie ślady w charakte-
rze młodego człowieka. Czasem za-

psychicznych? Tak. Różne leki, zwłaszcza uspokajające nerwowo, pewne witaminy, mogą spowodować znaczną poprawę. Lecz istnieją jeszcze lepsze środki, chociaż trochę przerażające — elektrowstrząsy. Przekonano się, że można opanować atak nerwowy przepuszczając prąd elektryczny przez mózg. Oczywiście, nie można stosować tego lekkomyślnie. W ściśle określonych przypadkach, np. depresji, kiedy elektrowstrząsy są konieczne, dają doskonałe wyniki. Do tej samej metody leczenia należy stosowanie dożylnych zastrzyków cardiazolu lub wstrząsów insulinowych w wypadkach rzadszych i poważniejszych, na przykład demencji wczesnej.

Ostatnie lata przyniosły bardziej sensacyjną metodę, a mianowicie

neuro-chirurgię, działającą na części mózgu spełniające funkcje psychiczne (lobotomia, topectomia). Operacje te są łagodne, ale ich wpływ na życie psychiczne chorego podlega ciągle jeszcze dyskusji. Po pierwszych latach entuzjazmu wielu lekarzy zarzuciło tę metodę, a jej obecni zwolennicy mocno ograniczają wskazania.

Ostatnią wprowadzoną metodą, na której wiele się buduje, jest leczenie snem. Metoda ta wywodzi się z prac Pawłowa i jego uczniów, którzy wykazali, że sen jest zahamowaniem, odpoczynkiem dla komórek mózgowych. Odpoczynek osiąga się przez spowodowanie sztucznego snu. Metodę tę stosuje się już dziś szeroko przy nerwicach i schorzeniach wewnętrznych.

Mania prześladowcza (akwarela). Osoby zebrane wokół stołu piją krew ofiary





Tylko oczy matki

JUDITH MERRIL

MARGARET wyciągnęła rękę ku tej stronie łóżka, gdzie powinien się znajdować Hank. Jej palce namacały pustą poduszkę, a wtedy zupełnie się rozbudziła, dziwiąc się, że po tylu miesiącach zachowała to stare przyzwyczajenie. Starła się zwinąć w kłębek jak kot, by odnaleźć swe własne ciepło, po czym wyskoczyła z łóżka, uświadamiając sobie z uśmiechem, że jej stan staje się bardziej widoczny i czyni ją niezręczną.

W jej rannych ruchach było wiele automatyzmu. Przechodząc przez

małą kuchenkę, nacisnęła guzik, który rozpoczynał przygotowanie do śniadania — lekarz zalecił jej jeść rano ile tylko zdoła — a potem wyciągnęła ze skrzynki gazetę. Rozwijala ją starannie, aż dotarła do rubryki „informacji krajowych“, po czym położyła na półce w łazience, by ją przejrzeć podczas mycia zębów.

Nie ma wypadków.. Nie ma wybuchów.. W każdym razie nic, co by można uznać oficjalnie za godne publikacji. A więc, Maggie, nie bój się.. Żadnych wypadków.. Żadnych wy-

buchów. Trzeba brać dosłownie to, co podaje ta uprzejma gazeta.

Trzy jasne krótkie dźwięki dzwonka w kuchni oznajmiły, że śniadanie już gotowe. Położyła obrus na stole i talerze w żywych kolorach z płochym zamiarem pobudzenia słabego apetytu. Potem, kiedy wszystko już było przygotowane, poszła po pocztę. Użytyła sobie przyjemności przedłużonego oczekiwania, bo dzisiaj **na pewno** będzie list.

Był, było ich nawet kilka. Dwa rachunki i mozolne słówko od matki: „Kochanie, czemu nie zawiadomiłaś mnie o tym wcześniej? Jestem tym naturalnie ogromnie wzruszona; wiem dobrze, że nie lubi się mówić o tych rzeczach — ale czy jesteś **pewna**, że lekarz się nie pomylił?

Hank kręcił się w ciągu tych ostatnich lat wokół uranu i toru i nie wiem czego jeszcze, ale wiem dobrze, że jak mówisz, jest rysownikiem, a nie technikiem i że nie zbliża się od tego, co mogłoby być niebezpieczne, ale wiesz dobrze, że pracował w Oak-Ridge. Czy nie sądzisz?

Ale ja jestem oczywiście starą głupią kobietą i nie chcę Cię straszyć. Wiesz lepiej ode mnie o tych rzeczach i pewna jestem, że twój lekarz ma rację, on **powinien** wiedzieć...”

Margaret pochyliła się nad swoją doskonałą kawą i zaczęła przeglądać informacje aż do „nowin lekarskich”.

„Zatrzymaj się, Maggie, zatrzymaj. Radiolog oświadczył, że praca Hanka nie naraża go na żadne niebezpieczeństwo. A zbombardowana strefa,

koło której przechodziliśmy... Nie, nie, teraz się zatrzymaj. Przeczytaj, moja mała Maggie informacje z życia towarzyskiego i przepisy kucharskie”.

Dobrze obznajomiony z nowościami lekarskimi biolog uznał, że już w piątym miesiącu można powiedzieć z absolutną pewnością, czy dziecko będzie normalne, lub co najmniej czy „zmiany” przybiorą jakiś potworny charakter. W każdym razie można uprzedzić najgorsze wypadki i uniknąć ich.

Naturalnie nie można wykryć zmian bardzo małych — w rysach twarzy, czy w strukturze intelektualnej. I zdarzyło się niedawno parę wypadków normalnych embrionów z obumarłymi członkami, które nie rozwijały się dalej poza siódmym lub ósmym miesiącem. Ale — stwierdził lekarz w sposób pocieszający, **najgorsze** wypadki można teraz przewidzieć i zapobiec im.

„Przewidziano i zapobieżono”...

„Myśmy przewidzieli, prawda? Hank i inni przewidzieli. Ale nie mogliśmy wcale zapobiec. Mogli bylibyśmy to zrobić w 1946 lub w 1947 r., ale teraz...”

Margaret miała już dosyć śniadania. Od dziesięciu lat kawa starczała jej na ranny posiłek, dzisiaj także byłaby jej wystarczyla. Zaczęła zapinać skomplikowaną suknię, która zdaniem sprzedawczyni była wyjątkowo praktyczna na ostatnie miesiące. Z gestem prawdziwej radości, zapomniawszy o listach i gazecie, stwierdziła, że się zbliża do ostatniego guzika. Teraz nie będzie już musiała długo czekać.



Miasto we wczesnych godzinach rannych zawsze ją szczególnie podniecało. W nocy padał deszcz i szosa nie była tym razem zakurzona, ale

wilgotna i tłusta. Jako kobieta wychowana w mieście, gdzie unosiły się cierpkie dymy fabryk, oceniła świeżość powietrza. Jej miejsce pracy

znajdowało się o sześć bloków od jej domu. Idąc spoglądała na gasnące światła w gmachach o szklanych ścianach, dokąd przenikały już pierwsze promienie słońca, gdy one kwitły w ciemnych warsztatach fabryki cygar.

Biuro znajdowało się w nowym budynku państwowym. W unoszącej się windzie poczuła się jak zawsze parówką, uwięzioną na starej patelni. Z ulgą opuściła na czternastym piętrze tę duszną klatkę i zasiadła za biurkiem, stojącym na krańcu długiego rzędu takich samych mebli.

Co rano stos oczekujących na nią papierów stawał się nieco wyższy. Jak każdemu było wiadomo, przeżywano decydujące miesiące. W zależności od tych obliczeń jakie robiły i wielu jeszcze innych — wojna mogła być bądź wygrana, bądź przegrana.

Biuro pośrednictwa pracy przysłało ją tutaj, kiedy jej dawna praca ekspedientki stała się dla niej zbyt uciążliwa. Jej maszyna do liczenia była łatwa w użyciu, a praca absorbująca, mimo że mniej przyjemna, niż jej poprzednie zajęcie. Ale w ciągu dni nie należało wcale myśleć o wypoczynku. Potrzebni byli ci wszyscy, którzy potrafili cokolwiek robić.

A ja jestem prawdopodobnie — przypomniawszy sobie o badaniu u psychoanalityka.

— Ja jestem prawdopodobnie obdarzona naturą zmienną. Zadaję sobie pytanie, jaki rodzaj nerwowego niepokoju byłby mnie ogarnął, gdybym została w domu i czytała ten sensacyjny artykuł...

Ale zatopiła się w pracy, nie myśląc o tym więcej.

* * *

18 lutego

Hank, kochanie

Tylko jedno słówko — ni mniej ni więcej, tylko ze szpitala. Dostałam zawrotu głowy w czasie pracy i lekarz wziął to sobie do serca. Pojęcia nie mam, co będę robić, leżąc tutaj całe tygodnie i czekając, ale dr Boyer, jak się zdaje uważa, że to nie potrwa długo.

O wiele za dużo tutaj gazet... Opisują one coraz to liczniejsze dzieciobójstwa i wydaje się, że nie łatwo znaleźć sędziów, którzy by za to skazali. Winni są ojcowie. To szczęście, że Cię tutaj nie będzie na wypadek, gdyby...

Oh, mój najdroższy, to żart, który nie jest bardzo zabawny, prawda? Pisz do mnie tak często, jak tylko będziesz mógł. Mam za dużo czasu na rozmyślanie. Ale w gruncie rzeczy wszystko dobrze idzie i nie ma powodów do zmartwienia.

Pisz często i pamiętaj, że Cię kocham.

Maggie

* * *

Telegram służba specjalna

21 lutego 1953

22:04 LK 37 G

od kapitana technika

H. Marvella

x 47— 106 GCNY

do pani H. Marvell

Szpital Kobiety

New York City

Otrzymałem telegram lekarza — stop. Przyjadę czwarta dziesięć —

stop. Krótki urlop by cię zobaczyć — stop. Uściski. Hank.

25 lutego

* * *

Kochany Hank!

Więc Ty także nie widziałeś dziecka? Można by sądzić, że w tak ważnym miejscu znajduje się w cieplarni — przynajmniej jedno urządzenie, umożliwiające ojcom rzucenie okiem na dziecko, nawet jeżeli biedne ciemne mamy nie mogą tego uczynić.

Powiedziano mi, że nie będę mogła jej zobaczyć przed upływem jeszcze jednego tygodnia, a nawet może i więcej, ale naturalnie moja matka mnie ostrzegła, że jeżeli nadal będę tak szybko chodzić, wszystkie moje dzieci będą się rodzić przed terminem. Dlaczego ma ona **zawsze** rację?

Czy spotkałeś tę babę-dragona, tę pielęgniarkę, którą tutaj przysłano? Nie powinni pozwalać, aby tego rodzaju kobieta znajdowała się na sali porodowej. Ma obsesję na punkcie zmian biologicznych i zdaje się, że nie umiałaby mówić o niczym innym. Ale w każdym razie **nasze** dziecko jest doskonałe, nawet, jeżeli przyszło przedwcześnie na świat.

Jestem zmęczona. Powiedziano mi, że nie powinnam jeszcze siadać. Ale **musiałam** do Ciebie napisać. Moja miłości, mój ukochany.

Maggie

* * *

29 lutego

Nareszcie mogłam ją zobaczyć. Wszystko co mówią o noworodkach jest idealnie prawdziwe. Mają one twarzyczki, które tylko matki mogą kochać — ale ona ma wszystko, co trzeba, kochany, oczy, uszy, nosy

— nie, tylko jeden — i wszystko we właściwym miejscu. Co za szczęście nas spotkało, Hank.

Obawiam się, że byłam uciążliwą pacjentką. Nie przestawałam mówić tej kobiecie o twarzy, wyciosanej siekierą i która ma manię na temat zniekształceń, że chciałabym zobaczyć moje dziecko. Wreszcie lekarz przyszedł mi „coś wyjaśnić“ i powiedział mi mnóstwo głupstw, z których większość nikt — nie więcej aniżeli ja — nie mógłby nic zrozumieć. Jedyną rzeczą, jaka wydała mi się zrozumiała było to, że powinna jeszcze pozostać w cieplarni — uważają, że jest to „bardziej rozsądne“.

Wydaje mi się, że mnie to niezgorzej zdenerwowało. Domyślasz się, że byłam bardziej zaniepokojona, aniżeli to po sobie pokazywała. Towarzyszyła temu wszystkiemu jedna z tych lekarskich konferencji, prowadzonych po cichu za drzwiami, aż wreszcie kobieta w bieli oświadczyła: „Więc, moglibyśmy ostatecznie... Może to będzie lepiej“.

Słyszałam o kompleksie „prawa boskiego“, panującym wśród lekarzy i pielęgniarek w tym szpitalu i zapewniam Cię, że zarówno w dosłownym znaczeniu, jak i w przenośni matka nie ma tutaj nic do gadania.

Jestem ciągle jeszcze straszliwie osłabiona. Napiszę do Ciebie niedługo znowu. Serdeczności.

Maggie

Mój bardzo kochany Hank!

Pielęgniarka myliła się, mówiąc Ci o tym. Jest całkiem głupia. Jest to bowiem dziewczynka. Łatwiej zdać sobie sprawę u dzieci, aniżeli

u kotów, więc **wiem**. Co powiesz o imieniu Henriette?

Jestem już z powrotem w domu, gdzie rozwijam ożywioną działalność. W szpitalu wszystko pokreślił w swoich zaleceniach i sama musiałam się uczyć kąpać małą i wszystkiego innego. Mała staje się coraz ładniejsza. Kiedy będziesz mógł dostać urlop — **prawdziwy** urlop?

Czułości

Maggie

* * *

Hank Najdroższy!

Powinieneś teraz ją zobaczyć — musisz przyjechać. Wysłałam Ci kolorowy film. Moja matka przysłała mi dla niej nocną wyprawkę. Ubrałam ją w jeden taki komplecik, w którym przypomina worek do ziemniaków śnieżnej białości z tą ładną, tak ładną buzią kwitnącą w rumieńcach. Czy wolno mi tak mówić? Czy nie jestem dziwaczną matką? Ale czekaj, aż ją **zobaczysz**.

10 lipca

...Wierz mi albo nie, jak chcesz, ale nasza córka umie mówić — jednak nie tak, jak niemowlęta. Alicja pierwsza to spostrzegła — jest dentystką, asystentką w WAC, jak ci wiadomo. Kiedy usłyszała, jak mała wydaje dźwięki, które brałam za zwykle gaworzenie, powiedziała mi, że to są słowa i zdania, ale że nie są wyraźnie artykułowane, ponieważ nie ma jeszcze zębów. Zaniósę ją do specjalisty od tych spraw.

13 września

...Rzeczywiście, mamy cudowne dziecko. Teraz, kiedy ma już wszystkie przednie ząbki, mówi bardzo wyraźnie i — nowy talent — umie

śpiewać. Chcę powiedzieć, że wydaje ze siebie dźwięki muzyczne. Mając siedem miesięcy! Mój najdroższy, wszystko byłoby cudowne na tym świecie, gdybyś tylko mógł wrócić do domu.

19 listopada

...Mały diabełek jest tak zajęty wyrabianiem w sobie zręczności, że cały czas spędza na nauce pełzania. Lekarz mówi, że rozwój przebiega zwykle kapryśnie w takich wypadkach...

Telegram Służby Specjalnej

1 grudnia 1953 r.

c8; 47 LK 59

od kapitana technika

H. Marvella

x 47 — 016 GCNY

do pani H. Marvell

Apt. K.—17

504 E. 19 st.

N. Y.

N. Y.

Tygodniowy urlop zaczyna się jutro. Stop. Przyleć lotnisko dziesiąta pięć. Nie trzeba mnie spotykać. Stop. Tysiąc uścisków. Hank.

* * *

Margaret wypuściła wodę z małej wanienki, zostawiając ją tylko na wysokość paru cali i włożyła do niej wierzące się dziecko.

— Lepiej żeś się spóźniła, wiesz mała, powiedziała radosnym głosem do córeczki. Nie mogłabyś wpełznąć sama do wanienki.

— Ale czemużbym nie miała iść pod prysznic?

Margaret mimo, że już przyzwyczajona do płynności wymowy dziecka, jeszcze czasem się dziwiła. Zawinęła w ręcznik mały kłębek różowego ciała i zaczęła je wycierać.

— Ponieważ jesteś zbyt mała, twoja główka jest jeszcze bardzo wrażliwa, a prysznice są przedmiotami bardzo twardymi.

— No to kiedy będę mogła iść pod prysznic?

— Kiedy zewnętrzna część twojej główki będzie równie solidna, jak jej wnętrze, uczona córeczko.

Wyciągnęła rękę ku czystym koszulkom.

— Nie mogę zrozumieć, dodała, przypinając kwadratowy kawałek materiału w poprzek nocnej koszulki, jak dziecko tak inteligentne, jak ty, nie umie samo wziąć koszulki, jak każde inne.

Przyzwyczajano je do tego od wieków, wyobraź sobie i rezultaty są doskonałe.

Dziecko zlekceważyło odpowiedź. Tak często słyszało tę samą uwagę. Czekala cierpliwie, jak ją — czyściutką i pachnącą — włożą do jej białej kołyski. Podziękowała wówczas swojej matce jedynym z uśmiechów, które nieuchronnie przypominają Margaret pierwszy promień słońca wystrzelający z różowej jutrztenki.

Przypomniała sobie wtedy, jak zareagował Hank, oglądając kolorowy film, który mu ukazywał to wspaniałe dziecko, a potem pomyślała, że już jest późno.

— Teraz pora spać, moje malenstwo. Kiedy się obudzisz, tatuś już tutaj będzie.

— Co? spytało dziecko, w którym umysł czteroletniego dziecka na próżno walczył, by przebudzić ciało, które nie miało jeszcze dziesięciu miesięcy.

Margaret poszła do kuchni i wyregulowała aparat, oznajmiający, kiedy pieczeń będzie ugotowana. Obejrzała stół, wyciągnęła z szafy nową suknię i nowe buty, kupione parę tygodni temu i odłożone do dnia, kiedy przyjdzie telegram od Hanka.

Zatrzymała się na chwilę, by rozwinąć papier gazety, potem zabierając suknię i gazetę poszła do łazienki, pogrążając się w luksusie wonnej kąpieli.

Obojętnie spoglądała na wiadomości. Dzisiaj nie było przynajmniej potrzeby czytania „wiadomości z kraju“. Był też artykuł biologa — zawsze tego samego. Ilość zniekształceń u niemowląt wzrasta w niesłychany sposób. Zbyt wcześnie jeszcze, by wyciągać z tego jakieś wnioski. Nawet pierwsze zniekształcone dzieci urodzone w okolicy Hiroshimy czy Nagasaki w 1946 i 1947 r. były zbyt młode, by mieć potomstwo.

Ale moje dziecko jest bez zarzutu. Prawdopodobnie istnieje jakiś rodzaj promieniowania, wywołanego wybuchami bomby atomowej, które sprawiają szkody. **Moje dziecko jest bez zarzutu.** Jest przedwcześnie dojrzałe, ale normalne. Gdyby zwrócono większą uwagę na pierwsze zniekształcenia w Japonii, mówili...

Wiosną 1947 r. ukazała się w gazecie mała notatka. Było to w momencie, gdy Hank opuścił Oak Bridge. W dzisiejszej Japonii tylko dwa lub trzy procent tych, którzy winni są dzieciobójstwa, są aresztowani i karani... **„Ale moje dziecko jest bez zarzutu“.**

Była już ubrana, uczesana i kończyła kłaść szminkę na usta, kiedy zabrział dzwonek. Rzuciła się ku drzwiom i usłyszała za nimi szcęk — jakiego nie słyszała do osiemnastu miesięcy i który prawie zapomniała — obracanego w zamku klucza, gdy odgłos dzwonka nie zdążył jeszcze ucichnąć.

— Hank!

— Maggie!

Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Tyle dni, tyle miesięcy, w ciągu których nagromadziły się krótkie liściki; miała mu tyle do powiedzenia, a teraz stała bez ruchu, patrząc na mundur koloru khaki i białą obcą twarz. Odtworzyła sobie w pamięci jego rysy. Był to ten sam mocny nos, te same duże oczy, to samo delikatnie zarysowane czoło, ta sama długa szczeka, te same włosy, odkrywające szerokie skronie, te same zgięcia koło ust.

Był blady... Naturalnie. Przez cały ten czas przebywał pod ziemią. I dziwna rzecz — stał się bardziej obcy na skutek braku znanych gestów, aniżeli byłby nim ktokolwiek nowo przybyły.

Zdażyła pomyśleć o tym wszystkim zanim ręka Hanka nie dotknęła jej ręki i nie wypełniła przepaści tych osiemnastu miesięcy. Teraz znowu nie mieli sobie nic do powiedzenia, bo to nie było potrzebne. Byli razem i to wystarczało.

* * *

— Gdzie ona jest?

— Śpi. Może się zbudzić każdej chwili.

Nic nie nagliło. Mówili tak prosto i zwyczajnie, jakby chodziło o co-

dzienne sprawy i jakby nie istniała ani wojna, ani rozstanie. Margaret wzięła od niego płaszcz i powiesiła starannie we wmurowanej w ścianie szafie przy wejściu. Poszła do kuchni, by zająć się pieczeniem, a on tymczasem chodził po pokojach, przypominając sobie, przyzwyczajając się na nowo. Wreszcie znalazła go stojącego obok kołyski dziecka.

Nie widziała twarzy Hanka, ale to było zbyteczne.

— Myślę, że możemy ją teraz obudzić.

Margaret wyciągnęła kołderkę i wzięła w ramiona biały kłębek. Zaspiane powieki z trudem się uniosły nad brązowymi oczkami.

— Hallo! — powiedział Hank nieśmiałym głosem.

— Hallo! Głos dziecka brzmiał bardziej pewnie.

Oczywiście wiedział o tym, że mała mówi, ale było to co innego, niż słyszeć. Zwrócił się z pewnym odzieniem natarczywości ku Margaret.

— Naprawdę ona umie mówić?...

— Oczywiście, że umie, mój kochany. Ale co ważniejsze, umie robić nawet różne ładne rzeczy, jak inne dzieci, a także głupstwa. Zobaczysz, jak pełza..

Margaret położyła dziecko na wielkim łóżku.

Przez minutę mała Hanriette siedziała nieruchomo i spoglądała na swoich rodziców pytająco.

— Pełzać? — spytała.

— Ależ tak. Przyjechał tatuś, widzisz? I chce zobaczyć, co umiesz robić.

— No to połóż mnie na brzuszku.

— Naturalnie.

I Margaret odwróciła małą na brzuszek.

— Ale po cóż to? — zapytał Hank.

Ton jego głosu był nadal naturalny, ale zawierał coś niezwykłego,

Ojciec tego dziecka patrzył z czułością, jak poruszało główką, wyciągało ciało i posuwało się po łóżku. Roześmiał się z ulgą.

— Ach, mała szelma. Przypomina ludzi, którzy na zabawach ścigają



co zmieniło nastrój pokoju. Zdawało mi się, dodał, że dzieci uczą się najpierw obracać.

— To dziecko, odparła Margaret, nie zwracając uwagi na nieuchwytną zmianę, jaką się właśnie dokonała, to dziecko robi tylko to, na co ma ochotę.

się w workach. I nie włożyła rącek do rękawów.

Pochylił się nad nią i dotknął, by rozwiązać węzeł, ściągający u dołu nocną koszulkę.

— Ja to zrobię, kochany, powiedziała Margaret, która chciała zająć jego miejsce.

— Nie bądź gapa, Margaret. To twoje pierwsze dziecko, a ja miałem pięciu młodszych braci.

I odepchnął ją ze śmiechem, a drugą ręką dosięgnął tasiemki, ściągającej jeden z rękawów. Rozwiązał ją, po czym zaczął macać w poszukiwaniu rączki.

Po sposobie w jaki się zwijas, mówił zwracając się poważnym tonem do dziecka, gdy tymczasem jego ręka macała ruchomy węzeł skóry na ramieniu — mógłby ktoś wziąć cię za robaczka, bo pełzasz na brzuszku zamiast posługiwać się rękami i ramionami.

Margaret spoglądała na nich z uśmiechem.

— Poczekaj jeszcze, jak zaśpiewa, kochanie...

Jego prawa ręka, idąc od pleców spuściła się w poszukiwaniu ramienia, ale napotkała tylko na mocne, małe mięśnie ciała, kurczące się pod naciskiem jego ręki. Palce jego powróciły do pleców. Z nieopisaną uwagą rozwiązał węzeł, ściągający koszulkę. Jego żona stała przy łóżku i mówiła:

— Umie śpiewać **Jingle Bells** itp.

Jego lewa ręka macała delikatny materiał koszulki, idąc aż ku piełuszce, która czysta i obcisła, zawiązała dolną część ciała jego dziecka. Ani fałd, ani ruchów. **Nie było...**

— Maggie?

Starał się wyjąć rękę z tej czystej pieluszki i spod tego zwijającego się ciała.

— Maggie!

Miał wyschnięte gardło. Słowa wymawiał z trudnością, ocierały mu język. Mówił bardzo wolno, zmuszając się do rozważania dźwięku każdego słowa, by móc je wymówić. Kręciło mu się w głowie. Ale chciał **wiedzieć** zanim utraci świadomość rzeczy.

— Maggie... dlaczego mnie... nie uprzedziłaś?

— O czym miałam cię uprzedzić, kochany?

Margaret miała teraz tę postawę niesłychanej cierpliwości, jaką przybierają kobiety wobec dziecinnej porzywczosci mężczyzny. Potem roześmiała się w sposób fantastycznie prosty i naturalny — śmiech ten rozległ się głośnie echem w pokoju.

Zrozumiała, co chciał powiedzieć.

— Czy się zmoczyła? Nie wiedziałam.

Nie wiedziała. Drżące ręce Hanka przebiegały wzdłuż ciała dziecka o delikatnej skórze, wzdłuż tego węzowego ciała bez rąk i bez nóg. **Oh, Boże, Boże...** Potrząsnął głową, mięśnie ciągnęło mu gorzkie nerwowe napięcie. Ścisnął palce na ciele dziecka. **Och, Boże! Ona nie wiedziała...**

il. Moreu



Film powinien być wiernym portretem

PEWNEMU węgierskiemu pisarzowi, którego nazwisko poszło w niepamięć, wydarzyła się przed kilkunastu laty taka oto historia.

Ucieklszy z kraju na skutek prześladowań politycznych, przybył do Nowego Jorku i z właściwą jego narodowi łatwością w krótkim czasie nauczył się angielskiego. Mógł wtedy rozpocząć karierę literacką, pisząc w tym języku. Jedna z jego pierwszych nowel została przyjęta, a następnie wydrukowana w „Saturday Evening Post” z niejakim powodzeniem — tak dalece, że zainteresowała się nią jedna z wielkich wytwórni filmowych i zaoferowała mu pokazaną sumę za prawo przeniesienia jej na ekran.

Nie ulega wątpliwości, że miał to być początek drogi, usianej sukcesami, toteż nasz pisarz czekał z nie-malą niecierpliwością na premierę filmu. Powodzenie było wielkie, mimo że w wyniku adaptacji film — z wyjątkiem imion bohaterów — w niczym nie przypominał oryginału.

Miał jednak tak wielkie powodzenie, że rywalizująca spółka kinematograficzna zwróciła się do naszego węgierskiego pisarza o napisanie scenariusza. Ten, biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło z jego nowelą, zmienił jedynie tytuł i imiona bohaterów. Oczywiście producent zapłacił za ten scenariusz sumę większą, aniżeli pierwsza spółka, a film nakręcono i pokazano publiczności z sukcesem, równym pierwszemu.

Tak jak i poprzednio adaptacja tak dalece odbiegała od oryginału, że w niczym nie przypominała przedłożonego scenariusza z wyjątkiem tytułu i jak poprzednio — imion bohaterów. Jakkolwiek może się to wydać żartem, pisarz nasz postąpił tak samo wobec trzeciej, czwartej i piątej firmy kinematograficznej, które płaciły mu za każdym razem coraz większe sumy.

Trwało to tak długo, aż pisarzowi znudziło się zmieniać imiona bohaterów i tytuł opowiadania... Co naturalnie nie znaczy, że hollywoodzcy autorzy adaptacji mieliby być lepsi

czy gorsi od swoich kolegów po fachu.

Głównym powodem, dla którego adaptuje się dla filmu dzieła literackie, jest możliwość przyciągnięcia publiczności dzięki tytułowi powieści czy sztuki. Dopiero później spostrzeżono korzyści, jakie daje w wybranych utworach literackich gotowy od razu wątek, pełny rozwój dramatyczny, co ułatwia opracowanie filmu.

Bardzo szybko nastąpiła jednak reakcja. Ci sami esteci, którzy później oświadczyli, że sztuka filmowa powinna być niema, w kolorach czarnym i białym i że dźwięk, słowo, kolor umniejszają jej walory estetyczne, wytaczali fałszywe argumenty, by dowieść, że dzieło prawdziwie artystyczne musi wywodzić się z materiału oryginalnego. Zapominali tym samym, że nie można porównać tematu oryginalnego, ale głupiego z adaptacją tematu literackiego, którego wartość dramatyczna została już sprawdzona.

Drugim argumentem przeciw adaptacjom dzieł literackich dla potrzeb filmu była niemożliwość streśzczenia w ciągu półtorej do dwóch godzin dzieł o większych rozmiarach.

Kiedy na przykład Jean Renoir realizował film o „**Madame Bovary**“, żalił się gorzko na te ograniczenia. Amerykanie zaś, kręcąc „**Przeminęło z wiatrem**“ zrobili film, którego wyświetlanie trwało dwa razy dłużej, aniżeli początkowo przewidywano.

Oczywiście trudno byłoby zrobić z Pisma Świętego film, trwający półtorej godziny, ale jakiś wysoce wykwalifikowany autor adaptacji mógł-

by dać dosyć dokładne pojęcie o tej świętej księdze w filmie trwającym właśnie tak długo...

Teoretycy zapominają o niezmienne interesującym zjawisku, które spotykamy w dziedzinie płyt gramofonowych. Wszystkie, nawet dawne piosenki, mogą być wyryte na powierzchni, której nagranie trwa od trzech do czterech minut. Nawet symfonie można dzielić na takie same jednostki czasu.

Jest to w gruncie rzeczy adaptacja czynnika estetycznego, co miało miejsce już w tragedii klasycznej nie tylko, jeżeli chodzi o czas jej trwania, ale również jeżeli chodzi o jednostkę czasu: akcja dramatu rozwijała się w ciągu dwudziestu czterech godzin podczas przedstawienia, trwającego trzy do czterech godzin.

Nie tylko puryści, ale również dramaturdzy i powieściopisarze dzisiaj, odnoszący się nieufnie do swobody adaptacji, obawiają się, że wyeliminowanie jakiejś osoby lub epizodu przynosi szkodę idei dzieła, przeniesionego na ekran. Tymczasem wartościowemu dziełu literackiemu winna wystarczyć wierność oddania tematu, konfliktu między głównymi bohaterami i atmosfery dramatu.

Byłoby rzeczą ciekawą zanotować różnicę między ilością czytelników takiej powieści jak „**Wichrowe wzgórze**“ i tych widzów, którzy jej nigdy nie czytali, ale dzięki transpozycji filmowej wyrobili sobie dostatecznie sugestywne pojęcie o tej powieści Emilię Brontë.

André Gide odmówił z przyczyn osobistych sfilmowania „**Wąskich drzwi**“ i „**Lochów Watykanu**“, mimo

że później zgodził się na adaptację teatralną tej ostatniej powieści i na wyświetlenie „Symfonii Pastoralnej“, bardzo wzruszającego i bliskiego książce filmu. A przecież wierna adaptacja tych dwóch dzieł Gide'a, zrealizowana z takim samym szacunkiem, z jakim Cartier-Bresson zrealizował filmową wersję „Dziennika wiejskiego proboszcza“ Bernanosa, nie byłaby zniekształciła ani ducha, ani treści uczuciowej utworu.

Oczywiście, mówimy tutaj o sławnych dziełach. Ale jakże często zdarzało się, że zwykła, dobrze napisana powieść, jeszcze prawie nieznana, dawała w rezultacie piękny film. Tak było na przykład z uroczym filmem „Jesabel“, jednym z największych arcydzieł gry Betty Davis: „Diable au Corps“, „Na zachodzie bez zmian“, „Jarmark Próżności“, z kolejnymi wersjami „Dr Jekylla i Mr Hyde'a“, a w filmie niemym — z „Lordem Jimem“, „Gösta Berling“, „Teresą Raquin“, „Światło, które zagasło“ itp.

Ciekawych przykładów dla poznania tej sprawy dostarczają liczne adaptacje powieści Dickensa. Kiedy omówiłem z moimi producentami — Michael Balconem i jego współnikiem Johnem Croydonem — sprawę produkcji „Nicholasa Nickleby“, rozpoczęliśmy pracę nad adaptacją od wyświetlania przeważającej ilości opracowanych dotąd wersji filmowych powieści Dickensa.

Oświadczyłem, że z dwóch wielkich powieściopisarzy XIX wieku — Francuza Balzaca i Anglika Dickensa — wolę osobiście tego pierwszego. Ale prawdą jest, że Dickens, może dzięki pewnym wartościom melo-

dramatycznym i uczuciowym bardziej nadaje się do adaptacji filmowej. Istotnie niemal wszystkie filmy, zrealizowane na podstawie jego dzieł, są doskonałe.

Pierwsza wersja „Wielkich nadziei“, słynny „Oliver Twist“ z Jackie Cooganem, jak również „David Copperfield“ były filmami, nie tylko wiernymi powieściom, które je natchnęły, ale równie bogatymi w niezaprzeczone wartości poetyckie w dziedzinie czysto kinematograficznej.

Trudno było rozwiązać problem „Nicholasa Nickleby“: na wzór „Klubu Pickwicka“ była to jedna z pierwszych powieści Dickensa — ukazywała się więc w odcinkach, pisanych już w czasie druku z licznymi epizodami, stąd trudno ją było streścić.

Inne przedsięwzięcie firmy J. Arthur Rank kręciło jednocześnie „Wielkie Nadzieje“. Moi producenci nie wahali się przeciwstawić o wiele bardziej zwartemu tematowi „Wielkich Nadziei“, realizowanych za drogie pieniądze, „Nicholasa Nickleby“, który miał znacznie mniej kosztować.

Jedyną niespodzianką, jaka nas potem spotkała, było to, że o ile całość dzieł Dickensa jest zasadniczo wiktoriańska, o tyle atmosfera „Nicholasa“ zbiła publiczność z tropu swą przedwiktoriańską surowością. Tenże film „Nicholas Nickleby“ jest jedynym, który w Stanach Zjednoczonych miał — i ma nadal — coraz większe powodzenie.

Lista powstałych z adaptacji filmów, których byłem współpracownikiem, jest dosyć długa. Składa się na nią „Yvette“ Maupassanta, „Kaptan Fracasse“ Teofila Gauthier,

„They made me a fugitive“, przygotowany przez dobrego pisarza angielskiego Noëla Langleya, który zrobił świetną karierę w Hollywood i którego praca adaptacyjna była o tyle interesująca, że tylko jedna scena filmu była wzięta z powieści — scena, w której zbieg wchodzi do kołobiety, przygotowującej się do zamordowania męża.

Nie mogę mówić o moich adaptacjach filmowych, nie wspominając o temacie, który nie był zrealizowany, o „Sparkenbroke“ Charles’a Morgana. To dzieło, jak i wszystkie inne dzieła tego słynnego angielskiego pisarza, jest niezwykle subtelne i na skutek tego trudne do adaptacji. Szczególnie złożony był problem kompozycji, ponieważ połowę książki zajmuje część, która ukazuje charaktery występujących osób, jakimi były jako dzieci.

Chcąc ją streścić, autorzy adaptacji i ja postanowiliśmy, że film rozpocznie się osiągnięciem sławy przez bohatera powieści, ukazującego się w książce dopiero w drugiej jej części. Wyobraziliśmy sobie przewodnika, który opowiada turystom przeszłość sławnego uczonego. Głos Sparkenbroke’a przerywał przewodnikowi i wyjaśniał, jak legenda przekształciła historię jego dzieciństwa.

Tego rodzaju wstawki pojawiały się w pierwszej części filmu, która kończyła się rozmową między poetą w dojrzałym wieku a dzieckiem, jakim był kiedyś. Taka swoboda adaptacji mogłaby przerazić mniej przenikliwego aniżeli Charles Morgan pisarza. Tymczasem autor był całkowicie zadowolony ze sposobu, w jaki ten problem rozwiązaliśmy.

Film Alberta

Ci wszyscy, którzy kochają sztukę Cavalcantiego i oglądali jego filmy od jego „okresu francuskiego“ aż do „epoki angielskiej“ (w której niedawnym etapie wyróżnił się wzruszający film „NICHOLAS NICKLEBY“), z niecierpliwością oczekiwali tego filmu z „epoki brazylijskiej“ wielkiego reżysera, który po 36 latach spędzonych w Europie, powrócił do swojego kraju — jednego z wielkich filmów, realizowanych przez niego od pięciu lat w Brazylii.

„Po powrocie do Brazylii — mówił do nas Cavalcanti w przededniu wyświetlania jego filmu na VIII Festiwalu Filmowym w Karlovych Varach — stwierdziłem, że ojczyzna moja znajduje się w pełnym rozwoju, że ma ona wielkie bogactwa naturalne, ale jednocześnie stwierdziłem, że naród nasz jest jednym z najbiedniejszych na świecie. Film ten powstał pod wrażeniem tej nędzy i bezrobocia w wielkich miastach Południa“.

„Śpiew Morza“ rozpoczyna się wstrząsającą wizją suszy, która zmusza chłopów z Połnocy do emigrowania ku Południowi, gdzie jak wierzą, znaj-

Cavalcanti „Śpiew Morza“

dą — wraz z wodą — pracę dla wszystkich. Ich wędrówka prowadzi nas do przedmieścia wielkiego portu RECIFE, gdzie poznajemy rodzinę rybaka. Ojciec dostał pomieszczenia zmysłów na skutek zatonięcia łodzi. Żona pierze, by wyżywić rodzinę, córka PONINA marzy tylko o jednym — uciec od tej nędzy, w której grzęzną. Starszy z dwóch synów RAIMUNDO marzy o tym, by wyjechać na zachód z młodą ukochaną dziewczyną AUORĄ. Ale bezielosne tryby nędzy niszczą wszystkie sny. Ojciec się topi. Aurora ucieka z bogatszym młodzieńcem, najmłodszy syn choruje i umiera. Ponina staje się prostytutką, a Raimundo wraz z matką z powrotem stacza się w nędzę i rozpacz.

Smutek, jakim cały film jest przepełniony, jest tym bardziej dręczący, że, jak podkreślił sam Cavalcanti: „Z chwilą, gdy nie pokazuje się sposobu rozwiązania problemu, nieszczęście wydaje się jeszcze większe“.

Ale jeżeli film otrzymał nagrodę na Festiwalu w Karlowych Varach, a ominęły go wawrzyny Festiwalu w Cannes, stało się to nie tylko dlatego,

że dodaje jeszcze jedną kartę do ponurego międzynarodowego albumu obrazów nędzy i lepiank (realizm niektórych scen nasuwa myśl o chłopach z „Gron Gniewu“, rybakach sycylijskich z „Ziemia drży“, robotnikach z Transtevere ze „Złodziej rowerów“, wyzutych z ziemi chłopach z hinduskiego filmu „Dwa akry ziemi“...).

Jest to bowiem pierwszy wielki film, ukazujący rzeczywistość i nędzę ludu brazylijskiego. Cavalcanti włożył bowiem w to dzieło — najbardziej osobiste i niewątpliwie najlepsze w jego długiej karierze — głęboką miłość do swojego narodu.

W pewnych typowo brazylijskich scenach tej „Pieśni Morza“ (jak pełne niezwykłości, żalobne czuwanie nad zmarłym dzieckiem z całym dziwnym rytuałem) widzimy coś innego, aniżeli folklorystyczny film dokumentalny. Jest tu zawarta cała braterska miłość człowieka do jego narodu, ta miłość, która pozwoli pewnego dnia narodowi Brazylii i jego artystom śpiewać „Pieśni Morza“, które będą pieśniami nadziei.

Armand Monjo

Jednym z najpoważniejszych zadań w dziedzinie adaptacji kinematograficznej jest twórczość Szekspira. Ten geniusz literatury nie miał początkowo szczęścia do filmów — mam tu na myśli „**Sen Nocy Letniej**“ Maxa Reinhardta, gdzie przeważają elementy teatralne. Potem mieliśmy potraktowaną z religijnym wprost poszanowaniem adaptację „**Henryka V**“ Laurence’a Olivera, a następnie dwa rywalizujące ze sobą filmy „**Mackbetha**“ i „**Hamleta**“.

Oba ostatnie pokazały, że nawet tak swobodna adaptacja jak Orsona Wellesa, ze wszystkimi jej wadami i Laurence’a Olivera, który wziął pod uwagę wielkie tradycje teatru angielskiego, nie tylko przyczyniają się do rozwoju filmu, ale również do wychowania publiczności i do lepszego poznania przez nią wielkich dzieł literatury światowej.

Organizatorzy Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Brukseli rozesłali w 1951 r. wybitnym osobistościom ze świata filmowego ankietę, prosząc o podanie dziesięciu ulubionych filmów i odpowiedź, czy wywarły one wpływ na ich pracę. Oto jak wyglądała moja lista 1):

1. „Dziewczyna, którą kocham“ Charlesa Raya, 2. „Brocken Blossoms“ D. W. Griffitha, 3. „Gösta Berling“ Mauritz Stillera, 4. „Pancernik Potiomkin“ S. M. Eisensteina, 5. „Moana“ Roberta J. Flaherty, 6. „Opera za trzy grosze“ G. W. Pabsta, 7. „Pielgrzym“ Charlie Chaplina, 8. „Atalanta“ Jean Vigo, 9. „Krótkie spotkanie“ Davida Leana, 10. „Złodzieje rowerów“ Vittorio de Sica.

Naturalnie, z tych dziesięciu filmów tylko trzy są adaptacjami, a

dwa — to w gruncie rzeczy filmy dokumentarne („Moana“ i „Potiomkin“). Mimo tej pozornej sprzeczności, nadal uważam, że współudział dzieł literatury w filmie może i winien być coraz znaczniejszy.

Ciekawe byłoby zapytać te same osoby, jakie dziesięć filmów chciałyby zrealizować w przyszłości. Dla mnie byłaby to przede wszystkim „Burza“ Szekspira, „Lontano“ Pirandella, „Le Grand Méaulnes“ Alain Fourniera, „The Planter of Malata“ Conrada i wreszcie „Szczęście w grze“ Hoffmanna.

Na skutek nieistnienia w Brazylii prawa autorskiego, zrealizowałem przy współpracy z Neli Dutra adaptację tej ostatniej historii, dając filmowi tytuł: „**Angela**“. Dialogi napisał Anibal Machado. Adaptację zupełnie zmodyfikowano niezrozumiałymi elementami, które uczyniły ten film dosyć konwencjonalnym i przypominającym radiofonizowane powieści.

W Brazylii zamierzałem sfilmować powieść „Elza e Helena“ Gastao Cruza, realizowane już w przeróbce filmowej przez Watsona Macedo pod tytułem „**A Sombra da Outra**“ i „**Inocencia**“ Taunay’a, adaptowane z minimum szacunku dla tego dzieła. Również w Brazylii zamierzam zrealizować adaptację „Os Condenados“ Oswalda de Andrade, „**A Moreinha**“ J. M. Macedo, „**Bague**“ i „**Fogo Morto**“ Jose Linsa, „**Esperidiao**“ Benedito Valadares, „**Escritorio de Caricade**“ Edy Costa Limy, „**Un Rosto Noturno**“ Reinalda Moura, „**A Etrêla Sobe**“ Marquesa Rebelo, „**Floradas**

1) Pierwsze miejsce uzyskał wówczas „Pancernik Potiomkin“ (przyp. red.).

na Serra" Dinah Silveira de Queiros, „Senhora" Jose de Alencar, „Tragedia Burguesa" Otavia de Faria i wiele innych w miarę jak wzrastać będą możliwości produkcyjne — przy współudziale takich pisarzy jak Anibal Machado, Helena Silveira, Rachel de Queiroz, Jose Conde, Gastao Cruls, Carlos Drummond de Andrade, Leda Ivo, Jorge de Lima, nie licząc tych wszystkich, dzięki którym nasza literatura stała się jednym z najważniejszych źródeł tematów dla filmu brazylijskiego.

Nasze powieści można adaptować dla filmu tak jak powieści jakichkolwiek innych krajów. Język nasz można w równym stopniu „fotografować", jak język jakiegokolwiek innego kraju. Utrzymywać, że Bразylia najlepiej wyraża się w filmie karnawałowym, ponieważ karnawał — jak mnie zapewniał pewien szanowny intelektualista — jest jedynym typowym zjawiskiem społecznym naszego kraju, wydaje mi się potwornością, jeżeli nie obelgą.

„A Morte de Parta - Estandarte" Anibala Machado byłoby najdoskonalszym przykładem filmu o karnawale. Ale film ten stoi o wiele wyżej od „Carnaval no Fogo" i innych podobnych, dotąd zrealizowanych osiągnięć. W wypadku opowiadania Anibala Machado trudności adaptacji zwiększyły się dwukrotnie na skutek konieczności uciekania się do wstępnych objaśnień. Ale utrzymywać, że naśladowanie wulgarnej fałszywej intrygi północno - amerykańskiej uznanej za oryginalną, jest najlepszym sposobem przeniesienia na ekran „jedynego i typowo brazylijskiego zjawiska społecznego" jest

rzeczą, nie zasługującą nawet na komentarz.

Jeżeli chodzi o adaptację literatury brazylijskiej, odegra tu rolę inny czynnik, który w znacznym stopniu ograniczy wykorzystanie tego bogactwa tematów. Cała stara gwardia patriotów wysuwa zastrzeżenia, że w większości naszych utworów literackich spotyka się takj obraz Brazylii, który wywołuje zagranicą fałszywe pojęcie o naszej przodującej cywilizacji.

Prawdą jest natomiast, że im jakiś kraj jest większy i posiada większe znaczenie, tym więcej winien mieć odwagi dyskutowania otwarcie nad swoimi problemami przed opinią świata.

Co więcej, mamy dostateczne powody by wątpić, że międzynarodowa opinia publiczna interesuje się jedynie blahymi szczegółami życia wyższych sfer Sao Paulo i Rio de Janeiro, rozwojem naszych wielkich miast, osiągnięciami naszego ciężkiego przemysłu. Toteż jest rzeczą konieczną, aby nasze filmy dokumentarne stały się zachować równowagę między tą fasadą a zasadniczymi konfliktami ziemi i człowieka w Brazylii, tak, jak je przedstawiają nasze filmy dramatyczne.

W okresie rozwoju pierwszych szkół filmowych troszczono się o środki wyrazu. Dzisiaj język filmowy jest ustalony, widzimy, jak się nieustannie doskonalą.

Z jednej strony mamy nasze tematy, o których piszą pisarze, a z drugiej strony sposób przedstawiania ich w języku powszechnym, jakim jest film. Niechaj portret będzie zatem wierny, a język poprawny!...

Jak wybiera się zawód

PROFESOR

JEDNYM z głównych celów do jakich dąży szkolnictwo radzieckie w szkołach 10-letnich jest jak najwszechstronniejszy rozwój zdolności fizycznych i umysłowych człowieka, tak, by młodzież po opuszczeniu szkoły była całkowicie przygotowana, zależnie od swych zdolności, do pracy i zajęć, którym zamierza się w przyszłości poświęcić. Psychologowie i pedagodzy radzieccy nie zadowolają się samym tylko rezeznaniem różnych zdolności, jakie wykazują ich uczniowie i kierowaniem ich do odpowiednich zawodów; starają się oni ponadto zdolności te jak najbardziej rozwijać. Szkolnictwo stara się uniknąć tego, by dawny uczeń był w przyszłości związany na zawsze z określonym zawodem, usiłuje natomiast wychować go tak, by mógł go zmienić, względnie wykonywać ich kilka, o ile okazałoby się to potrzebne. Program nauki, specjalne zajęcia pozaszkolne, praca w organizacjach komsomolskich i pionierskich, mają na celu wyposażenie ucznia, po zakończeniu dziesięcioletniej nauki, nie tylko w konieczny zasób wiedzy i znajomość pracy, lecz również wyrobienie w

nim wysokiego rozwoju umysłowego, twardej woli i siły fizycznej, od których zależy w znacznej mierze właściwy wybór zawodu.

Uznając w pełni decydującą rolę wychowania i nauki w rozwoju zdolności, radzieccy psychologowie i pedagogowie nie zaprzeczają jednak istnieniu czynników anatomicznych, szczególnie gdy chodzi o tak zwane talenty w dziedzinie sztuki. Jak najszybszy rozwój tych talentów, np. talentu do muzyki u dzieci, stanowi troskę radzieckich pedagogów zarówno w wychowaniu przedszkolnym, jak też i w samej szkole. W ZSRR istnieją szkoły dla dzieci o wybitnych zdolnościach muzycznych lub malarskich. Nabywają tu one ogólnego wykształcenia w specjalnych warunkach: poza zwykłym programem szkolnym istnieje tu dodatkowy program nauk w dziedzinie muzyki lub sztuk plastycznych.

Psychologowie radzieccy nie ustalili natomiast istnienia podobnych czynników, które by pozwalały określić, że dziecko jest z góry uzdolnione do jakiegoś określonego zawodu, jak np. tokarza, lekarza, inżyniera,

W Z. S. R. R. ?

D. W. LEWITOW

agronoma itp... Jeżeli zatem młodzieniec, po ukończeniu szkoły, zainteresuje się, powiedzmy, chemią lub historią, to wynika to stąd, że przedmioty te bardziej mu odpowiadają. W czasie nauki w szkole zajmowała go najbardziej np. historia, zarówno podczas samokształcenia w domu, jak i w szkolnych kółkach historycznych. W czasie tych prac rozwijał się u niego specjalny talent do nauk historycznych. Radzieccy psychologowie przeczą stanowczo twierdzeniu, jakoby dziecko od lat najmłodszych było z góry **skazane** na osiągnięcie określonego poziomu rozwoju umysłowego, a co za tym idzie określonych kwalifikacji zawodowych. Pedagogia i psychologia radziecka podchodzą w sposób optymistyczny do natury ludzkiej, do warunków rozwoju duchowego człowieka.

Wybór zawodu

W jaki sposób radzieccy pedagodzy i psychologowie pomagają uczniom w wyborze zawodu? Przez jak najszerszą orientację w dziedzi-

*Czy metoda testów
jest przestarzała?*

nie zawodowej, tzn. informując uczniów o warunkach pracy, o wymaganych zdolnościach, o szkoleniu właściwym dla danego zawodu. Drogi i metody stosowane dla osiągnięcia takiej orientacji zawodowej są różne. Niezmiernie ważną rolę odgrywają tu wykłady i pogadanki na temat rozmaitych zawodów. W zebraniach takich biorą udział rodzice uczniów i przedstawiciele organizacji opiekujących się młodzieżą. Tak np. w pewnej szkole moskiewskiej rodzice uczniów ogłosili pogadanki; zabierali głos: inżynier elektryk i prawnik. Innym znów razem robotnicy fabryki, sprawującej szefostwo nad szkołą, opowiadali uczniom o pracy w fabryce maszyn. Zazwyczaj podczas takich wykładów i pogadań uczniowie zadają wiele pytań. Obecność rodziców i „opiekunów” szkoły przyczynia się do szczerości i braku wszelkiego skrupowania wśród dzieci i młodzieży. Zdarza się nieraz, że w ciągu jednego wieczoru nie wyczerpuje się programu i trzeba odbyć drugie zebranie; uczniowie wykorzystują przerwę na przygotowanie dalszych pytań.

Jedną z najważniejszych i najbardziej przez młodzież lubianych form orientacji zawodowej są rozmowy z dawnymi uczniami ich szkoły. I tak np. studenci medycyny lub politechniki przychodzą w odwiedziny do uczniów szkoły, do której sami przedtem uczęszczali. Omawiają szczegóły nauk, którym się poświęcili, podkreślają trudności, które musieli pokonać i których można uniknąć, jeśli z góry są one znane. Na podstawie przykładów podkreśla się wagę czynienia zapisków, w szkole technicznej umiejętności kreślenia dokładnych planów — zagadnienia, którym wielu uczniów nie poświęca dostatecznej uwagi. Medycy kładli nacisk na wielką rolę pamięci w tym zawodzie. (Przydało się to szczególnie uczniom, którzy chcieli pójść na medycynę, lecz myśleli, że ćwiczenie pamięci jest idiotycznym „kuciem“).

Nie tylko studenci, lecz i wybitni specjaliści biorą udział w takich szkolnych pogadankach.

W Zakładach Szkolnictwa Wyższego (WUZ) dni „drzwi otwartych“ mają na celu zapoznanie młodzieży kończącej szkoły 10-letnie z programem nauk, z warunkami uczęszczania i pobytu, właściwymi dla każdego z tych zakładów. Profesorowie i pracownicy „WUZ“ przemawiają do młodzieży, udzielają jej wyjaśnień i potrzebnych wskazówek, odprowadzają ją po laboratoriach i gabinetach. Dni takie ściągają mnóstwo uczniów, którzy mogą potem zresztą odwiedzać „WUZ“, by uzyskać wszelkie dodatkowe informacje.

Wydaje się również wiele książek i broszur dostarczających wszelkich

informacji i wyjaśnień potrzebnych tym, którzy mają zamiar wstępować do szkół wyższych, oraz prace poświęcone zagadnieniu „Czym chcesz zostać?“. Również radio bierze udział w tej pracy zaznajamiającej.

Ponadto, oczywiście, młodzież radziecka otrzymuje w szkołach, w ramach normalnej nauki, wszystkie informacje, które pomogą jej wybrać zawód. W ostatnich czasach, w związku z nauczaniem politechnicznym, zwrócono na to zagadnienie specjalną uwagę.

Psychologowie i pedagogowie radzieccy wychodzą w tej pracy informacyjnej z założenia, że każdy zawód cieszy się takim samym szacunkiem, że nie ma zawodów „gorszych“; istnieją po prostu różnice w zdolnościach do takiego lub innego zawodu. Dlatego też w pogadankach orientacyjnych nie poniża się i nie wywyższa żadnego zawodu.

Bierze się również pod uwagę przygotowanie zawodowe oraz rozwój zdolności umysłowych i fizycznych koniecznych dla wykonywania tego lub innego zawodu.

Rola psycho-pedagogów

W ciągu całego okresu wychowania i nauki uczniowie klas wyższych są w stałym kontakcie z pedagogami, którzy obserwują rozwój ich zamiłowań i zdolności i mogą wobec tego uzyskać wszelkie dane konieczne dla doradzenia uczniom odpowiadającego im zawodu. Zajmują się tym nie tylko profesorowie, lecz i dyrektor zakładu naukowego oraz wychowawcy. Szkoła posiada wiele

dokumentów pozwalających ustalić zdolności poszczególnych uczniów: wypracowania (rozprawki, zeszyty z pracami z praktyki i laboratoriów), wyniki osiągnięte w różnych kółkach naukowych. Pedagogowie obserwując uczniów w szkole i poza szkołą, podczas ich działalności naukowej, społecznej i rozrywkowej, rozmawiają z nimi często i utrzymują kontakt z rodzicami. W rezultacie mogą sobie jasno zdać sprawę, jakie trudności czekają tego lub innego ucznia po opuszczeniu szkoły w wyborze zawodu i jakiej będzie potrzebował pomocy.

Wielu młodzieńców nie stanowi w tym względzie żadnego problemu. Oto np. uczeń L.B. z ostatniej klasy, który otrzymał złoty medal przy ukończeniu szkoły średniej i wybrał jako zawód matematykę, podczas nauki w dziesięć latce miał zawsze najlepsze stopnie z matematyki i wykazał wyjątkowe zdolności dla tej nauki podczas prac w kółku matematycznym. Jego przyszły zawód nie ulega wątpliwości i wszyscy są zgodni co do tego, że wybierając zawód matematyka L. B. zaspokoi najpełniej nie tylko interesy społeczeństwa, lecz i swoje własne.

Doświadczenie uczy, że w szkołach radzieckich takie wypadki są bardzo częste.

Zdarza się jednak nierzadko, że wybór zawodu staje się trudnym problemem oraz że sam uczeń, jako indywidualność, jest problemem dla swych pedagogów. Oto parę przykładów. Bywa czasem, że zamiłowania ucznia stoją w sprzeczności z jego uzdolnieniami. Uczeń posiadający zdolności do matematyki chce

zostać historykiem, mimo iż nie ma wyników dodatnich w tej dyscyplinie naukowej; młoda dziewczyna chce zostać lekarką, mimo że nie posiada ani wiadomości, ani zalet — zwłaszcza, jeżeli chodzi o silną wolę — których powinno wymagać się od lekarza. Pedagog musi wówczas rozpocząć długą i delikatną pracę. Jeżeli sprzeczność taka ujawniła się zawczasu, wówczas pedagog pomaga uczniowi w rozwoju jego zdolności w kierunku odpowiadającym jego zamiłowaniom, w przeciwnym wypadku stara się go przekonać, że może mieć duże osiągnięcia w dziedzinie nauki, do której posiada zdolności i że osiągnięcia te rozwiną w przyszłości wzmoczone zamiłowanie do tego przedmiotu.

Zdarza się również, że uczeń waha się w wyborze wśród kilku zawodów, które mu się wszystkie równie podobają. Wówczas rola pedagoga jest bardzo ważna; umożliwia on uczniowi dokładne zorientowanie się w swych zdolnościach i, w rezultacie, dokonanie ostatecznego wyboru. Wychowawca nie daje rad w formie wymagania lub rozkazu, lecz przedstawia je jako normalne wnioski z danych, które uczeń zna. Wahania wynikają często z nieorientowania się ucznia w zawodzie, któremu mógłby się poświęcić. Zadaniem pedagoga jest wówczas uzupełnienie tych wiadomości.

Bywa też, jakkolwiek rzadko, że chłopiec lub dziewczyna nie przywiązują wagi do wyboru zawodu. Nie zawsze jest to wynikiem lekko-myślności i powierzchowności. Tak np. dla niektórych uczniów rzeczą najważniejszą jest nie tyle wybór

określonego zawodu, ile raczej rozwiniecie aktywnej działalności społecznej lub osiągnięcie wielkich wartości moralnych. Czasem jednak uczniowie odnoszą się obojętnie do wyboru przyszłego zawodu; wówczas zadaniem pedagoga jest zwalczanie takiego stanowiska.

Pedagogowie muszą nieraz walczyć z nadmiarem pewności siebie u ucznia, która przeszkadza mu w koniecznej pracy nad sobą. Czasem też muszą zwalczać odwrotną wadę. Wreszcie zadaniem ich jest ewentualne prostowanie rad rodziców, udzielanych dzieciom co do wyboru zawodu.

Porzucona metoda „testów“

Postanowiliśmy nie stosować tzw. „testów“ dla określania zdolności ucznia. Stosowaliśmy je przez pewien czas, jakkolwiek spotykały się

one z ironicznym sceptycyzmem uczniów. Nie mogli zrozumieć, dla czego znający ich od dawna profesorem, ludzie wykształceni, posiadający odpowiednie wiadomości psychologiczne, byłiby niezdolni do ustalenia ich zdolności, podczas gdy nieznani im całkowicie ludzie mogliby w rekordowym czasie, posługując się niezrozumiałymi metodami, określić rzekomo bezapelacyjnie zawody, do których uczniowie ci są najbardziej uzdolnieni. „Metoda“ testów, nie wymagająca żadnych kwalifikacji pedagogicznych czy też psychologicznych nie brała rzeczywiście pod uwagę żywej osobowości niejednokrotnie skomplikowanej i często pełnej sprzeczności, jak również różnaitości warunków, w których osobowość ta się formowała. Człowieka sprowadzano do pewnej sumy „znamięn“ opracowanych mechanicznie w maszynie statystycznej i to przez

TEST ROSSBACHA W INTERPRETACJI



ludzi, w gruncie rzeczy nie widzących człowieka, któremu mieli postawić „testy“.

Metoda ta zawiodła szczególnie, gdy próbowano przy jej pomocy ustalić poziom rozwoju umysłowego lub też zdolności intelektualne uczniów. W rozmaitych formach stosowano ją u nas aż do 1936 r., nie pozwalając ona jednak na ocenienie nawet w przybliżeniu rozwoju umysłowego dzieci, który określał przede wszystkim warunki wychowania i nauki.

Zdolności indywidualne formują się i objawiają podczas określonej, konkretnej działalności człowieka, czy to społecznej, czy też podczas nauki, pracy i zabawy. Twierdzenie, że dzięki „testom“ można zdobyć wskazówki bardziej „obiektywne“, bardziej „pewne“ niż te, które otrzymujemy przy pracy lub zabawie, jest dowodem lekkomyślności. A

zresztą zwolennicy metody „testów“ muszą odwoływać się w swych sądach do danych zebranych w szkołach. W szkołach radzieckich nauczyciele i przedstawiciele organizacji młodzieżowych (Pionierów i Komсомоłu) dysponują aż nadto wystarczającą ilością tych danych.

W wielu szkołach radzieckich istnieje doskonała tradycja: dawnych uczniów obserwuje się po opuszczeniu szkoły. W ten sposób można sprawdzić, czy wybór ich zawodu był słuszny, czy więc rady wychowawców były rozsądne.

Obecnie, wobec wprowadzenia w ZSRR obowiązkowego nauczania średniego i nadania temu nauczaniu charakteru politechnicznego, konsultacje zawodowe rozszerzą się dla tej młodzieży, która, po wyjściu ze szkoły, nie pójdzie do szkół wyższych, lecz przejdzie do przemysłu lub rolnictwa.

RYSOOWNIKA HENRI CRESPI



Najpierw pasał bawoły, potem nauczył się stolarki. Teraz ma 93 lata i jest najwybitniejszym malarzem w Azji.



TSI PAI-CZE

Urodził się w Hu-nan, w wiosce „Kałuży Wielkiej Niedźwiedzicy”. Pochodził z biednej wieśniaczej rodziny. Dziecko mimo nędzy garnęło się do książki. Obywając się byle czym, matka po całoletnich trudach zdołała zaoszczędzić cztery korce ziarna i sprzedała je. Uzyskane pieniądze pozwoliły ósmioletniemu synowi chodzić do szkoły. Lecz tylko pół roku. Gdy zabrakło na chesne, chłopiec przestał chodzić do szkoły. Zabrał się znów do pilnowania bawołów i zbierania chrustu.

Każdą wolną chwilę zaoszczędzał na naukę czytania. Dziadek pomagał mu. Nie znane jeszcze wnukowi wyrazy kreślił pogrzebaczem w popiele.

W dzieciństwie nazywano chłopca A-tse. Oto obraz jego pierwszych lat.

A-tse zaczął 12 rok, gdy stracił dziadka. Wyprawienie choćby najskromniejszego pogrzebu pochłonęło resztki mizernego dobytku. Chłopiec zaczął pracować w polu. Był jednak tak wątpliwy, że nie mógł utrzymać pług. Wówczas ojciec zaprowadził go do stolarza. Po zdobyciu pierwszych wiadomości, terminator rzeźbił już w drzewie i sporządzał do tego celu potrzebne rysunki.

Któregoś dnia poszukując wzorów rysunkowych natrafił na słynną „Księgę z Ogrodu Ziarn Czarnej Gorzycy”. Nigdy dotąd A-tse nie widział nic równie cudnego.

Od tej pory wróciwszy z warsztatu, co wieczór zabierał się do odrysowania wszystkich po kolei rysunków z tej cudownej księgi. Przesiadywał tak do późnej nocy przy niskim płomyku żywicznego światła. Trwało to dziesięć lat.

Od drzeworytu więc, zgodnie z tradycją, tak drogą dla wielu malarzy, rozpoczęło się artystyczne wychowanie młodego Tsi Pai-cze. Możemy powiedzieć, że drzeworyt oddał najbardziej wyczuwalne usługi artystycznej formacji przeszłego, znakomitego grafika. Jego kunszt wzbu-
dził już wtedy podziw otoczenia.

Tsi Pai-cze zaczął być znanym malarzem. Zetknął się w tym czasie z dwoma bardzo cenionymi artystami. Od nich nauczył się portretowania. Posiadał przy tym sekret „wyrażenia duszy“ i „charakteru“. Najznakomitsi, miejscowi obywatele zamawiali u Tsi Pai-cze portrety swych antenatów.

Ukończywszy 27 rok życia mógł Tsi Pai-cze nareszcie rozpocząć studia klasyczne. Życzliwy profesor udzielał mu bezpłatnych lekcji. Nauka rozpoczęła się od poezji z epoki T'ang. Przeszły lata nieustannej pracy i Tsi Pai-cze staje się z kolei ogólnie znanym poetą. Wiersze te pisze dla swoich obrazów. Mieści się w tych strofach przede wszystkim wierne odbicie pracowitego życia twórczego i uczuć artysty, uczuć głęboko ludzkich.

W ście snycerskiej sztuce grawerowania pieczęci Tsi Pai-cze poddał się również surowym rygorom. „Grawerując pieczęcie — pisze on w swojej autobiografii — ścierałem je następnie trąc nimi o podłogę. Wów-

czas na wypolerowanym w ten sposób kamieniu ryłem od nowa. Ponieważ musiałem polerować kamienie na mokro, polewałem je wodą, toteż wkrótce podłoga w mojej pracowni zamieniła się w prawdziwe bajoro“.

Na początku wzorował się na dawnych sztycharzach, jak Ting Long-hong, Huang Siao-son i Czaó Hu-cisu. W starości dopiero „wyzwolił swą rękę z reguł dawnych konwencji“ i wytworzył swój własny, odrębny styl.

To samo odnosi się do jego malarstwa. W czterdziestym roku życia w rozwoju artystycznym malarza dokonał się punkt zwrotny. Tsi Pai-cze porzuca swój pierwotny sposób malowania, który polegał na finezji i ścisłości, posuniętej aż do pedanterii. Przeszedł do impresjonizmu, czyli „idealizowanego opisu“. Ta szkoła ma w Chinach wielką tradycję. Jednakże „wyidealizowana opisowość“ Tsi Pai-cze nie posiada nic z tych igraszek pędzla, zalatujących dyletantyzmem literackim. Malarstwo Tsi Pai-cze jest wyrazem rzeczywistego życia. Jego obrazy zdradzają często gorycz egzystencji pod panowaniem mandarynów i wybuchają głęboko przemyślaną satyrą. Świadczy o tym jeden z jego obrazów zatytułowany: „Powrót we śnie do domu“. Widzimy na nim zarysy dalekich gór, skalnych szczytów, stare drzewa i żywopłot otaczający dwa chińskie domki, które chylą się do upadku; dziecko czerwono ubrane, wyszło przed dom i wyciąga ręce do idącego ku niemu starca. Starzec wspiera się na lasce. Jest to dzieło dojrzałego już malarza z okresu, w którym, czy to aby zarobić na życie,



czy to aby schronić się przed zbrojnymi bandami, przewędrował prawie połowę ogromnego terytorium Chin, nosząc w sercu głęboką tęsknotę za domem ojczystym i za tymi, których dom ten osłaniał. Na tym obrazie malarz-poeta wypisał czterowiersz, w którym łączy umiłowanie spokojnego życia z nienawiścią wojny:

„Trzeszczą stare dachy,
gdy wiatr w nie uderza,
Już nie osłonią żołnierzy
wycięte krzewy;
We śnie odważnym się staję,
do domu wracam.
Dziecko mi naprzeciw
wybiega — jak radość“.

Inny obraz przedstawia ławicę różnej wielkości ryb pływających w wartkim nurcie wodnym. Małe rybki przezwyciężają siłę rwącego prądu i płyną przeciw biegowi, średnie wahają się w miejscu, podczas gdy stare ryby robią po prostu pół obrotu i pozwalają się znosić z głównego nurtu wstecznej fali. Tak artysta przedstawił starą generację i zadykował jej swą cierpką satyrę.

A oto jeszcze pejzaż: chmury trzepczą się w oddali, szczyt gór i zachód słońca. Na pierwszym planie grobla i mostek, przy nim pień starej, zwalonej wierzby, który nagle skręca ku górze, ku niebu. Pewnego dnia stary malarz odnalazł u handlarza obrazów to swe dzieło, stworzone niegdyś — około dwudziestu lat temu. Odkupił je. W domu usiadł przed odzyskanym płótnem i długo nad nim rozmyślał, wreszcie rzekł: „To dobry obraz, szczególnie to drzewo. Ten pień pochylony nad ziemią powinien służyć jako ława dla ma-

łego pastuszka bawołów: bawół zatrzyma się przy drzewie i zacznie ocierać się o korę”.

Tsi Pai-cze ujrzał swe dalekie dzieciństwo.

Inny zaś obraz sprzed trzydziestu laty „Sosna” wspaniale wyraża burzycielskie porywy artysty. Drzewo jest prawie огоłocone z igieł, ale całe obsypane szyszkami, wśród nich ledwo dostrzec można kilka pędów wyrastających z wnęki zestarzałego pnia. Ten obraz ma też swój poemat:

„Sosna utraciła wszystkie
swoje igły...

A pasożyty jeszcze nie syte.

Szyszki przetrwają zielone

jak mech.

O, niechże się niebo nad

drzewem zlituje

I burzą wyzwoli i gromem

od robactwa“.

Poemat opatrzony został krótkim komentarzem: „Dziadek mój opowiadał, że latem w roku Ken-u (1870) igły sosen otaczających nasz stary dom w „Kałuży Wielkiej Niedźwiedzicy“ zostały doszczętnie zjedzone przez owady. Pewnego dnia straszna burza wytępiła pasożyty. Teraz znowu zachłanna plaga niszczy nasze sosny. Czy trzeba znów obawiać się takiej burzy, jak w roku Ken-u? O, nie! Takie burze nie powtarzają się!“

W roku bieżącym obchodzono uroczystości 94 rocznicę urodzin Tsi Pai-cze. Długie życie. Ogarnęło sobą nieomalże cały wiek! I to jaki! Wiek nieustannego wrzenia i niepokoju. Czcigodny starzec zaznał

niejednej wojny, niejednej klęski, był świadkiem przemian, które wstrząsnęły niebem i ziemią, lecz przyniosły nam słodycz życia u schyłku gorzkich dni. Całe życie Tsi Pai-cze to jeden wielki nieprzerwany wysiłek sumiennego, pracowitego artysty.

Jeszcze dziś, mimo swego podeszłego wieku w dalszym ciągu prowadzi rozpoczęte dzieło, Tsi Pai-cze — poeta, grafik i malarz.

Spójrzcie na te wiśnie lśniące świeżością, jakby toczone, wypukłe, występujące z tła intensywnością kształtu. Zdaje się, że trysną słodyczą dojrzałego soku w waszych palcach. A te ryby i te raki, są tak przezroczyste, tak masycone światłem, czyż nie powinny być raczej w wodzie, niż na papierze? Żabie wyrastającej spod jego pędzla Tsi Pai-cze dorzuca jakąś kreskę i — od razu widzicie napinające się muskuły, gotowość do zawrotnego skoku! Kwiaty, czerwone i czarne, wchłonęły w siebie bogactwo wiosennego piękna. A kurczątko, małe istotki pulsujące życiem, jakżeż zadziwiają różnorodnością ruchów i osobliwością charakterów!

W tym długim i czynnym życiu twórczym były tylko dwie przymusowe przerwy. Pierwsza, gdy Tsi Pai-cze miał 63 lata, chorował tydzień na śpiączkę. W rok później wstrząsnęła nim wiadomość o śmierci matki i wówczas artysta przez parę dni nie pracował.

90-letni Tsi Pai-cze był obecny w Pekinie w czasie proklamowania utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej. Prezydent Mao Tse-tung przyjął artystę i serdecznie wypyty-

wał go o stan jego zdrowia, okazał również wiele zainteresowania dla jego pracy twórczej. Sędziwy malarz, który nigdy dotąd nie zaznał tyłu dowodów troskliwości, odnalazł się wreszcie w opiekuńczych ramionach swej prawdziwej ojczyzny. Całym sercem oddany jest sprawie Pokoju. Od trzech lat syn.boliczny biały gołąb stał się głównym motywem jego malarstwa. Na cześć Konferencji Pokoju krajów azjatyckich Tsi Pai-cze namalował wielki, długości 3 m obraz. Wartość artystyczna i siła wyrazu tego płótna wzbudziły nieopisany entuzjazm. Cała

Azja zna dzieła Tsi Pai-cze. Japończycy sfilmowali jego dorobek artystyczny. Reprodukcje te służą za wzór młodym uczniom z Instytutu Sztuki w Tokio. Również i w Paryżu były wystawione jego prace.

7 stycznia 1954 r., z okazji urodzin artysty minister kultury wręczył mu honorowy dyplom, w którym sędziwy malarz nazwany został zasłużonym artystą Ludowych Chin. Obecnie uczcili artystę długotrwałymi owacjami. Tsi Pai-cze cieszył się jak dziecko.

U Tsu-Kuang





MIASTO odbicie cywilizacji

PIERRE GEORGE

prof. Sorbony

MIASTO jest miejscem zamieszkania i pracy przeszło połowy ludności w przemysłowych krajach Europy zachodniej i w utworzonych w wieku XIX na wzór europejski organizmach gospodarczych w Ameryce i w Australii.

Pojęcie „miasto“ wywołuje w nas świadomość wielu zarówno bliskich, jak i niewdzięcznych problemów — problem mieszkania, poruszania się,

codziennych przejazdów pracowników, higieny i demografii, administracji, architektury i urbanizmu. Mimo swoich ułomności, nowoczesne miasta Europy i Ameryki są symbolami postępu materialnego i kultury, jako siedziby uniwersytetów, muzeów, teatrów, jako siedziby kierowniczych ośrodków życia gospodarczego, regionalnego i narodowego.

Świadomie lub nieświadomie przeciwstawiamy miasto wsi, reprezentującej w Europie zachodniej formy życia gospodarczego i społecznego, pochodzące z okresu jaki poprzedził wielki ruch urbanizacji, towarzyszący rewolucji przemysłowej.

Niezależnie od znaczenia ruchów chłopskich, rewolucje wieku XIX były rewolucjami miejskimi. W życiu politycznym — bez niedoceniania roli, jaką odgrywa ludność wiejska, lub jaką się tej ludności przypisuje — przeważają antagonizmy pomiędzy klasą panującą, dysponującą finansowym i technicznym aparatem gospodarki przemysłowej, a proletariatem, tworzącym liczebnie najważniejszy i najbardziej bojowy odłam ludności miejskiej.

Taki stan rzeczy jest charakterystyczny dla pewnej części świata, tej mianowicie, w której dokonała się rewolucja przemysłowa w ramach kapitalistycznej organizacji gospodarki. W Europie zachodniej, jak również w Japonii — zajął on miejsce przeszłości urbanistycznej innego rodzaju, istniejącej przeważnie w Ameryce Północnej w dziewiczym otoczeniu zarodków miast.

Obecnie taki stan rzeczy obejmuje ludność miejską w liczbie ponad 250 milionów mieszkańców. Ponad 100 milionów mieszkańców miast żyje w innych ramach organicznych — mianowicie w krajach, gdzie dokonała się, lub obecnie dokonuje się rewolucja przemysłowa przy zastosowaniu metod i zasad socjalizmu. W takich krajach urbanizacja odbywa się w szybkim tempie przy użyciu oryginalnych środków i sposobów działania.

Wreszcie spotykamy miasta w krajach nie uprzemysłowionych, bądź też słabo uprzemysłowionych, ogólnie określanych dzisiaj jako kraje gospodarczo zacofane. W rzadkich tylko wypadkach miasta takie są wytworem wyłącznie gospodarki przed-industrialistycznej, mimo że gospodarka ta tworzyła miasta — z wyjątkiem Afryki Środkowej. Powstałe w tego typu gospodarce miasta są na ogół miejscem kontaktowania się gospodarki krajów zacofanych i interesów krajów przemysłowych. Są to miasta kolonialne, stolice — rynki w krajach Ameryki Południowej, miejsca spotkań i rywalizacji spółek zachodnio-europejskich i północno-amerykańskich w krajach Środkowego Wschodu.

Każda forma organizacji gospodarczej, każdy etap rozwoju produkcji i stosunków produkcji ma swoje własne typy miast. Stąd — należy oceniać miasta jako odbicie cywilizacji danego społeczeństwa.

STARE MIASTA ROSNA

W Europie zachodniej nowoczesne miasto jest spadkobiercą przeszłości miejskiej, niejednokrotnie ponad tysiącletniej, ale jego aktywność i życie codzienne wywodzi się z innych pobudek, aniżeli te, które ożywiały jego istnienie i jego rozwój przed rozkwitem gospodarki przemysłowej.

Sieć miejska przeszłości zrodziła się z trojkiej serii czynników grupowania się na ogół minimalnego odłamu ludności danego kraju, gdzie głównym źródłem utrzymania była uprawa ziemi. Były to czynniki na-

stępujące: tworzenie ufortyfikowanych ośrodków w miejscach, ułatwiających kontrolę mniej lub więcej obszernego okręgu, w miejscach, ułatwiających obronę przy pomocy istniejącej w danym okresie techniki wojkowej. Po drugie — umiejscowienie w stałym punkcie władzy politycznej, lub przedstawicieli administracji. Po trzecie — rozwój rynków, pobudzający do powstawania na miejscu rzemiosła, przetwarzającego część produktów wymienianych na rynku i wytwarzającego przedmioty, potrzebne klienteli wiejskiej.

Najdogodniejszym dla wymiany jest często takie miejsce, które jednocześnie podlega ochronie administracyjnej, lub wojkowej danego okręgu. Z drugiej zaś strony obecność władz przyciąga kupców i rzemieślników, poszukujących ochrony dla swych towarów i działalności. To też bywa częstym, jeżeli nie powszechnym zjawiskiem, że stare miasta zachodniej Europy stanowiły zarazem ośrodek wojkowy, administracyjny i handlowy. Tamże również znajdowały siedzibę władze religijne, tam skupiała się działalność duszpasterska.

Różnie kształtowały się rozmiary starych miast, ale rzadko zdarzały się w owym czasie miasta prawdziwie wielkie. W wieku XVIII tylko nieliczne miasta europejskie skupiały ponad 100 tysięcy mieszkańców.

Tak więc rozwój miast, jaki dokonał się w wyniku rozwoju nowych form gospodarki w XIX i XX wieku, przyniósł zmiany jednocześnie i jakościowe, i ilościowe.

Najpierw następuje krystalizacja wśród starych miast, przebiegająca

w ten sposób, że małe skupiska po parę tysięcy mieszkańców przylaczają się do ważniejszych miasteczek, cieszących się obecnością władzy administracyjnej i stanowiących siedziby okręgów wyborczych, czy bi-skupstw.

Niektóre z nich — a jest ich nie-mało — cofną się w rozwoju spadając do roli osad wiejskich. Inne pozostaną małymi prowincjonalnymi ośrodkami targowymi jako centra dystrybucji produktów, fabrykowanych i zakupywanych w ważniejszych miastach, liczących od 5 do 20 tysięcy mieszkańców, gdzie przemysł jest zjawiskiem rzadkim i podrzędnym.

Niektóre stare miasta przekształciły się w wielkie równoczesne ośrodki miejskie: niektóre stolice państw lub prowincji w błyskawicznym rozwoju wzrosły z kilkudziesięciu tysięcy, czy nawet paruset tysięcy mieszkańców w okresie przed dwunastu laty do miliona lub nawet paru milionów w dobie dzisiejszej, gdy tymczasem wiele innych miast o mniejszym znaczeniu regionalnym tworzy skupiska, których liczba ludnością obraca się wokół stu czy dwustu tysięcy mieszkańców.

Temu gwałtownemu wzrostowi ludności miejskiej, czerpiącemu z poważnych rezerw ludzkich w okręgach wiejskich, puszczającemu w ruch w ciągu paru dziesięcioleci w takim jak Francja kraju miliony jednostek, towarzyszy modyfikacja znaczenia miasta. Głębokim zmianom uległy nie tylko formy wymiany handlowej, działalność finansowa, administracyjna, sposoby transportu — w porównaniu z wiekiem



Gdańsk: Rosnąc wokół starego centrum i starego rynku, nowoczesne dzielnice poszerzają granice miasta

XVIII — ale rozwinęła się nowa działalność — działalność przemysłowa.

Głębokiej zmianie uległy na skutek tego stosunki produkcji i struktura społeczna. Zależnie od miejsca i innych okoliczności ludność przemysłowa stanowi przeważającą masę ludności: w wielkich okręgach górniczych — ośrodki miejskie grupują w Nadrenii 5 milionów mieszkańców, ponad jeden milion we francusko-belgijskim basenie węglowym. Gdzie indziej znowu, jak na przykład w wielkich stolicach większa część ludności zatrudniona jest w handlu, finansach i administracji.

Nigdy jednak wielkie nowoczesne miasto nie jest pozbawione przemysłu. Przemysł uczestniczy w rozwoju

głównych skupisk, posiadających pełny asortyment przemysłu przetwórczego, obywatelom się bez znacznego zasobu surowców.

W tych warunkach wielkie miasto zawiera rdzeń z okresu przed rozwojem przemysłu — jest to nagromadzenie ciasnych dzielnic z historycznymi pomnikami, wąskimi i krętymi uliczkami, często przyczepionymi do przypadkowego miejsca, przedstawiającego niegdyś walory obronne.

Rdzeń ten służy na ogół podwójnemu przeznaczeniu. Dzisiaj stanowi siedzibę pewnej części organów administracyjnych i handlu, który wypędził stąd mieszkańców dawnych kamienic. Ten proces doprowadził do zmniejszenia zaludnienia

dawnych ośrodków. Do najwyższych granic posunął się on w centrum starego Londynu, w **City**. Często też mówi się ogólnie o zjawisku „Środka miasta“ w ewolucji starych miast.

Z drugiej jednak strony zamożniejsi mieszkańcy opuścili stare domostwa z powodu ich niewygody i ciasnoty ulic, a tam gdzie instytucje handlowe i biura nie zajęły o-

puszczonych siedzib, stare dzielnice stały się miejscem osiedlania się najuboższych grup ludności.

Właśnie w dawnych centrach starych miast obserwujemy jakże smutne nagromadzenie robotników cudzoziemskich, bezrobotnych, chałupników. Centrum Paryża daje przykład przeciwieństwa tych dwóch form rewolucji urbanistycznej. Ma-



Nowy Jork: Miasto, które powstało w środowisku bez przeszłości urbanistycznej i które rośnie we wszystkich kierunkach

my dzielnicę Hai, dzielnicę Gieldy, skolonizowane przez biura i magazyny, dawną arystokratyczną dzielnicę Marais, dzielnicę Saint-Gervais i dzielnicę Saint-Paul, gdzie dawne zniszczone siedziby przemieniały się stopniowo w przeludnione nory, gnieźdzące najbiedniejszych imigrantów.

Wokół tych dawnych ośrodków rosły miasta według różnych metod, zależnie od miejsca i historycznych wydarzeń. Wielki nowoczesny przemysł, któremu potrzeba dużo miejsca i ułatwień komunikacyjnych, rozszerzył się wzdłuż wielkich magistrali kolejowych poza dawnym miastem. Ten wielki przemysł spowodował rozwój nowych dzielnic robotniczych.

Rozwój finansów, handlu i administracji, zatrudniających wzrastającą liczbę urzędników, przyczynił się ze swej strony do szybkiego rozrostu ram dawnych dzielnic mieszkaniowych. Bardziej lub mniej bezpośrednio zachęcany przez systematyczną politykę popierania budownictwa indywidualnego, rozwój budownictwa przedmieść mieszkaniowych z małymi jednorodinnymi domkami w ogrodach poważnie zwiększył powierzchnię miast podnosząc koszty dojazdu do miasta publicznymi środkami lokomocji.

Rezultatem tego jest powstały w wyniku historycznego rozwoju oryginalny podział na strefy, kiedy do starych dzielnic, zbudowanych w ciągu XIX wieku, gdzie przeważają wysepki ściśniętych obok siebie domów cztero- i pięciopiętrowych, doszły strefy podmiejskie, dzielnice zewnętrzne, przedmieścia, gdzie miesza-

ją się obiekty przemysłowe, dzielnice robotnicze, miasta-ogrody, gdzie coraz bardziej przeważają świeżo wybudowane wielkie wysokościowce, które mają służyć jako mieszkania nowym masom mieszkańców bez potrzeby rozszerzenia miasta na zbyt już odległe od centrum przestrzenie.

Każdy naród wnosi do rozwoju miejskiego piętno swoich własnych koncepcji urbanistycznych, zmieniających się w zależności od okresu, od woli władz publicznych lub stanu kapitałów, potrzebnych dla spekulacji nieruchomościami. Mimo podobieństwa ewolucji wielkich miast Europy północno-zachodniej, nie należy zapominać o ich różnorodności.

W Związku Radzieckim rozwój miast jest z historycznego punktu widzenia bardziej skomplikowany. Stare ośrodki miejskie składały się w początkach XIX wieku z sieci bardzo „mało zurbanizowanych miast, wiejskich miejsc targowych, garnizonów, siedzib administracji, które często zachowały swoje dawne, otoczone murami z cegły, żąbkowane, umocnione kwadratowymi wieżami kremle.

Poza wielkimi politycznymi metropoliami Petersburgiem i Moskwą najbardziej znany na świecie był Niżny Nowogród, obecnie Gorki, siedziba wielkich targów nad brzegami Wołgi, przypominających w pewnej mierze targi w Beaucaire w dawnej Francji.

W niektórych z tych miast prowadzono prace urbanistyczne w różnych epokach, na przykład w XVIII wieku — w Petersburgu i

Odessie. Jednakże dziedzictwo urbanistyczne dawnej rolniczej Rosji jest bardzo szczupłe. Pierwsze formy industrializacji, pod wpływem spekulacji pochodzenia zagranicznego, spowodowały powstanie najbiedniejszych dzielnic proletariackich, podobnych do dzielnic tego typu w Birmingham czy w Zagłębiu Ruhry. Z tych to właśnie dzielnic wyruszyć miały ruchy rewolucyjne 1905 i 1917 r.

Udziałem okresu budownictwa socjalizmu i obecnego okresu rozwoju socjalizmu i przygotowania przejścia od socjalizmu do komunizmu było utworzenie nowej urbanistyki, odpowiadającej społeczeństwu bezklasowemu.

Ta racjonalna urbanistyka przyczyniła się do powstania w nowych okręgach przemysłowych, na miejscu miast zniszczonych przez najeźdźcę hitlerowski, typowych miast socjalizmu. Wyposażenie funkcjonalne miast tworzą siły produkcji: fabryki, instytucje kierownicze i przedsiębiorstwa bezpośredniego zaspokajania potrzeb ludności, biura administracji cywilnej i kierownictwa życia gospodarczego, instytucje kulturalne, obsługa kanalizacji, transportu, magazynowania i dystrybucji artykułów użytkowych i spożywczych.

O ile racjonalne dzielenie miast na strefy musi brać pod uwagę wygodę i optimum sprawnego działania fabryk i usług, jak również maksymalne wygodę mieszkańców, oraz uproszczenie komunikacji codziennych dojazdów i powrotów dla pracowników, głównym wymogiem jest jedność urbanistyczna.

Miasto nie składa się z nagromadzenia części o wyspecjalizowanych właściwościach, ale ma dawać harmonijną całość, która wymaga połączenia dzielnic, wyposażonych we wszystkie niezbędne udogodnienia życiowe dla kilku czy kilkunastu tysięcy mieszkańców i w urzędy miejskie, przy czym fabryki, stanowiące nieprzyjemne sąsiedztwo, winny być oddzielone od dzielnic mieszkaniowych.

W ten sposób miasto socjalistyczne staje się całością rozczłonkowaną i ujętą w ramy wielkich, okolnych drzewami arterii i przestrzeni zielonych, ofiarowujących wszystkim mieszkańcom, niezależnie od ich zawodu, te same podstawowe udogodnienia dla egzystencji materialnej i duchowej. Każda regionalna grupa miejska zachowuje swoje oryginalne cechy. Architektura czerpie natchnienie z tradycji ludowych, z tradycji budownictwa, szuka formy najbardziej harmonijnej dla połączenia sylwetki urbanistycznej i naturalnego krajobrazu regionalnego.

W ten sposób powstały — według różnych schematów regionalnych — nowe miasta Syberii. Dalekiego Wschodu, Centralnej Azji.

Bardziej skomplikowane musiało być przekształcenie starych miast, bogatych w cenną przeszłość architektoniczną, ale często bardzo niewygodnych, takich jak Moskwa. Ich rozwój był tym trudniejszy, że musiał się zbiegać z bardzo gwałtownym wzrostem liczebnym ludności. Moskwa staje się dzisiaj wielkim nowoczesnym miastem, gdzie piętrzą się wysepki wysokich gmachów, których ogólna sylweta stanowi powtó-

zenie wież Kremla — muzeum starego miasta i centrum politycznego Związku Radzieckiego.

W Leningradzie, w Kijowie i w setkach mniejszych miast odbudowa wcieliła dziedzictwo artystyczne przeszłych stuleci do nowej socjalistycznej urbanistyki. Tę samą ewolucję przechoǳą dzisiaj miasta krajów demokracji ludowej w Europie. Najbardziej doświadczona w czasie wojny Warszawa jest dzisiaj symbolem sił twórczych socjalizmu i wierności dla tradycji narodowej.

POWSTAWANIE MIAST MIESZANYCH

Ekspansja gospodarcza krajów kapitalistycznych Europy zachodniej w świecie w ciągu drugiej połowy XIX wieku i z początkiem wieku XX spowodowała tworzenie się miast mieszanych i kilku miast nowych. Przyczyną tej ekspansji było poszukiwanie rynków surowcowych i tanich artykułów żywnościowych, rynków zbytu europejskich produktów przemysłowych, rynków dla inwestycji kapitałów, uzyskanych z zysków, pochodzących z eksploatacji kapitalistycznej.

Toteż najbardziej rozwijały się miasta, położone wzdłuż morskich wybrzeży, w portach, gdzie następowało konkretne zetknięcie się gospodarki przemysłowej i jej rynków, lub na obszarach, gdzie powstały ośrodki produkcji górniczej, względnie w okolicach o produkcji rolniczej, przeznaczonej na eksport.

Ogólnie biorąc, kiedy cywilizacja narodowa z epoki przedindustrialnej tworzyła miasta raczej niewielkie,

odgrywające ze względu na swe ukształtowanie rolę analogiczną do roli małych miast europejskich w okresie przed uprzemysłowieniem, miasta te miały charakter niejednorodny.

Początkowy załążek powstaje z „medinas“ (dzielnice tubylcze) w miastach Afryki Północnej, dzielnic europejskich, centrum handlowego, siedzib urzędów finansowych, handlowych, przemysłowych i z domów, zamieszkałych przez cienką warstwę ludności tubylczej, współpracującej z przedstawicielami interesów zagranicznych; spotykamy tu przestrzenie miejskie, zabudowane bogatymi gmachami, ozdobione parkami, pięknymi placami, łączącymi się często ze wspaniałymi, rzęsiście oświetlonymi nadbrzeżami.

Zapotrzebowanie na ręce robocze, wynikające z rozwoju przemysłu przetwórczego, a co najmniej w równym stopniu nędza ludności wiejskiej, nie dysponującej dostatecznymi środkami utrzymania, zepchniętej na mniej żyzne ziemie, powoduje skupienie się miejscowej ludności wokół dwóch wyżej opisanych załążków miejskich.

Miasto rośnie na zewnątrz w formie nowych dzielnic tubylczych (medinas) i nowych bidonvilles (miast-blaszanek).

Tam, gdzie nie istniał wcześniejszy załążek miejski, rozwój przemysłu górniczego spowodował powstanie miast o dwojakim charakterze, gdzie rdzeń stanowi dzielnica kolonizatorów, centrum biurowe z siedzibą międzynarodowego kupiectwa, a masę urbanistyczną tworzą siedziby robotnicze, lub niezorganizowane obo-

zowiska rezerwowych rąk robotniczych (miasta przemysłowe Katangi i Rodezji).

Forma prawna stosunków politycznych między krajami małą odgrywa tutaj rolę — kolonie, protektory, kraje teoretycznie niepodległe, ale podporządkowane gospodarczo przybierają podobne formy urbanistyczne.

NOWE MIASTA NASZYCH CZASÓW

Ostatni typ urbanistyczny tworzą miasta, powstałe w środowisku wolnym od przeszłości urbanistycznej — w wyniku ekspansji ludności europejskiej poza granice Europy.

Formy zmieniają się tutaj zależnie od okresu kolonizacji, zgodnie z procesem rozwoju gospodarczego w każdej dziedzinie: w Stanach Zjednoczonych spotykamy dwie różne rodziny urbanistyczne — jedna to miasta wschodnie, których rozwój rozpoczął się przed epoką przemysłową, druga — nowsze miasta centrum i zachodu.

Miasta wschodnich części USA posiadają rozmaite ilości zabytków z epoki, zwanej kolonialną, jak stare dzielnice Bostonu, Filadelfii, Nowego Orleanu... Inne mają zwykle zabudowę prostą: po środku centrum handlowe, otoczone pierwszymi dzielnicami mieszkaniowymi, dzisiaj zanueszczalymi przez najbardziej upośledzone warstwy społeczne, często zgrupowane jeszcze w zbiorowiskach narodowościowych (zwłaszcza dzielnice murzyńskie), koncentryczne aureole domów bardziej nowoczesnych, gdzie przeważają — posuwając się od środka na zewnątrz — niekończą-

ce się dzielnice odizolowanych jedne od drugich domków.

To, co najbardziej uderza w tych amerykańskich miastach — to idealny plan geometryczny, gdzie numerowane magistrale w dręczącej monotonii następują kolejno po sobie.

Tę samą różnicę spotykamy w Kanadzie między wschodnimi miastami Montrealem czy Quebec a miastami prerii.

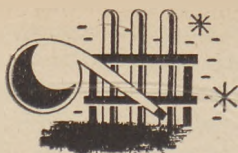
Do tego samego typu urbanistycznego, do tego samego pokolenia i tej samej grupy gospodarczej i społecznej należą miasta australijskie i nowozelandzkie.

Natomiast Ameryka Łacińska jest środowiskiem urbanistycznym o wiele bardziej zróżnicowanym i bardziej złożonym. Zaczątki miast datują się z okresu kolonialnego sprzed epoki industrializacji. Obecna ich sytuacja zbliżona jest do sytuacji miast, wchodzących w orbitę ekonomik krajów gospodarczo zacofanych i obcych interesów. Nie wyklucza ona jednak form rozwoju typu północnoamerykańskiego.

Drapacz, gdzie mieszczą się urzędy, pałac rządu, monumentalna ulica z iluminowanymi magazynami sąsiadując z obozowiskami rezerwowych rąk robotniczych, bidonvilles, okalającymi bogate dzielnice pięknych rezydencji — słowem obrazki z Chicago w połączeniu z reminiscencjami z Barcelony lub z Oranu.

Będąc odbiciem cywilizacji, produktem i wyrazem określonego ustroju gospodarczego i społecznego, jest miasto również jednym z najbardziej zajmujących laboratoriów badawczych dla różnych specjalistów nauk humanistycznych.

Pierre George



Czy można sztucznie stworzyć życie?

JEAN VERDIER

PROFESOR Oparin twierdził od dawna, że życie jest bardzo rozpowszechnione we Wszechświecie i że opanowanie mechanizmu jego powstawania jest możliwe. Tezę tę potwierdzają nowe fakty: odkryto w atmosferze słonecznej połączenia węgla i wodoru (substancje zdolne do łączenia się w molekuły organiczne). Mimo panującej tam temperatury 6 000 stopni niektóre z tych połączeń utrzymują się trwale. Molekuły te wyrzucane w przestrzeń przez słońce mogą tworzyć molekuły organiczne bardziej złożone. Dowiedziono istnienia tych złożonych molekuł — zwłaszcza metanu — w meteorytach i pyłe kosmicznym.

Ponieważ jest bardzo prawdopodobne, że planety tworzyły się poprzez skupianie się pyłu kosmicz-

nego, istnienie prostych molekuł organicznych (metanu, formolu, mocznika) na powierzchni wszystkich planet jest całkowicie wytłumaczone. Działanie światła słonecznego i wulkanicznego gorąca może je przekształcić w aminokwasy, cząsteczki cięższe — bardziej zbliżone do życia.

Profesorowi Breslerowi z Leningradu udało się przemienić w laboratorium te aminokwasy w białka przez działanie ciśnienia i katalizatorów.

W ten sposób zrobiono w laboratorium pierwszy krok do syntezy życia.

DZIECI KSIĘZYCA I KRYSTAŁÓW

Napotkano jednak w tej pracy ogromną trudność. Przeczuwał ją

już Pasteur, a zdefiniował Piotr Curie w 1884 r.

Materia żywa jest **asymetryczna w przestrzeni**. Tak jak ręka prawa i lewa jej molekuly nie nakładają się na siebie w swoim odbiciu lustrzanym. Trzeba więc było stworzyć w laboratorium molekuly asymetryczne. Pasteur uważał, że takie syntezy są niemożliwe bez udziału samego życia, reprezentowanego przez badacza lub przez bakterie.

Reakcje chemiczne wyzwalały mieszaniny tzw. „racemiczne“, zawierające molekuly „prawe“ i „lewe“ w równych proporcjach. Jak dotychczas, udawało się je rozdzielić sortując kryształy przy pomocy pincety albo używając bakterii „wybierających“ cząsteczki „prawe“ lub „lewe“.

Jedna ze szkół naukowych (Carrel, Lecomte du Nouy, itd...) wyciągnęła z tego wniosek, że Życie ma cechy boskie i jedyne.

Natomiast uczeni radzieccy E. I. Kłabunowski i W. W. Patrikijew zdołali sztucznie stworzyć cząstki asymetryczne. Możemy podać tutaj tylko ogólną zasadę tych historycznych odkryć dokonanych w 1951 r.*), a obecnie potwierdzonych w całej pełni.

Zużytkowując jednocześnie działanie światła polaryzowanego i przepuszczonego przez kryształy asymetryczne działające jak katalizatory, udało się badaczom oddzielić mie-

szaniny racemiczne i stworzyć asymetryczne substancje, wychodząc z pierwotnej materii symetrycznej. Sprawdzili swoje wyniki stwierdzając, że otrzymane ciała są optycznie aktywne, to znaczy, że działają na polaryzowane światło.

W ten sposób można wyobrazić sobie powstawanie Życia na Ziemi. Na skutek działania promieni polaryzowanego światła księżyca i jednocześnie działania katalitycznego kryształów, takich jak kwarc, mogło powstać Życie.

Jesteśmy dziećmi księżyca i kryształów — oto poezja współczesnej nauki, równie piękna jak stare legendy.

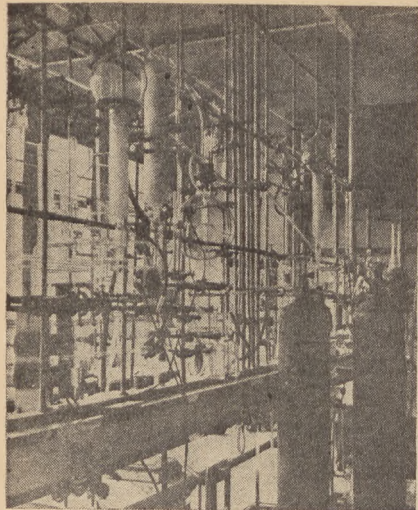
Mechanizm tego procesu w przyrodzie jest bardzo długi. Ale można go sztucznie przyspieszyć. Już teraz pokrywając cienką warstwą metalu (miedzi, niklu, platyny) aktywne kryształy, takie jak kwarc i przeprowadzając reakcję przy 400 stopniach na pewne molekuly symetryczne, uczeni radzieccy otrzymali dość szybko molekuly aktywne i wodę.

Ale asymetria nie jest jedyną cechą życia. Dochodzi do tego np. przyswajanie pożywienia ze środowiska zewnętrznego i reagowanie na bodźce pochodzące z zewnątrz. I dlatego tak ważne są wiadomości, które nadeszły do nas z Meksyku.

„COLPOLOIDY“ IMITUJĄ ŻYCIE

Profesor Alfonso L. Herrera (1869 — 1942) stworzył ośrodek badań problemów Życia.

*) Czytelnik orientujący się w zagadnieniach chemii organicznej znajdzie szczegóły tej pracy w „Sprawozdaniach Akademii Nauk ZSRR“ t. LXXIV, zes. 5, str. 947 (1951) i t. LXXVIII nr 3, str. 485.



*Ośrodek badawczy w Croix de Berny.
Urządzenie laboratorium*

Za pomocą bardzo prostych środków udało mu się stworzyć imitacje żywych komórek, które nazwał „colpolidami“.

Oto formuła jednego z takich colpolidów profesora Herrery, które czytelnik łatwo mógłby odtworzyć:

Rozpuścić 50 części oliwy w 100 częściach zwykłej benzyny samochodowej w naczyniu idealnie czystym, na przykład w porcelanowym talerzu wyjałowionym nad płomieniem.

Rozpuścić 14 części ługu sodowego przy 36 stopniach Baumé'a w 100 częściach wody destylowanej, zabarwionej na czarno przez odrobinę czerni anilinowej i dodać kroplę mieszaniny otrzymanej po rozpuszczeniu oliwy.

Czarne krople, które otrzymamy, zachowują się w wodzie jak żywe komórki: „jedzą“ one cukier, wypuszczają nibynóżki, odpychają się lub przyciągają, łączą się lub dzielą, i naśladują zachowanie się najprostszych organizmów: wymoczków.

Życie ich nie trwa dłużej niż trzy kwadranse. Można je jednak przedłużyć, wpuszczając te krople do wody zawierającej gumę arabską.

Profesor Herrera udoskonalił te imitacje życia przez dodanie białka.

Po wielu próbach, zwłaszcza łącząc cyjanosiarczan amonu, formol i albuminę, otrzymał twory niezwykle podobne do jednokomórkowych mikroskopijnych glonów.

Podobno uczniom Herrery w Mexico City udało się utrzymać colpolidy imitujące w ciągu kilku dni zachowanie się żywych organizmów, zwłaszcza przyswajanie, wrażliwość, zużywanie energii słonecznej.

Gdyby te badania połączyć z badaniami uczonych radzieckich, sztuczne tworzenie — z powietrza i wody — pierwszych żywych komórek nie byłoby tak odległe.

Dwutlenek węgla, powietrze, woda, kilka soli mineralnych — być może, że tylko to wystarczy, by w najbliższej przyszłości stworzyć pierwsze sztuczne glony zdolne do rozmnażania się, do przemieniania energii słonecznej w chemiczną, do ŻYCIA.

Byłoby to największym naukowym odkryciem naszych czasów.

TERI HORVATH

gwiazda teatru węgierskiego



TERI HORVATH jest jedną z najslawniejszych i najbardziej ulubionych aktorek węgierskich. Urodziła się w małej wiosce, gdzie ciężko pracowała u swoich rodziców na roli.

— Aż do wieku 15 lat robiłam wszystko co robi dziewczyna wiejska. Uprawiałam ziemię, żęłam zboże, kopałam ziemniaki, i... myślałam; myślałam zwłaszcza w zimie, kiedy ma się więcej czasu na wsi: można by żyć inaczej, mieć jakiś zawód. Ale jaki? Gdzie i jak się go wyuczyć?

Pewnego dnia nauczyciel dał mi małą książeczkę Petöfi'ego. Wnet wyuczyłam się całych stron z tej książeczki na pamięć. Recytowałam sobie te strony. I mówiłam sobie, że kiedy się jest aktorką, wtedy można recytować innym, uczyć ich ko-

nać te poematy. Wreszcie powiedziałam moim koleżankom i kołegom, że chciałabym zostać artystką. Śmieli się ze mnie; nigdy nie byłam w teatrze, nigdy nie widziałam nawet filmu.

* * *

W 1945 r., kiedy powstaje Demokratyczny Związek Młodzieży Węgierskiej, Teri uczęszcza do świetlicy wiejskiej. Otrzymuje do zagrania rolę w jakiejś sztuce.

— Była to rola Cyganki. We wsi mówiono, że wyglądam jak Cygan-ka.

Delegat Zarządu Głównego Związku Młodzieży, który był obecny na przedstawieniu, zwraca uwagę na Teri, mówi jej, że w Budapeszcie jest Wyższa Szkoła, w której mogłaby studiować.

— Roześmiałam się. Nie miałam pieniędzy, aby iść do szkoły, mia-

łam tylko jedną sukieneczkę. Wyjaśnił mi wtedy, że nie będę musiała pokrywać żadnych kosztów, że otrzymam bilet kolejowy, ubranie, że będę miała zapewnione mieszkanie i utrzymanie. Odczułam pokusę. Ale moi rodzice nie chcieli wcale o tym słyszeć. Dla nich stolica była strasznym miastem, gdzie przybywające z prowincji młode dziewczęta albo umierały z głodu, albo wstępowały na złą drogę.

Teri postawiła na swoim. Pomyśli nie zdała egzaminy wstępne. Wnet otrzymała świadectwo dojrzałości. Zanim jeszcze wystąpiła przed publicznością, grała w filmie **Ludas Matyi**, i ta rola — jej pierwsza rola — pozostała dla niej najmiłszą.

— Czy rodzice widzieli Panią na scenie?

— Owszem, wreszcie przyjechali do Budapesztu. Widzieli mnie w **Bohaterskiej Wiosce** Lope de Vegi. Uspokoił się zupełnie co do mego losu, byli zadowoleni.

Rodzice są jeszcze bardziej zadowoleni teraz, gdy Teri wyszła za mąż za Jenő Kovács'a, który — podobnie jak ona — pochodzi z chłopskiej rodziny i wnet ma zostać profesorem literatury.

— Poznałam go na jakimś wieczorku tanecznym. Powiedział mi, że i on również pochodzi z małej wioski. To nas zbliżyło nawzajem. Wie Pani, swoją wioskę kocham tak samo jak przedtem i jadę tam, kiedy tylko mogę.

Spoglądam na tę twarz, której całe piękno polega na sile wyrazu. Wsłuchuję się w głos Teri, oczarowana tą doskonałą naturalnością, która jest oznaką prawdziwego ta-

lentu i silnej osobowości. Mieliśmy wszyscy do czynienia z młodymi gwiazdami — młodymi, ale jakżeż zmanierowanymi — które, osiągnąwszy szybko sławę, nie dorastając do niej moralnie, nie mogą się zdecydować na to, aby niepostrzeżenie zejść ze świecznika, kiedy to staje się konieczne i zachowują w życiu maquillage i strój aktora. Teri Horvath jest ulana z innego kruszcu. Teri Horvath jest zupełnie prostą kobietą, jest kobietą, jak wszystkie inne, a na scenie — jedną z najlepszych artystek, jakie można obecnie zobaczyć.

* * *

W czasie dwu moich niedawnych podróży do Budapesztu widziałam **Lohengrina, Romea i Julię, Szkołę Kobiet, Carmen** oraz sztuki z repertuaru narodowego, jak również **Trzech Muszkieterów** w teatrze marionetek.

O pasji, jaką żywi naród węgierski dla teatru, mogłam się przekonać nie tylko oglądając widownie pełne, uważne, entuzjastyczne, ale również rozmawiając ze studentami Instytutu Francuskiego na Uniwersytecie, którzy stawiali tak precyzyjne, że aż mnie czasem ambarasujące pytania, na przykład na temat organizacji naszego Narodowego Teatru Ludowego, na temat projektów Sartre'a lub Jean-Louis Barrault.

Widziałam, jak Węgry — podzielone na sześć okręgów teatralnych, w których każdy ośrodek posiada jeden zespół dramatyczny i jeden operetkowy — mogą teraz całe, aż do najodleglejszych wiosek poznać Szekspira, Molięra, Gorkiego, Bernarda Shaw.

Wiele mi opowiadano o działalność Szkoły Sztuk Dramatycznych, której poważna ilość uczniów jest pochodzenia chłopskiego i robotniczego. Poprosiłam o umożliwienie mi zwiedzenia tej szkoły. Żle trafiłam, gdyż był koniec roku — studenci i profesorowie byli zajęci egzaminami. Jednakże młoda dyrektorka zechciała poświęcić mi nieco czasu, przyjmując mnie w tym wielkim domu, który, jak mówi, już stał się zbyt ciasny:

— Musieliśmy zająć jeszcze jeden budynek. I jeszcze brak nam miejsca. W przyszłości otrzymamy bardzo duży lokal, gdzie będą zgrupowane wszystkie klasy.

Oddzielona od Konserwatorium założonego przez Liszta, szkoła powstała w drugiej połowie XIX wieku i zachowała ten sam statut aż do Wyzwolenia.

— Studia, które trwały wówczas trzy lata, obejmowały lekcje dykcji, literatury ogólnej, historii teatru, śpiewu i tańca. Uczęszczało na nie około 30 studentów.

Dziś szkoła jest nie tylko kolebką aktorów, ale rodzajem uniwersytetu, gdzie kształcą się również reżyserzy teatralni i filmowi, operatorzy, mistrzowie tańców ludowych, krytycy, „dramaturgowie“. Na moją prośbę objaśniają mi to słowo, które — jeśli dobrze zrozumiałam — oznacza męczyznę lub kobietę obeznaną z wszystkimi sprawami teatru, z zadaniem tworzenia pomostu między autorem dramatycznym, a reżyserem jego utworu.

— Mamy trzystu uczniów, kontynuuje moja rozmówczyni, i każdy ma zapewnioną pracę z chwilą opu-

szczenia szkoły. Nauczanie w szkole, bardzo zbliżone do koncepcji Stanisławskiego, jest prowadzone przez profesorów rekrutowanych wśród najlepszych artystów. Wielu z nich jest laureatami Nagrody Kossutha. W programie egzaminów zawsze figuruje jakaś sztuka klasyczna — Szekspir lub Moliere, klasyczna sztuka węgierska, nowoczesna sztuka węgierska i jakaś sztuka radziecka.

— Czy wszyscy wasi studenci są zwolnieni od opłat szkolnych?

— Wszyscy otrzymują stypendium, poza tymi bardzo nielicznymi, którzy mają bogatych rodziców. Stypendium jest dostosowane do warunków rodzinnych i wynosi minimum 500 foryntów. Mamy dwa hotele, w których mieszkają nasi uczniowie. Stołują się oni w szkolnej stołówce.

— Dlaczego potrzebujecie Państwo tak dużego budynku?

— Chodzi o to, że nie tylko poważnie wzrosła liczba studentów, ale oprócz sal wykładowych i sceny musimy teraz mieć studio do robienia zdjęć filmowych, salę projekcyjną, laboratoria. U kresu swoich studiów kinematograficznych młodzi absolwenci kręcą filmy, zwłaszcza dokumentalne. Warto dodać, że większość z nich jest tak dobra, iż wyświetla się je w kinach.

Najbardziej interesuje mnie sprawa rekrutacji. W jaki sposób młoda chłopka, czy młoda robotnica, jeśli jest uzdolniona, może zostać Desdemoną lub Małgorzatą?

Czarująca dyrektorka uśmiecha się:

— Nasi profesorowie objeżdżają wielkie fabryki, które — jak Pani wie — mają swoje własne zespoły

teatralne. Oglądają oni tam przedstawienia. Ja sama odkryłam w fabryce im. Rakosiego dwu naszych bardzo dobrych aktorów. Jeden z nich gra obecnie w Teatrze Narodowym, drugi na prowincji. Kiedy teatr występuje w jakiejś wsi, przed przedstawieniem ogłasza się, że wszyscy ci, którzy interesują się teatrem, mogą zdawać egzaminy wstępne do szkoły.

* * *

Przez salę egzaminacyjną, w której mogą zająć miejsce za członkami jury, przedefiluje tego parnego czerwcowego popołudnia 15 studentów pierwszego roku.

Te młode dziewczęta i ci młodzi chłopcy będą kolejno odtwarzali dwie sceny, a raczej dwa obrazy wzięte z powieści Tibora Déry pt. **Narodziny Menyherta Simona** oraz z powieści Zygmunta Moricza pt. **Bądź dobrym aż do śmierci**, uważanej za najpiękniejszą lekturę dla dzieci w literaturze węgierskiej. W obrazie wziętym z tej powieści dekoracja przedstawia pokój college'u à la „fin du siècle”. Pewnego wieczora wkrada się do tego pokoju trzech chłopców; znajdują oni tu pakunek, który akurat otrzymał ich kolega Misi Nyilas od swej matki, biednej chłopki; obrabowują go, a kiedy dzieciak stwierdza kradzież, na dobitkę nie szczęścia spostrzega, że zgubił lub też ukradziono mu los na loterię, z którym wiązał tyle nadziei.

Scena oparta na tekście Tibora Déry pokazuje nam nędzną izbę i dwie osoby — męża i żonę. Kobieta wije się w bólach porodu. Boi się. Mąż stara się ją uspokoić, a nie mając

dość pieniędzy dla wezwania lekarza, musi przygotować się, aby samemu pomagać nieszczęśliwej, której cierpienia wzmagają się, a strach rośnie z minuty na minutę.

Wszystko to odbywa się niemal bez słów, pod uważnym okiem egzaminatorów-artystów i reżyserów — którzy obserwują i notują swoje spostrzeżenia, co do postawy i ekspresji studentów. Jak mi opowiadają moi węgierscy gospodarze, w ciągu pierwszego roku studiów uczniowie opanowują przede wszystkim sztukę poruszania się na scenie. Ta metoda nauczania sztuki odpowiedniego przybierania postawy przed nauką recytowania tekstów, służąc modelowaniu sylwetki, precyzowaniu ruchów, wyrabianiu gestów — ma tę olbrzymią zaletę, że pozwala nauczycielowi lepiej poznać możliwości ucznia, którego ma szkolić.

Istotnie, uczeń nie odtwarza po prostu tego, czego go nauczono, ale sam proponuje daną osobę sztuki, tak jak on sam ją sobie wyobraża i czuje. Ten (a raczej ta, gdyż rola, o której mowa, jest zawsze grana przez kobietę), odtwarza Misi Nyilasa raczej zrewoltowanego niż zasmuconego; inny przedstawia złodzieja raczej żalującego swego czynu niż zakłopotanego; jeszcze inny pokazuje męża nie odchodzącego od zmysłów, ale działającego metodycznie. Jury zwraca uwagę, czy nie traci on zbyt wiele czasu na pocieszanie swojej żony, czy układa ją jak najlepiej w łóżku, czy pomyśli o umyciu rąk, itd itd...

Sędziowie są surowi. Dyskusja trwa dość długo.

Znajduję się w fabryce sprzętu optycznego w Budzie, gdzie przybyłam, aby obejrzeć należący do fabryki bardzo ładny dom kultury. Część zespołu teatralnego jest właśnie zajęta próbami. Pięciu czy sześciu aktorów przechadza się po scenie z tekstami w ręku. Reżyser siedzi w pierwszym rzędzie olbrzymiej sali, lekko pochylonej ku światłom rampy.

Zbliżam się w nadziei, że mnie nie zobaczą, ale, niestety, usłyszeli moje kroki i próbę przerywają słowo powitania, na które odpowiadam stawiając od razu kilka pytań, aby jak najkrócej przerywać pracę.

Wszyscy członkowie zespołu pracują w tej fabryce. Jest dostateczna ilość aktorów i aktorek, aby można było wystawiać i komedie, i dramaty, i operetki.

— Pracujemy dużo. Próby urządzamy dwa, trzy razy w tygodniu, po zakończeniu pracy. Czasem dajemy przedstawienia dla załóg innych fabryk, które nie mają jeszcze swoich zespołów lub sali teatralnej. Koszta dekoracji pokrywa administracja fabryki, istnieje specjalna instytucja, która nam dostarcza kostiumów.

— Czy są wśród was tacy, którzy chcieliby zostać zawodowymi aktorami?

— Dwu z naszej ekipy zgłosiło się do egzaminów wstępnych na Szkołę Sztuki Dramatycznej. Niewątpliwie zostaną przyjęci.

Reżyser — a jest to reżyser zawodowy i nazywa się Geza Kőszigi — powiada, że zna wielu aktorów z fa-

brycznych zespołów amatorskich, którzy przeszli na stałe do teatru.

Pytam młode, obecne tu kobiety, co najbardziej lubią grać. Jedną pociąga raczej komedia, drugą dramat, trzecia się waha. Wszystko jest przyjemne. Najważniejsza rzecz to grać. Po to można by spędzać całe noce na nauce tekstów...

— Skoro interesuje się Pani sprawami teatru, to powinna Pani również zobaczyć dom wypoczynkowy, w którym żyją nasi starzy aktorzy.

Usłuchałam i spędziłam w tym domu — a jest jeszcze jeden taki dom na Węgrzech — kilka najpiękniejszych godzin z mojego ostatniego pobytu w tym kraju.

W hallu tej pięknej willi otoczonej ogrodem siedziała grupa starszych pań i panów. Jedna z pań — zanim zdążyłam ją powstrzymać — z nieporównaną gracją wstała ze swego fotela i podeszła do mnie, by mi ofiarować bukiet kwiatów. Spoglądałam na tę twarz zaledwie zwiędłą, o żywych oczach i uroczym uśmiechu, twarz będącą, jak gdyby przyćmionym obrazem oblicza już kiedys widzianego.

— Jestem Camilla de Holay — powiedziała. — Może sobie Pani przypomina?

— Czy nie grała pani w filmach razem z Polą Negri?

Jej oczy zabłysły silnie:

— Tak, tak, i z Astą Nielsen, i z Konradem Veidt. W Paryżu nakreśliśmy film **France Rose**, coś w rodzaju **Śpiącej Królowny**. Grałam **Marię Stuart** w Berlinie, Lipsku, Dreźnie, Hamburgu. Grałam również w **Królu Midasie**.

Na jej znak zbliża się do nas jeden z jej przyjaciół.

— Proszę pozwolić, że się przedstawię: jestem Julian Berezi. Chciałbym Pani powiedzieć, że aktorzy węgierscy wiele zawdzięczają Francuzom, którzy im dali Moliera, Ro-standa. Za mojej młodości mieliśmy, niestety, mało sztuk węgierskich. Tym bardziej lubiliśmy wasze sztuki.

Obecnie aktorzy cieszą się naprawdę dużym szacunkiem w krajach demokracji ludowej. I — jak Pani widzi — nie zapomina się o nas. W wieku 60 lat możemy przyjść tutaj, gdzie odnajdujemy cały nasz teatralny świat.

Poza aktorami w domu tym mieszkają tancerze, śpiewacy, dyrygenci, a również personel techniczny. Wszyscy otrzymują pensję wyższą od kosztów utrzymania.

— Przy tym dość często chodzimy do teatru, mówi Camilla de Hollay.

— A ja gram dziś wieczór, mówi Julian Berezi.

— Pan gra?

— Ależ tak, mimo moich 83 lat. Gram w **Romeo i Julii** rolę jednego z poetów. Gdybym przestał grać zupełnie, nie mógłbym dłużej żyć.

Zwiedziłam dokładnie cały dom. Podziwiałam jasne, pełne kwiatów pokoje. Oto jeden z nich, duży, zamieszkały przez cztery aktorki, zajęte lekturą lub kładzeniem pasjansów: „Wolimy spędzać czas razem, mamy tyle wspólnych wspomnień”. — W innym, mniejszym, wita mnie siwowłosy aktor, recytując kilka wierszy. Podziwiałam piękno mebli, dobry gust malowideł, przyjemną i lekką atmosferę.

Bardzo wzruszył mnie fakt, że umożliwia się staremu człowiekowi, **który nie mógłby żyć z dala od teatru** — wejść do swojej łóży, ucharakteryzować się, patrzeć jak podnosi się kurtyna, słuchać oklasków, które są mu tak samo niezbędne, jak troska, którą się go otacza. Wprawdzie nie ma umowy. Ale gra nadal, a więc istnieje...

Janine Bouissounouse





Rejs Pokoju

RYSZARD DEPERASIŃSKI
Sekretarz PKOP

Dr JERZY MEDUSKI
Członek PKOP
Sekretarz Komitetu Biochemicznego Wydziału II PAN

JUŻ od pewnego czasu Szwedzki Komitet Obrońców Pokoju występował z inicjatywą podjętą przez Narodowe Komitety Obrońców Pokoju państw skandynawskich zorganizowania statkiem rejsu obejmującego główne państwa leżące nad Bałtykiem, a odbywającego się pod hasłem: „Wśród narodów krajów nadbałtyckich panuje pokój i przyjaźń“.

Zamiar swój Szwedzi zrealizowali w tym roku przy współudziale Polskich Linii Oceanicznych, które zgodziły się wynająć na cele rejsu luksusowy statek m/s Batory.

Rejs Pokoju został starannie i troskliwie przygotowany przez Prezydium Szwedzkiego KOP z Bengtem Gunnäsem i Antonem Strandem na czele, i to zarówno od strony propagandowej, jak i gospodarczej, i turystycznej.

Udział w Rejsie był pełnopłatny (700 kor. szw. kl. I i 625 k. szw. kl. turyst.) i zależał jedynie od kolejności zgłoszenia.

Zainteresowanie Rejsem wśród społeczeństw krajów skandynawskich było wielkie. Zgłoszenia szybko przekroczyły przewidzianą liczbę uczestników.

Uczestnicy Rejsu pochodzili z najróżniejszych środowisk społecznych. Dla przykładu: wśród uczestniczących w Rejsie Szwedów było około 100 intelektualistów, około 200 wysoko wykwalifikowanych robotników, z czego najwięcej metalowców, około 50 rzemieślników, około 40 kobiet pracujących chałupniczo, około 30 drobnych kupców i 20 emerytów.

177 godzin na morzu

Trasę Rejsu zaplanowano w sposób następujący: odjazd 26 sierpnia ze Sztokholmu do Kopenhagi, gdzie uczestnicy w ciągu 24-godzinnego pobytu mieli zwiedzić główne zabytki miasta. Z Kopenhagi wyjazd do Wismaru (NRD), tu jednodniowy pobyt, zwiedzanie miasta oraz ośrodków fabrycznych i urzędów kulturalnych. Z NRD trasa Rejsu prowadziła do Gdyni. Pobyt w Polsce zaplanowano na 2 doby. 2 września odjazd „Batorego“ do Helsinek, by stamtąd po zwiedzeniu miasta przybyć 5 września na czterodniowy pobyt do Leningradu.

Takie zaplanowanie trasy umożliwiło uczestnikom przyjrzenie się z bliska rozwojowi gospodarczemu krajów demokracji ludowej i ZSRR.

Ponieważ uczestnicy Rejsu przebywać mieli 177 godzin na morzu na pokładzie „Batorego“, organizatorzy postarali się, aby czas pobytu spędzony był przyjemnie i celowo i dlatego zorganizowali szereg pomysłów imprez.

Zegnamy Sztokholm

Już na parę godzin przed odpłynięciem „Batorego“ ze Sztokholmu na Dworcu Morskim zebrały się tłumy ludzi, by uroczyście pożegnać odpływających. Rozlegają się dźwięki orkiestry ludowej, wspólnie śpiewanych pieśni, radosne okrzyki... Serdeczne przemówienie pożegnalne wygłasza laureatka Stalinowskiej Nagrody „Za Utrwalanie Pokoju między Narodami“ dr Andrea Andreén — panuje nastrój serdeczny i bliski, a uroczysty.

Ruszamy. Rejs Pokoju rozpoczął...

Natychmiast po wyruszeniu na pokładzie ukazał się pierwszy numer dziennika Rejsu pt. „Kryssar Posten“ — „Pocztą Rejsowa“. Za pomocą tego dziennika Komitet Organizacyjny Rejsu działający na „Batorem“, a składający się z delegatów poszczególnych narodowości biorących udział w wycieczce, przekazywał informacje o programie dnia, o imprezach na statku, podawał wiadomości radiowe.

Współzycie ośmiuset uczestników Rejsu Pokoju było wzorowe i pięknie świadczyło o możliwościach braterskiego współzycia narodów.

Wśród uczestników Rejsu mieliśmy wspaniałą szwedzki kwartet smyczkowy, w skład którego prócz Bernta CARSEBERGA, Carla LINGA, Lennarta BERGSTROMA, wchodził najwybitniejszy i najbardziej znany dzisiaj skrzypek szwedzki i kompozytor Tedde OHLSSON.

Wśród uczestników mieliśmy także szwedzki ludowy zespół taneczny w barwnych strojach, piosenkarczy i harmonistów. A do umilenia nastroju przyczyniła się też niemało orkiestra „Batorego“. Te możliwości pozwalały organizować na pokładzie wspólne imprezy artystyczne, które — obok festiwalu filmów duńskich, polskich, radzieckich i szwedzkich, obok wieczorów tanecznych i pogadanek — niezwykle wzbogaciły pobyt na statku.

Trzeba tu podkreślić ofiarność pracowników organizacyjnych Rejsu, których niedospane noce spędzone nad „zapięciem wszystkiego na ostatni guzik“ niemało przyczyniły się do powodzenia imprezy. Przyczyniła

fredskrysningen

26/8 – 1954 – 10/9



Mapka trasy Rejsu Pokoju

sie do tego również nie mało uprzejmość, troska, jaką załoga statku otaczała uczestników Rejsu.

Kopenhaga — Wismar

Nazajutrz po wypłynięciu ze Sztokholmu, tj. 27.VIII o godz. 6 wieczór „Batory“ dopłynął do Kopenhagi. Oczekiwały tu tłumy ludzi. Jak w Sztokholmie — sztandary, transparenty, orkiestra. W imieniu Duńskiego Komitetu Obrońców Pokoju wita nas prof. Mogens Fog. Późny wieczór uczestnicy spędzili w Tivoli, a nazajutrz grupami zwiedzaliśmy osobliwości Kopenhagi, jej muzea, zwłaszcza muzeum sztuki Thorwaldsena (gdzie znajdują się m. in. projekty gipsowe warszawskich pomników: Kopernika i księcia Józefa), muzeum narodowe, ogród zoologiczny...

Do Wismaru (NRD) „Batory“ przybił 29 sierpnia o ósmej rano. Przewieziono nas małymi motorówkami do miasta; cała ludność portu wyległa na ulice, by nas powitać. Zwiedziliśmy Wismar i wiekowe hanzeatyckie miasto Rostock ze starym uniwersytetem, odbudowującym się z gruzów starym miastem i stoczną, której załoga podejmowała nas w swoim klubie robotniczym.

Goście skandynawscy w Polsce

Cała podróż „Batorego“ odbywała się przy pięknej pogodzie. Jedynie odcinek Wismar — Gdynia był nieprzyjemny. „Kiwało“ bardzo. Ale to zupełnie nie wpłynęło na nastroje uczestników Rejsu w Polsce. Pobyt w Gdyni, Gdańsku, Oliwie i Sopocie — zwiedzenie Politechniki Gdań-

skiej, gdańskiej „Starówki“, koncert na zabytkowych organach w Oliwie, wieczór artystyczny w Operze Leśnej w Sopocie i szereg innych ciekawych punktów programu pobytu na Wybrzeżu — pozostawiły głębokie wrażenie u naszych gości.

Zegnano Polskę bardzo serdecznie. Sekretarz Norweskiego Komitetu Obrońców Pokoju, panj Solveig Sunmann mówiła: **„Z podziwem i radością śledziliśmy niewiarygodny niemal, a przecież przez Was podjęty i wykonywany trud nad odbudową Waszego Kraju...”**

Przy dźwiękach melodii „Hymnu Młodzieży“ śpiewanego przez wszystkich — gości i polskich gospodarzy — w ich własnych językach, „Batory“ opuszczał Gdynię...

W drodze do Helsinek dwukrotnie wyświetlono film „Warszawa“ w wersji angielskiej, a uczestnicy z zainteresowaniem wysłuchali pogadanek o życiu i osiągnięciach Polski Ludowej.

Przez Helsinki do Leningradu

Do Helsinek przyjechaliśmy 3 września o godz. 9 wieczór. Mimo że mgła opóźniła nasz przyjazd o 3 godziny, w porcie oczekiwał nas kilkutysięczny tłum.

Z jednodniowego, bardzo dobrze zorganizowanego pobytu w Helsinkach wymienimy wizytę u najwybitniejszego z żyjących rzeźbiarzy fińskich, laureata Nagrody Światowej Rady Pokoju, Wainö Aaltonena, którego pracownia zrobiła duże wrażenie na zebranych — oraz wieczór w Parku Źródeł, w centrum Helsinek, gdzie odbyło się spotkanie u-

czestników Rejsu z mieszkańcami miasta i skąd pochodem z pochodniami wróciliśmy na statek.

* * *

Rankiem 5 września zbliżamy się do portu leningradzkiego. Pokłady „Batorego“ pełne ludzi. Wjeżdżamy do portu. Powoli „Batory“ przepływa przez kanał portowy. Witają go rosnące w miarę posuwania się naprzód tłumy na wybrzeżach. Potężnieją okrzyki. Uczestnicy wołają „Fred och vanskap“, „Rauha“ — „Miru mir“ odpowiadają leningradzcy. Statki stojące w porcie witają nas syrenami. Zbliżamy się do Dworca Morskiego. Na brzegu orkiestry marynarzy radzieckich grają marsze i pieśni ludowe. Tłumy z kwiatami, sztandarami, transparentami oczekują na moment przybicia. Nareszcie! Opuszczają się trapy, uczestnicy Rejsu schodzą na brzeg. Serdecznie witają nas mieszkańcy Leningradu. Poddiegają mali pionierzy i wręczają każdemu naręcza kwiatów. Uściski, pocałunki...

Po oficjalnych powitaniach i uroczystym obiedzie pojechaliśmy do Parku Zwycięstwa, gdzie szeroką i piękną Aleją Zwycięstwa doszliśmy do pomnika Kirowa i stadionu im. Kirowa. W koło zieleni, przestrzeń, spokój i dostojeństwo.

Radzieccy gospodarze dołożyli wszelkich starań, by umożliwić nam jak najlepsze poznanie pomników architektury i tradycji kulturalnych Leningradu, by ułatwić nam poznanie warunków życia i pracy mieszkańców miasta Lenina.

Miasto - Bohater — Leningrad — po Moskwie najważniejsze centrum przemysłowe, kulturalne i naukowe ZSRR, kolebka Wielkiej Rewolucji Październikowej — jest dziś jednym z najpiękniejszych miast świata.

Rzeki Newa i Fontanka, liczne kanały, szerokie i piękne ulice i prospekty, długie wybrzeża z piękną jednolitą architekturą utrzymaną w stylu klasycznym XVIII i pierwszej połowy XIX w. Dużo zieleni — parki, stadiony. Przede wszystkim jednak radośni i weseli, przyjaźni i bardzo dla nas serdeczni mieszkańcy — oto jak widzieliśmy Leningrad.

Co wieczór braliśmy udział w imprezach artystycznych. Oglądaliśmy przedstawienia baletowe i operowe. Słuchaliśmy koncertów, na których najwybitniejsi artyści ZSRR urzekali nas swą grą, swym głosem, czy tańcem. Dawid Ojstrach, Siergiej Obrazcow, Iwan Pietrow, Nina Maslennikowa, Wiera Dawydowa, Butrow — oto nazwiska, które pierwsze wspominamy.

Zwiedziliśmy słynne zakłady przemysłu metalowego im Stalina, kliniki, bibliotekę publiczną, Instytut Fizjologiczny w Kołtuszkach, Pałac Pionierów, Pałac Piotra i niezapomniany Ermitaż, jedno z największych w świecie muzeów sztuki.

Mówiliśmy już o serdeczności mieszkańców Leningradu. Serdeczność ta towarzyszyła nam wszędzie. Autokary z uczestnikami Rejsu pozdrawiane były przez wszystkich mieszkańców: przez starszków w parkach, przez młodzież, przez pionierów, przez kobiety i przez robotników powracających z pracy. Nawet,

wieczorami, przez samotnych przechodniów.

Pełni radosnych wrażeń — z żalem, że pobyt nasz trwał tak krótko — opuszczaliśmy Kraj Rad. Żegnały

nas tłumy mieszkańców na wybrzeżach. Śpiewaliśmy wspólnie pieśni. Głośno dziękowaliśmy zebranim leningradczykom za niezwykle przyjazne przyjęcie. Obiecuyaliśmy so-



bie wzajem walczyć o pokój — do zwycięstwa.

* * *

Rejs dobiega końca.

Nazajutrz po wyjeździe z Lenin-gradu, 10 września o 8 wieczór w Sztokholmie na wiecu pożegnalnym uczestnicy Rejsu stwierdzili w spe-

cialnej uchwale, że „podróż nasza odbyła się bez najmniejszych trudności, wszędzie podejmowani byliśmy z wielką gościnnością, świadcząca o tym, że między narodami krajów nadbałtyckich panuje przyjaźń, choć reprezentują one różne systemy społeczne“.



Kartki z notatnika

KRZYSZTOF ZAREWICZ

SPÓLDZIELCY z Krasnego serdecznie powitali gości. Dzieci obdarzyły ich kwiatami, zawiązały na szyjach czerwone harcerskie chustki, przywitały po rosyjsku. A potem goście: dyrektor Wszechzwiązkowego Instytutu Naukowo-Badawczego Hodowli Zwierząt prof. I. Kuzniecowa oraz przewodniczący kołchozu im. 1 Maja w obwodzie mińskim Wasilij Kozieł ruszyli na zwiedzenie spółdzielni. Obejrzeli oborę („— Krowy macie dobre, rasowe — mówił później prof. Kuzniecowa. — Ale za mało dają wam mleka. Trzeba więcej uwagi zwracać na silosy“), obejrzeli nowy, dwuhektarowy sad, zobaczyli maszyny, zbiory koniczyzny, równo poukładane w skrzynkach, gotowe do wysyłki pomidory („— Dobry nam dadzą dochód!“ — chwalił się przewodniczący spółdzielni, Józef Kaczorowski). Weszli do nowego spichrza.

— Tu mamy ziarno siewne — wyjaśniał przewodniczący. — Na siew dla nas i na wymianę dla indywidualnych gospodarzy. — Pszenica dobra: koszycka. A żyto też niezgorzse — włosianowskie.

Po zapoznaniu się dorobkiem spółdzielni radzieckich gości otoczył zwarty krąg spółdzielców. Zaczęły się sypać pytania.

— Jak najlepiej walczyć ze śniecią?

— Jak zorganizowane są u was brygady polowe?

— W jaki sposób zorganizowana jest w kołchozie księgowość?

— Jakie uzyskaliście plony?

— Czy siejcie rzepak?

— Ile macie szkół w kołchozie? Osiem? W tym dwie dziesięciolatki? Macie nawet technikum? No, no.

— W jaki sposób sadzicie teraz ziemniaki?

Wasilij Kozieł roześmiał się.

— To pytanie zadają nam wszyscy. I nie tylko spółdzielcy, nie tylko pracownicy PGR-ów, ale i nasi ministrowie także. Zrozumiałe: z ziemniaki to bardzo ważna uprawa. Myśmy już przeszli całkowicie na sadzenie ziemniaków systemem kwadratowo-gniazdowym. A więc do sadzenia przygotowujemy się jeszcze jesienią...



Pracownicy PGR Brus (woj. łódzkie) zastosowali po raz pierwszy w bieżącym roku dodatkowe zapylanie żyta metodą radzieckiego naukowca Musiejki. Metoda ta polega na przeciąganiu sznura po kłosach kwitnącego żyta. Dzięki temu zapylanie jest dokładniejsze i pełniejsze, co powoduje zwiększenie plonu. Na zdjęciu pracownicy PGR — Brus Mieczysław Sobczak i Stanisław Sadowski przy dodatkowym zapylaniu łanów żyta

Uważnie słuchają spółdzielcy całego wykładu o orce, sadzeniu, pielęgnacji...

— Ho, ho! Sadzeniaki nie mogą u nich ważyć mniej niż 60—80 gramów. U nas idą do sadzenia małe, a duże się kraje — dzieli się ktoś uwagą.

Jeszcze długo później przewodniczący spółdzielni tarł w zamysleniu czoło:

— Sadzą po dwa duże ziemniaki. Zgoda. Ale między jednym a dru-

gim musi być co najmniej 4 centymetry odległości. W jaki sposób to robić?

...Przysłuchując się dyskusji nagle przyszło mi na myśl porównanie: jakże inne, o ile bliższe były pytania naszych młodych spółdzielców i pracowników PGR-ów zadawane radzieckim kolchoznikom goszczącym na polskiej ziemi cztery lata temu. Jakże wiele się od tego czasu zmieniło: wyrosło doświadczenie i wiedza naszych rolników, po-

głębiła się znajomość spraw, jakimi żyje radzieckie rolnictwo, wzrosło gospodarskie poczucie odpowiedzialności za pracę i wyniki całego zespołu.

Tak, warto byłoby zestawić te spotkania sprzed czterech lat z obecnym. Następnego dnia zaczęłam przetrzucać notatki. I wówczas, raz po raz zaczęły mi wpadać do ręki różne notatki z różnych lat i różnych krańców Polski. Notatki o jednym i tym samym, ale jakże rozległym, jakże bogatym temacie przyjaźni, pomocy i przykładu Związku Radzieckiego dla Polski. Oto kilka spośród nich:

* * *

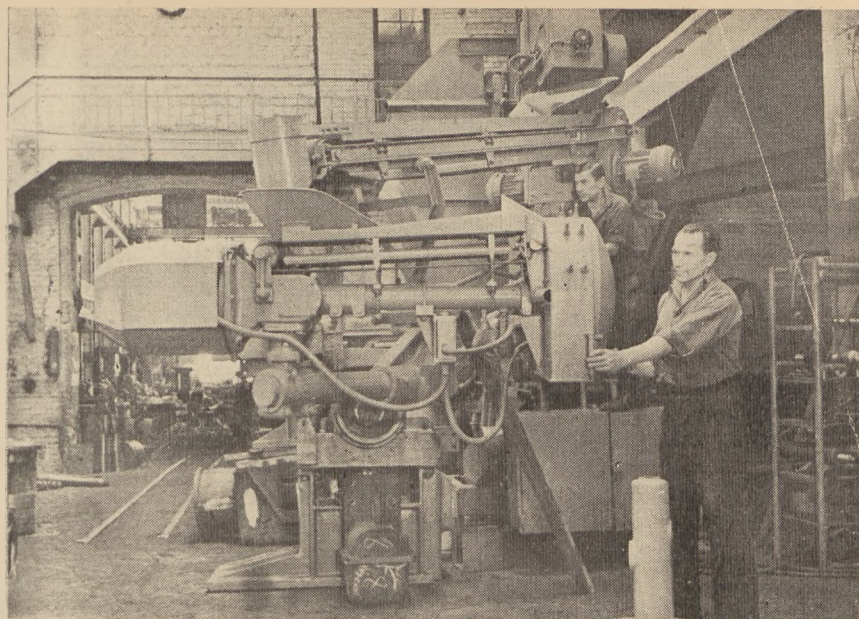
...Skrzynie. Wielkie, średnie. Stoją pod ścianami hal, w przejściach. Na nich czarne rosyjskie napisy: **„Polsza. Małaszewicze. Czerez Brest. Polimex. Zakaz.. Nariad..“** Wewnątrz skrzyń — maszyny. troskliwie zabezpieczone przed wilgocią, przed jakimkolwiek uszkodzeniem. W gotowych halach już stoją, pracują. Reszta czeka na przygotowanie dla nich miejsca. Ostatnie jeszcze nadjeżdżają.

W Poznańskiej Fabryce Maszyn Żniwnych można byłoby zrobić bardzo ciekawą mapę: pokazałaby ona, ilu to radzieckich ludzi, ile zakładów przemysłowych, położonych w najprzeróżniejszych miastach Związku Radzieckiego pracowało dla budowy i wyposażenia staroleńskiej fabryki.

Głównym projektantem, jak to się mówi fachowo, głównym inżynierem projektu fabryki, jest Borys Kopiejkin. Ale po to, by opracować projekt

tak dużego zakładu, by wykonać całą dokumentację, potrzebny był duży sztab ludzi: projektantów, inżynierów, kreślarzy. Po to, by opracować projekt fabryki, trzeba było również uprzednio znać jak najdokładniej wszelkie warunki, możliwości i trudności wynikające z terenu, na którym stanie dany obiekt. Dlatego też kronika radzieckiej pomocy dla Staroleńskiej nie rozpoczęła się z tą chwilą, gdy inż. Kopiejkin usiadł do szkicowania projektu. Zaczęła się ona jeszcze w 1950 roku — wówczas, gdy do Polski przyjechała grupa radzieckich rzeczoznawców, by pomóc nam przy rozbudowie i unowocześnianiu polskiego przemysłu maszyn rolniczych.

Zaczęła nadchodzić dokumentacja — najnowsza, oparta o ostatnie zdobycze nauki i techniki. Na teren budującej się fabryki, w której powstają nowoczesne maszyny rolnicze, z której już w końcu przyszłego roku będą wyjeżdżać długie szeregi kombajnów zbożowych, zaczęły przybywać transporty maszyn i urządzeń. Tokarka oraz duża precyzyjna wiertarka przyjechały z Moskwy. Przeciagarka i piła tarczowa pochodzi z Mińska, frezarki — z Gorkiego, wytaczarka z Leningradu. Przybyły maszyny z Kujbyszewa i Jegorjewska, z dalekiego Uralu — z Ałapajewska i Sterlitamak i z jeszcze odleglejszego Altaju... Rok budowy 1952, 1953 a nawet 1954. Najnowsze — starych typów nie ma. Nic więc dziwnego, że z zaciekawieniem oglądają je inżynierowie, że Czesław Rembalski, tokarz-narzędziowiec, który przyjechał do Staroleńskiej z Zakładów im. Stalina i już dotąd z niejedną obra-



Oto próba nowoczesnej maszyny odlewniczej, wyprodukowanej dla Polski w moskiewskiej fabryce „Krasnaja Presnia”

biarką był „za pan-brat“, z zachwytem opowiada o swojej radzieckiej maszynie nie tylko w fabryce, ale nawet u siebie w domu.

Zaczęli do Starołęki przyjeżdżać radzieccy fachowcy...

* * *

Kiedyś zanotowałem sobie słowa mgr. Tadeusza Ładykowskiego, odbywającego obecnie aspiranturę na wydziale inżynieryjno-ekonomicznym Leningradzkiego Instytutu Inżynierów Transportu Wodnego:

— Po zdaniu wszystkich egzaminów, czyli uzyskaniu tzw. minimum kandydackiego przystąpię do

pracy nad dysertacją kandydacką, opracowaniu której poświęcony będzie cały trzeci rok studiów. Chciałbym tu podkreślić niezwykle przychylne stanowisko towarzyszy radzieckich z instytutu, którzy zgodzili się na opracowywanie przeze mnie w rozprawie kandydackiej zagadnień polskich. Uniknę w ten sposób oderwania się od polskiej problematyki żeglugowej podczas trzyletniego pobytu za granicą przy jednoczesnej i nieograniczonej możliwości korzystania z radzieckich doświadczeń na tym polu.

Tadeusz Ładykowski na chwilę przerwał, namyślił się i ciągnął dalej:

— Niesłuchanie cenną rzeczą jest to, że obok korzystania z nauki radzieckiej mamy możliwość zapoznać się z życiem ludzi radzieckich, uczyć się od nich nie tylko w sali wykładowej, lecz również w życiu codziennym — prostoty, szczerości, serdecznego stosunku do innych, gorącego patriotyzmu.

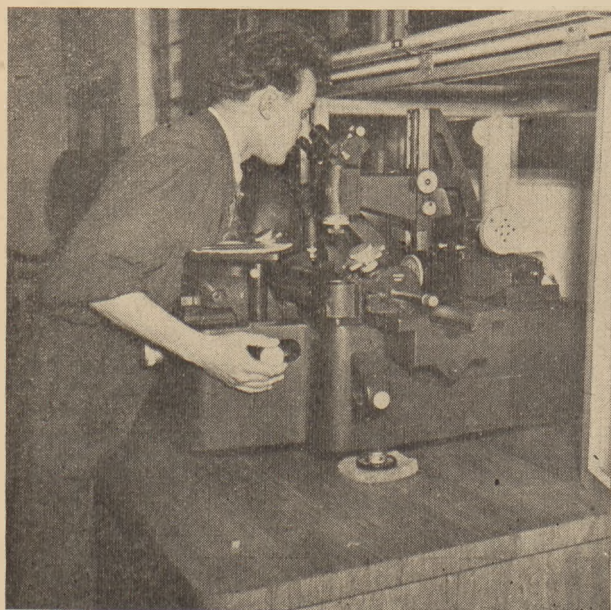
* * *

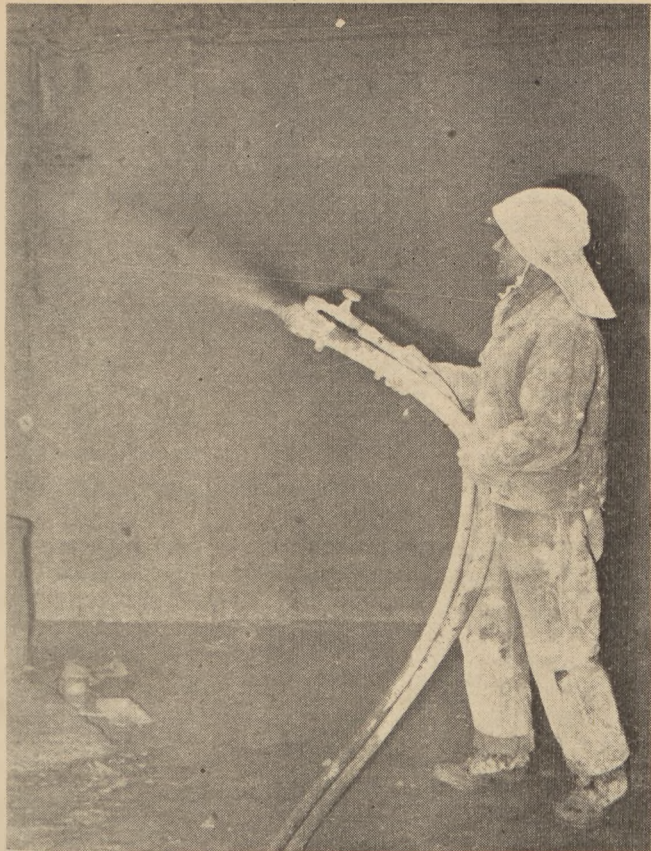
...Przyszedł z daleka. Z okopów Stalingradu, spod Moskwy, spod Kurska. Żołnierz z pięcioramienną gwiazdą na furażerze stanął nad

Wisłą, na prawym, wyzwolonym dopiero co brzegu. Przy nim stanął inny żołnierz. w rękę miał taką samą „pepeszkę“, ale na jego furażerce pobłyskiwał orzeł. Mówili do siebie: „Towarzyszu“. Potem razem wyzwalali miasto ruin i zgliszcz — Warszawę, razem szli na Berlin. Tak kładli podwaliny pod fundamenty, na których wyrósł dziś Pałac Przyjaźni...

Cztery razy przeprował się przez Wisłę — po „języka“ — zwiadowca Igor Szigolew. W czasie walk o Warszawę był kontuzjowany Iwan Malcew. Przy kierownicy jednego z

W Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu starszy pomiarowiec Roman Zieliński dokonuje pomiarów z dokładnością do dwóch dziesięciotysięcznych milimetra na aparacie, sprowadzonym ze Związku Radzieckiego





Radziecki sposób mechanicznego tynkowania; instruktor murarski Wacław Jankowski operuje wężem tynkarskim

czołgów, nacierających na Warszawę z północy, siedział Mikłaj Prutków. Wówczas też, w pamiętnych dniach stycznia 1945 roku była w Warszawie Anna Liubaszina — starszy lejtenant Armii Radzieckiej...

Niesposób wymienić wszystkich. Przecież takich jak oni: murarze Szigolew i Malcew, motorzysta Prutków, elektropawacz Liubaszina, ta-

kich jak mechanik Aleksey Jelisiejew, na którego piersi, wśród licznych odznaczeń, złoci się medal za wyzwolenie Warszawy — było i jest wśród budowniczych warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki bardzo, bardzo wielu. Wspaniały dar narodu radzieckiego dla Polski, symbol niezłomnej przyjaźni, budowały i budują niedawni wyzwoliciele Warsza-

wy, wyzwoliciele Polski, budują setki ofiarnych, dzielnych ludzi radzieckich, którzy przybyli z najprzeróżniejszych stron Związku Radzieckiego, aby pomóc przyjaciółom — Polakom. Aby pomóc szybciej wznieść Warszawę jako wspaniałe, socjalistyczne miasto. By pomóc polskim budowniczym: konstruktorom i inżynierom, murarzom i mechanikom na przyszłość — zapoznając ich właśnie na budowie Pałacu, w tej swoistej politechnice — jak to się w Warszawie często słyszy — z

osiągnięciami najbardziej nowoczesnej techniki radzieckiego budownictwa, najnowszymi osiągnięciami myśli twórczej architektów, konstruktorów, z tym wszystkim co pozwoli — i już pozwala budować nam lepiej, taniej, piękniej domy nowej Polski.

* * *

Trwają obrady III Kongresu Związków Zawodowych. Toczy się dyskusja. Zabiera głos Józef Urbański, tokarz z Zakładów Wytwór-

Murarze pracują metodą Kowalewa przy budowie osiedla warszawskiego na Ochocie



czych Aparatury Niskiego Napięcia w Toruniu. Mówi o stosowaniu nowych metod pracy, a w szczególności o tym, jak w jego fabryce zastosowano wysokowydajną obróbkę skrawaniem nożem Kolesowa.

— Było u nas 54 tokarzy i wszyscy przeszli przeszkolenie. Młodzież chętnie przystąpiła do pracy metodą Kolesowa. Do współpracy z robotnikami przystąpił również personel inżynieryjno-techniczny. Okazało się wówczas, że możemy stosować metodę Kolesowa nie tylko przy obróbce 40 detali, które ja zaproponowałem, ale przy obróbce przeszło 200 detali.

Czerpiemy bogate doświadczenia z radzieckiej literatury technicznej. Te bogate doświadczenia radzieckie i przodujące metody pracy powinny być rozpowszechniane we wszystkich naszych zakładach, ale tak u nas jeszcze niestety nie jest. Nowa metoda pracy zostaje natychmiast zarzucana, gdy natrafia początkowo na trudności. A dzieje się tak dlatego, że personel inżynieryjno-techniczny nie zawsze chce zejść w dół, do stanowisk produkcyjnych, nie pracuje wspólnie z robotnikami, tylko każdy pracuje osobno.

Dyrekcja i rada zakładowa naszych zakładów sumują co miesiąc nasze osiągnięcia. Ja sam złożyłem dwa wnioski racjonalizatorskie. Są to wnioski, które pozwalają poważnie przekroczyć normę. W styczniu br. osiągnąłem 1.000 procent normy, a teraz wykonuję nawet ponad 1.000 procent. Dochodzę do 3.000 procent. Zarobki moje wzrosły z 4.000 do 10.000 złotych miesięcznie.

Przeprowadzałem właśnie wywiad z prof. Witoldem Biernawskim, dyrektorem Instytutu Obrabiarek i Obróbki Skrawaniem w Krakowie. Rozmawialiśmy o pobycie profesora w Związku Radzieckim, o tym jakie radzieckie doświadczenia zostały już zastosowane w pracy Instytutu. Przeszliśmy na bardzo ciekawą sprawę spieków ceramicznych. I wówczas prof. Biernawski wypowiedział myśl, która wybiła się na czoło wszystkiego tego, cośmy przedtem mówili, myśl, która odnosi się do całej problematyki polskiej nauki.

— Chodzi nie tylko o to, że przenosimy do nas gotowe wzory zaczerpnięte z radzieckiej nauki i techniki. To jest niezmiernie ważna, bezpośrednia pomoc, która umożliwia nam szybki start. Ale znacznie ważniejszą od niej, dalekosiędną, jakby to można było określić, pomocą jest to, że na przykładach radzieckich naukowców, które obserwujemy — widzimy linię rozwojową dla naszej nauki. Drogi, które wytyczyli radzieccy uczeni dają nam podstawę, dają nam możliwość szybkiego rozwoju naszej myśli twórczej.

Nie było to łatwe: stworzyć polski przemysł okrętowy. Stworzyć, a potem rozwijać go, doskonalić.

Trzeba było odbudować stocznie, a jednocześnie zwalczać agentów imperializmu, którzy szantażem, demoralizowaniem załogi, sabotażem, nawet zabójstwem chcieli sparaliżować wszelkie wysiłki zmierzające do uruchomienia wielkiego polskiego przemysłu okrętowego.

Trzeba było zorganizować nowoczesną, seryjną produkcję statków. Należało opanować technikę i organizację produkcji. Odlano pierwszą w Polsce śrubę okrętową, zbudowano pierwszą maszynę okrętową, opracowano pierwszy polski projekt dużych, pełnomorskich jednostek.

Grubą księgę można by spisać o tym, co gdańscy stocznioowcy opowiadają o pracy i pomocy radzieckich inżynierów-konsultantów. O tym, jak inżynierowie Mielniczenko i Sitow opracowali całą organizację nowego wydziału ślusarni ciężkiej, o tym, jak inż. Uljanowski pomagał opanować technikę i zorganizować pracę na kadłubowni, o tym, jak to inż. Swietłow zrywał się w nocy z łóżka, „bo coś tam nie grało“ w maszynach. Opowiadają o inż. Didenko, który doprowadził wreszcie do nawiązania ścisłej współpracy między Stoczną i naukowcami z Politechniki Gdańskiej.

Większość spośród tych radzieckich konsultantów wyjechała już z powrotem do ojczyzny. Ale to czego dokonali, rady, wskazówki których udzielili — żyją po dziś dzień. Wprowadzone przez radzieckich przyjaciół nowe metody organizacji pracy czy nowe sposoby technologiczne dały już i dają nadal naszym stocznioowcom wygrane tygodnie i miesiące czasu, ogromne oszczędności trudu i kosztów.

* * *

Antonina Handzel, chłopka z Łańcuchowa powiatu gnieźnieńskiego, niedawno wróciła z Moskwy — z Wszechzwiązkowej Wystawy Rolniczej. O Wystawie może opowiadać całymi godzinami. I nie tylko opo-

wiadać, ale wyciągać z tego co widziała wnioski — dla siebie, dla całego naszego rolnictwa. Posłuchajcie bowiem co mówiła:

— Wiele nauczyłem się w Moskwie na Wszechzwiązkowej Wystawie Rolniczej. Pełną garścią czerpałam z bogatych doświadczeń towarzyszy radzieckich. Częstkę ich wiedzy i doświadczenia przywiozłam do nas — do Polski.

* * *

...Nie znalazłem notatek z pobytu kołchoźników. Można byłoby je odтворzyć jadąc dziś ówczesną trasą pobytu radzieckich gości. Chociaż — i to nie. Przecież teraz zobaczyłoby się co innego: nie wspomnienia z pobytu kołchoźników, ale konkretne przykłady tego, co dało naszym spółdzielcom, pracownikom naszych PGR-ów, naszym chłopom zastosowanie uwag, rad kołchoźników, co im dało oparcie się na radzieckich wzorach. Wówczas znalazłoby się jeszcze jedno, uzupełniające ogniwo do znalezionych notatek — jeszcze jeden przykład przyjaźni i pomocy Kraju Rad dla Polski. Tej przyjaźni i pomocy, którą odczuwamy na każdym kroku, w każdej dziedzinie naszego życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego, od dni wyzwolenia aż do dziś — od 10 lat, od pierwszych chwil, gdyśmy się wzięli do odbudowy kraju, do tworzenia w nim nowego, lepszego życia aż do dziś, kiedy z dumą stwierdzamy, że przeszliśmy w niezwykłym krótkim czasie z epoki zacofania, ubóstwa i zniszczenia w epokę postępu i rozkwitu.

WSPOLNA SPRAWA

WŁADYSŁAW SZCZERBIC

JAK co roku, obchodzimy i obecnie Miesiąc Pogłębienia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej.

Jak co roku, w ciągu Miesiąca szczególnie intensywnie i szczególnie serdecznie myślimy o tym wszystkim, co łączy nasz kraj i nasz naród z wielkim sąsiadem na Wschodzie.

W tym roku obchody Miesiąca rozpoczęły się już w pierwszej połowie września, a więc niemal w 15 rocznicę tragicznego września. Ileż refleksji nasuwa to skojarzenie.

Jaką otuchą napęłnia nasze serca fakt, że dziś kraj nasz jest członkiem potężnego obozu pokoju, że w walce przeciw ponownemu uzbrojeniu niedobitków hitleryzmu w Niemczech zachodnich czołową siłą jest niewzyciężony Związek Radziecki.

Druga wojna światowa pochłonęła 33 miliony ofiar w zabitych. Ponad połowa tej krwawej hekatombi, bo 17 milionów przypada na Związek Radziecki. Drugim z kolei krajem, który najbardziej się wykrwawił w tej wojnie, jest Polska. Straciliśmy bowiem ponad 6 milionów zabitych. Czyż trzeba bardziej przekonywającego dowodu, że ży-

wotne interesy Związku Radzieckiego i Polski Ludowej wymagają wspólnej walki przeciw powtórzeniu się takiej tragedii? Czyż tylko ten jeden wspólny interes nie stanowiłby dostatecznej podstawy dla niezłomnego sojuszu naszych dwu narodów? Znamy i cenimy wysiłki Związku Radzieckiego, aby nie dopuścić do ponownego pożaru w Europie z tych samych zbrodniczych rąk. Jasne jest, że państwo, które tak wiele ucierpiało w wojnie, które zadało decydujący cios hitlerowskiej machinie wojennej, nie może beczynnienie przypatrywać, jak amerykańskie koła agresywne znów usiłują tę machinę uruchomić. Właśnie po to, aby uniemożliwić odrodzenie agresywnych sił w Niemczech, w Uchwałach Poczdamskich, opracowanych przy decydującym udziale przedstawicieli ZSRR, przewidziano demilitaryzację i demokratyzację Niemiec, celem stworzenia warunków dla pokojowego rozwoju tego państwa. Nie podobało się to zachodnim, zwłaszcza amerykańskim protektorom niedobitków hitleryzmu. Dla nich te właśnie elementy miały stanowić główne oparcie w przygotowaniach do nowej wojny w Europie. Wkrótce po zmontowaniu agresywnego paktu atlantyckiego wiosną

1949 r. amerykański senator Walter George oświadczył:

„Ponieważ Francja i Włochy nie są dostatecznie pewne ze względu na zbyt wielką popularność partii komunistycznych w tych krajach — Niemcy zachodnie są jedynym krajem w Europie, na który mogłyby Stany Zjednoczone liczyć w razie wojny“.

Jedynym mocarstwem, które konsekwentnie realizowało i realizuje Uchwały Poczdamskie, jest Związek Radziecki. Władze radzieckie w swojej strefie okupacyjnej dopomogły siłom niemieckiej demokracji w dziele wykorzenienia faszyzmu i militarystyki. Umożliwiły w ten sposób powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Powstanie pierwszego państwa niemieckiej demokracji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ma poważne znaczenie dla narodu polskiego.

Bo oto właśnie dzięki zwycięstwu Związku Radzieckiego nad hitleryzmem, dzięki mądrej polityce radzieckiej na wschodzie Niemiec — istnieje u naszych granic pierwsze w dziejach demokratyczne państwo niemieckie, z którym łączą nas więzy współpracy i coraz trwalszej przyjaźni, państwo, które uznało nienaruszalną granicę na Odrze i Nysie, które jest ostoją wszystkich niemieckich sił pokoju, walczących o zjednoczenie Niemiec na podstawach demokratycznych i pokojowych.

Jasne, że takie rozwiązanie problemu niemieckiego leży w najlepiej pojętym interesie naszego państwa i naszego narodu. I że wobec tego, konsekwentna walka radzieckiej

dyplomacji o takie rozwiązanie jest zarazem walką o bezpieczeństwo naszego kraju, o całość naszych granic, o możliwość kontynuowania naszej pokojowej pracy.

Zjednoczenie Niemiec na podstawach pokojowych i demokratycznych usunęłoby bowiem jeden z najbardziej zapalnych punktów w Europie. Wojska amerykańskie — podobnie, jak inne obce wojska — musiałyby wtedy być z Niemiec wycofane, a więc amerykańskie koła agresywne straciłyby swoją najpewniejszą bazę na kontynencie europejskim. Co więcej, tego rodzaju rozwiązanie oznaczałoby wyeliminowanie z życia politycznego i gospodarczego Niemiec zachodnich tych faszystowskich i militarystycznych elementów, które już tylekroć ścigały nieszczęścia wojenne na narody Europy. Cały naród niemiecki otrzymałby nareszcie możliwość demokratycznego i pokojowego rozwoju.

O takie właśnie rozwiązanie problemu niemieckiego walczy Związek Radziecki od wielu lat. Ta troska o pokojowe rozwiązanie najważniejszego problemu w Europie znalazła wyraz w wielokrotnie powtarzanych notach rządu radzieckiego do mocarstw zachodnich, w wysiłkach przedstawicieli radzieckich na konferencjach ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw i przy wielu innych okazjach.

Temu celowi służą doniosłe radzieckie propozycje w sprawie utworzenia ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego.

Jak wiadomo, odbudowa Wehrmachtu w Niemczech zachodnich odbywa się przede wszystkim pod

hasłem odwetu, pod hasłem odebrania naszych Ziemi Zachodnich. Naród nasz jest więc żywotnie zainteresowany w okiełznaniu tych agresywnych apetytów z Bonn, w stworzeniu skutecznej gwarancji przeciw wszelkiej agresji w Europie.

Dlatego też całkowicie popieramy wszelkie radzieckie wysiłki zmierzające do tworzenia takich gwarancji. „**Utworzenie ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego** — stwierdzała nota radziecka z 24 lipca br. — **z równoczesnym wycofaniem z Niemiec wojsk okupacyjnych i uzgodnionym ograniczeniem policji niemieckiej aż do zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami, zapewniłoby neutralizację Niemiec, a tym samym zapobiegłoby wskrzeszeniu ogniska wojny w sercu Europy, do czego nieuchronnie prowadzi odrodzenie militaryzmu niemieckiego...**“

Zdają sobie z tego sprawę narody Europy. Nie zapomniały one tragicznych lekcji historii. Jednym z dowodów, że nie zapomniały i że wyciągnęły logiczne wnioski z tej tragedii jest bankructwo tzw. „europejskiej wspólnoty obronnej“, odrzuconej niedawno przez parlament francuski.

Niefortunni galwanizatorzy Wehrmachtu nie dają wprawdzie nadal za wygraną. Szukają nowych dróg wciągnięcia na nowo uzbrojonych Niemiec zachodnich do agresywnego bloku atlantyckiego. W związku z tym rozległ się ponownie głos przestrogi z Moskwy. Ogłoszone we wrześniu oświadczenie radzieckiego ministerstwa spraw zagranicznych stwierdza m. in., że „**niezależnie od szyldu,**

pod jakim ukrywać się będą plany wskrzeszenia militaryzmu niemieckiego — ich realizacja nieuchronnie doprowadzi do przekształcenia Niemiec zachodnich w ognisko nowej wojny i do dalszego pogłębienia obecnego rozbitcia Niemiec“.

Oświadczenie radzieckiego MSZ ponownie podkreśla, że w interesie zapewnienia bezpieczeństwa wszystkich narodów Europy leży utworzenie ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego z udziałem wszystkich państw europejskich niezależnie od ich ustroju. Utworzenie takiego systemu z udziałem Niemiec wschodnich i zachodnich „**ułatwiłoby — jak podkreśla oświadczenie — rozwiązanie problemu niemieckiego na podstawie zjednoczenia narodowego Niemiec na pokojowych i demokratycznych zasadach. Odpowiadałoby to interesom bezpieczeństwa wszystkich państw europejskich**“ — stwierdza oświadczenie.

I tak jest niewątpliwie. Pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego leży przede wszystkim w interesie sąsiadów Niemiec, leży w interesie narodu polskiego, który już tyle poniósł cierpień i strat od agresywnego imperializmu niemieckiego. Dobrze jest, że tym razem nie jesteśmy bezbronni i samotni, jak w 1939 r. Napawa nas otuchą i pewnością zwycięstwa fakt, że po naszej stronie jest wielki i potężny Związek Radziecki, że w walce o pokój i bezpieczeństwo mamy sojuszników we wszystkich krajach Europy.

Obrady Biura Światowej Rady Pokoju

Wiedeń, 13 — 15 września 1954 r.

Oświadczenie

Ostatnie wielkie wydarzenia przyniosły światu nowe nadzieje i stały się nagrodą za wysiłki tych wszystkich, którzy walczą o pokój.

Zostały podpisane porozumienia rozejmowe w Korei i Indochinach; układ o „armii europejskiej“ sankcjonujący wskrzeszenie militarystyki niemieckiej, został odrzucony przez parlament francuski.

Wysiłki czynione przez Światową Radę Pokoju, kampanie w obrobie pokoju umożliwiły zmobilizowanie narodów do działania i zorganizowania ich walki. Miliony ludzi we wszystkich krajach słusznie szczytą się dziś rolą, jaką odegrały w tym wielkim zwycięstwie.

Istnieją jednak inne niebezpieczeństwa, wymagające stałej czujności sił pokoju. Nad Europą zawisła bezpośrednia groźba, która może zniweczyć wszystkie osiągnięte rezultaty. Wskrzeszenie armii niemieckiej z włączeniem jej do składu koalicji wojennej jest w dalszym ciągu celem niektórych rządów. Uwieczniłoby to podział Niemiec, spotęgowałoby antagonizm między dwiema częściami sztucznie podzielonej Europy, jak również wzmogłoby wyścig zbrojeń.

Biuro Światowej Rady Pokoju wzywa narody, aby nie dopuściły do remilitaryzacji Niemiec, niezależnie od tego, w jakiej formie i pod jakim pretekstem miałyby ona być dokonana. Biuro wzywa narody, aby skłoniły rządy USA, Związku Radzieckiego, W. Brytanii i Francji do niezwłocznego wznowienia rokowań.

Żaden z rządów nie powinien stwarzać przeszkód na drodze do rokowań, podejmując akcję, która uniemożliwiłaby ich przeprowadzenie lub stawiając warunki wstępne.

Pokojowe uregulowanie problemu niemieckiego powinno być możliwe do przyjęcia przez każde z zainteresowanych mocarstw i przez sam naród niemiecki. Musi ono położyć kres rozbiciu Niemiec, nie powinno ono dopuścić do tego, by Niemcy zostały wykorzystane jako narzędzie groźby przeciwko któremukolwiek z ich sąsiadów, a równocześnie powinno umożliwić zorganizowanie bezpieczeństwa Europy.

Bezpieczeństwo nie może być zapewnione w świecie, podzielonym na przeciwstawne sobie bloki, w drodze tworzenia koalicji wojskowych. Bezpieczeństwo wymaga pokojowego współistnienia wszystkich państw, niezależnie od ich politycznego czy też społecznego ustroju, współpracy wszystkich państw i porozumienia w sprawie powszechnego rozbrojenia oraz zakazu broni masowej zagłady.

Aby zespolic wszystkie siły świata wokół tych wielkich zadań, Biuro Światowej Rady Pokoju postanawia zwołać na dzień 18 listopada 1954 r. sesję Światowej Rady Pokoju. Biuro proponuje umieszczenie na porządku dziennym sesji i omówienie następujących zagadnień:

- 1 Współpraca wszystkich państw europejskich w dziele zorganizowania ich wspólnego bezpieczeństwa.
- 2 Sytuacja powstała w różnych częściach Azji w wyniku obcego nacisku i utworzenia systemu bloków i koalicji wojskowych.
- 3 Sytuacja powstała w Ameryce Łacińskiej wskutek obcej ingerencji w sprawy wewnętrzne państw.
- 4 Walka sił pokoju o rozbrojenie i zakaz broni masowej zagłady.
- 5 Przygotowania do zwołania w pierwszym półroczu 1955 r. Zgromadzenia Przedstawicieli Sił Pokoju ze wszystkich krajów.

FAKTY

Komentarze



„Pakt Azji” bez Azjatów

POLITYKA imperializmu amerykańskiego znalazła ostatnio swój wyraz w podpisanym w stolicy Filipin — Manili pakcie Azji południowo-wschodniej i zachodniego Pacyfiku między reprezentującymi obóz imperialistyczny Stanami Zjednoczonymi, Francją, W. Brytanią, Australią i Nową Zelandią oraz trzema tylko państwami azjatyckimi tego obszaru — Filipinami, Syjammem i Pakistanem. Ani Indie, ani Indonezja, ani Burma, ani nawet Cejlon nie są sygnatariuszami tego paktu. Jak oświadczyła przewodnicząca ósmej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, siostra premiera Nehru, pani Lakszmi Pandit — jest to „**pakt południowo-wschodniej Azji bez południowo-wschodniej Azji**”. Pakt ten w oczywisty sposób reprezentuje interesy imperializmu amerykańskiego, a nie interesy narodu Azji południowo-wschodniej, które w swojej olbrzymiej większości są mu przeciwnie.

Od przeszło czterech miesięcy sekretarz stanu Dulles, chcąc przeszkodzić zakończeniu „brudnej” wojny we Wietnamie, zabiegał o stworzenie przez obóz imperialistyczny bloku rzekomo „obronnego”, na wzór agresywnego bloku atlantyckiego, na obszarze południowo-wschodniej

Azji i zachodniego Pacyfiku. Rząd brytyjski uchylał się od tej koncepcji Dullesa, wysuwając jako argument, że wobec zwołania konferencji genewskiej należy odczekać wyników Genewy. Rozmowy waszyngtońskie w końcu czerwca między Eisenhowerem i Dullesem a Churchilllem i Edenem poświęcone były częściowo również sprawie takiego paktu. Churchill i Eden zgodzili się wówczas na to, aby przystąpić do opracowywania paktu Azji południowo-wschodniej, ale Amerykanie zgodzić się musieli ze stanowiskiem brytyjskim, że z zawarciem paktu zacząć trzeba aż do zakończenia konferencji genewskiej.

Zawarty w Manili pakt znacznie odbiega od wzoru, jaki miał na myśli Dulles 4 miesiące temu. Treść paktu wyraźnie ujawnia sprzeczności, jakie i na tym tle wyrastały od szeregu miesięcy w obozie imperialistycznym. Istotą paktu jest jego artykuł czwarty, który określa sprawę militarnej pomocy. Przy ustalaniu tego artykułu powstały pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a pozostałymi sygnatariuszami głębokie rozbieżności na temat domniemanego potencjalnego agresora. Stany Zjednoczone domagały się, aby określone było wyraźnie, że w grę wchodzi tylko domniemana „agresja komu-

nistyczna". Jednakże na żądanie W. Brytanii, Australii i Pakistanu słowo „komunistyczny“ zostało ze wszystkich klauzul układu skreślone, aby uniknąć tak wyraźnego na zewnątrz prowokacyjnego wobec Chin Ludowych charakteru paktu, któremu opiera się większość państw tego obszaru Azji.

Wobec tego Stany Zjednoczone podpisały pakt z osobiwym w stosunkach międzynarodowych zastrzeżeniem, że udziela swej militarnej pomocy jedynie w wypadku „agresji komunistycznej“. Filipiny i Syjam domagały się, aby układ ustanawiał automatyczne gwarancje na wypadek domniemanego ataku z którejkolwiek strony przeciwko sygnatariuszowi paktu, ale Stany Zjednoczone przeorsowały zasadę, że każdy z sygnatariuszy decyduje samodzielnie o akcji, jaką podejmie, uwzględniając własne ustawodawstwo. W wypadku Stanów Zjednoczonych Dulles pozostawia więc decyzję Senatowi amerykańskiemu. Decyzja nie włączania do zasięgu działania paktu obszaru na północ od 21 równoleżnika pozostawia Taiwan, Hongkong, Koreę i Japonię poza zasięgiem paktu. Zależało na tym W. Brytanii, która uważa Hongkong za swoją posiadłość i nie życzy sobie tam ingerencji Stanów Zjednoczonych, a także nie chce się dać wciągnąć w prowokacje amerykańskie, jakie Stany Zjednoczone w każdej chwili zainscenizować mogą w pozostających pod ich wyłączną kontrolą południowej Korei i Japonii, a przede wszystkim — jak to już ma miejsce — na Tajwanie.

Wobec sprzeciwu W. Brytanii, a także Australii, Nowej Zelandii i Pakistanu, panu Dullesowi nie udało się wprowadzić do paktu wyrażonego stwierdzenia, że pakt dotyczy także Laosu, Kambodży i baodajowskiego Wietnamu. Stosunek paktu południowo-wschodniej Azji do tych trzech państw Indochin określony został natomiast w protokole dodatkowym, stwierdzającym, że każde z tych trzech państw Indochin, o ile czuje się zagrożone, może na wyrażone życzenie skorzystać z ochrony paktu. Protokół ten sprzeczny jest z postanowieniami konferencji genewskiej, która zobowiązała te trzy państwa Indochin do nieprzylączania się do żadnych bloków wojskowych i przekazała kontrolę nad wykonaniem warunków rozejmu neutralnej komisji trzech państw — Indii, Kanady i Polski. Dodatkowy protokół przewiduje możliwość interwencji zbrojnej z zewnątrz, czemu właśnie zapobiec ma komisja.

Agresywna istota zawartego w Manili paktu jest więc oczywista. Dlatego też pakt ten potępiony został przez opinię publiczną Azji. Premier Indii Nehru powiedział na jego temat: „Jeżeli ktoś prawdziwie pragnie pokoju, musi unikać tego, co stwarza atmosferę wojenną... Tymczasem kroki, podejmowane przez niektóre kraje pod pretekstem zapobiegania agresji, zachęcają do agresji. Układ z Manili zagraża pokojowi zamiast wzmacniać go“. Stwierdzając, że autorami paktu były głównie kraje nieazjatyckie, Nehru powiedział: „Pewne kraje łączą się po to, by bronić innych krajów, które nie chcą się z nimi wiązać. Te in-

ne kraje nie chcą ich ochrony. A tymczasem mówi się im — nie, musimy was ochraniać". Podobnie zareagowała prasa hinduska. Dziennik „Indian Express" stwierdził, że większość ludności krajów Azji odżegnuje się od zawartego w Manili paktu. „Kraje Azji potrzebują konstruktywnej polityki rozbudowy gospodarczej i stabilizacji politycznej, na co Manila odpowiedziała jedynie zapachem prochu" — podkreślił „Indian Express". Podobnie „Hindustan Times" oświadczył: „Azja południowo-wschodnia potrzebuje dzisiaj pokoju i poprawy ekonomicznych warunków bytu ludności, a nie zbrojeń i militarnych gwarancji: potrzebuje ona masła, a nie armat". To stanowisko prasy hinduskiej skłoniło londyński „Daily Herald" do stwierdzenia: „Obecna sytuacja sprawia, że popierany przez Amerykanów pakt Azji południowo-wschodniej jest zdyskredytowany w oczach wielu Azjatów. To właśnie niepokoi W. Brytanię, bo wystawia nas i kraje Brytyjskiej Wspólnoty na niebezpieczeństwo, że Azjaci i nas potraktują w taki sam sposób". A wyrażający często poglądy ministra Edena, konserwatywny „Yorkshire Post", krytykując zawarty w Manili pakt, przyznał, że „opinia publiczna w Indiach energicznie występuje przeciwko paktowi, traktowanemu jako europejską interwencja w Azji". Słusznie przeto Agencja Nowych Chin określiła pakt jako „narzędzie agresorów amerykańskich, którzy za jego pomocą chcą zaostrzyć napięcie w Azji i dokonać zamachu na niepodległość, bezpieczeństwo i pokojowe życie narodów azjatyckich". „Au-

torzy tego projektu — napisała moskiewska „Prawda" — stawiają sobie zupełnie konkretnie agresywne cele: zdławienie sił walczących o pokój, wolność i niezawisłość narodową w Azji". Zaś oświadczenie radzieckiego ministerstwa spraw zagranicznych na temat podpisanego w Manili paktu Azji południowo-wschodniej napiętnowało ten pakt jako nowe ugrupowanie militarne i stwierdziło, że układ ten stanowi „blok mocarstw kolonialnych", u którego podstaw „tkwią imperialistyczne cele utrzymania ich pozycji gospodarczych i politycznych w Azji, gdzie sytuacja zmieniła się radykalnie, zwłaszcza w związku z historycznym zwycięstwem wielkiego narodu chińskiego, który położył kres obecnemu uciskowi, ustanowił w swym kraju władzę ludową i wkroczył zdecydowanie na drogę postępu gospodarczego i kulturalnego". „Rząd radziecki — podkreśla oświadczenie — może traktować konferencję w Manili i podpisanie tego układu jedynie jako poczynania wymierzone przeciwko interesom bezpieczeństwa w Azji i na Dalekim Wschodzie oraz jednocześnie przeciwko interesom wolności i niezawisłości narodów azjatyckich".

Rozwój wydarzeń w Azji świadczy jednak o tym, że imperialistyczne knowania amerykańskie w rodzaju paktu Azji południowo-wschodniej nie są w stanie powstrzymać ruchu narodowo-wyzwoleńczego setek milionów ludzi w Azji do wolności i niezawisłości narodowej. Zwłaszcza Indie, Burma i Indonezja tworzą blok, przeciwstawiający się paktowi z Manili. Rządy tych trzech

mocarstw azjatyckich prowadzą konsekwentną politykę uniezależnienia Azji od wpływów mocarstw imperialistycznych. W tym kierunku niezwykle doniosłe są kontakty premierów tych mocarstw między sobą oraz kontakty ich z rządem Chin Ludowych. Najbardziej doniosłym posunięciem stanie się wizyta premiera Indii Nehru w połowie października w Pekinie. Przed tą wizytą premier Indonezji Sastroamidżo odwiedził premiera Nehru w Delhi i premiera U Nu w Burmie. Również Nehru po drodze do Pekinu zatrzyma się w Rangunie dla przeprowadzenia rozmów z premierem U Nu. W komentarzu swego korespondenta w Delhi, francuska agencja AFP pisze na ten temat:

„Rozmowy, jakie się odbędą między przedstawicielami tych trzech krajów (Indie, Indonezja, Burma), będą miały prawdopodobnie na celu spreeczowanie ich wspólnego stanowiska przed podróżą Nehru do Pekinu, gdzie wystąpi on — dzięki krajom, które będzie reprezentować — jako prawdziwy rzecznik krajów południowo-wschodniej Azji. Chodzi więc tu o odpowiedź na pakt z Manili, zmierzającą do wykazania, że pakt ten w rzeczywistości grupuje kraje nienależące do tego obszaru geograficznego, oraz że stanowi przejaw interwencji amerykańskiej w tej części świata“. AFP wyraża obawy co do możliwości utworzenia przez te trzy wpływowe kraje południowo-wschodniej Azji bloku z Chinami, co zgrupowałoby olbrzymią masę polityczną i ludzką i mogłoby mieć jako zjednoczenie połowy ludności

globu ziemskiego poważne konsekwencje na przyszłość.

IX Sesja ONZ

21 września rozpoczęła w Nowym Jorku swoje obrady dziewiąta sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.

Zaczęło się od zgrzytu, który zaważy na losach obecnej sesji i sprawi, że nie będzie ona w stanie sprostać podstawowym wymogom Karty ONZ, o ile chodzi o rolę ONZ jako organu międzynarodowego, zabezpieczającego pokój światowy. Zgrzytem tym było potraktowanie przez dowodzoną przez Amerykę mechaniczną większość sprawy udziału w pracach Zgromadzenia największego kraju na świecie, Chin Ludowych. Na samym początku sesji szef delegacji radzieckiej, wiceminister Wyszynski złożył projekt rezolucji, domagającej się, aby przedstawiciele Chińskiej Republiki Ludowej zostali dopuszczeni do Zgromadzenia Ogólnego i wszystkich organów Narodów Zjednoczonych.

Reprezentowanie 600-milionowego narodu chińskiego w ONZ przez zgromadzoną na Formozie klikę Czang Kai-szeka jest nie tylko sprzeczne z postanowieniami Karty ONZ, ale również zagraża pokojowi na Dalekim Wschodzie. Uznawanie sprzecznego z postanowieniami Karty prawa kliku kuomintangowskiej do reprezentowania narodu chińskiego prowadzi bowiem do zachęcania band Czang Kai-szeka do podejmowania ataków na kontynent chiński i do pirackich napaści na morzach na żeglugę międzynarodową. Wszystko to dzieje się z błogo-

sławienstwa i pod protektorem Stanów Zjednoczonych.

Wniosek min. Wyszyńskiego zmierzał do tego, aby skończyć z tą uwłaczającą godności ONZ i zagrażającą pokojowi świata praktyką. Ale rząd amerykański jeszcze cyniczniej niż kiedykolwiek wywarł swój nacisk, aby na obecnej sesji nie dopuścić do żadnej decyzji w interesie pokoju światowego i sprawiedliwości międzynarodowej. Z pomocą swej notorycznej mechanicznej większości rząd amerykański doprowadził do narzucenia Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych i tym razem swojej woli. Wniosek o dopuszczenie Chin Ludowych do udziału w dziewiątej sesji ONZ odrzucony został 43 głosami przeciw 11 przy 6 wstrzymujących się.

11 głosów, które padły za dopuszczeniem Chin Ludowych, to głosy Związku Radzieckiego i krajów ludowej demokracji (w ich liczbie Polski), głosy trzech państw skandynawskich — Szwecji, Danii i Norwegii, głosy Jugosławii, Indii i Birmy. 6 państw wstrzymujących się — Indonezja, Egipt, Afganistan, Syria, Arabia Saudyjska i Yemen—to państwa azjatyckie i arabskie, będące w zasadzie zwolennikami udziału Chin Ludowych w pracach ONZ, ale nie chcące się narazić Stanom Zjednoczonym. Państwa te wraz z Chinami liczą półtora miliarda ludności — przeszło połowę ludności całego globu ziemskiego. Sprawa tak istotna dla pokoju światowego zadecydowana więc została wbrew interesom większości ludzkości przez takie państewka, jak Costa Rica, Nikaragua czy Honduras. Na tle tej decy-

zji ujawnia się cała sztućeczność obecnej struktury ONZ, którą wyzyskują Stany Zjednoczone dla zachowania swej, zmniejszającej się zresztą z roku na rok, mechanicznej większości.

Ale mimo tej sprzecznej z logiką wydarzeń międzynarodowych decyzją dziewiątej sesji ONZ, sprawa dopuszczenia Chin Ludowych nie stoi już dzisiaj w opinii całego świata, nie wyłączając Ameryki, na tej samej płaszczyźnie, co stała rok temu. W ciągu tego roku dużo się zmieniło. Udział Chin w konferencji genewskiej i aktywna rola, jaką Chiny odegrały w doprowadzeniu do rozejmu w Indochinach, kontakty min. Czou En-laia z Mendes-Francem, z Edenem, z Nehru, olbrzymi wzrost autorytetu Chin w Azji — wszystko to dowodzi, że bez aktywnego udziału Chin Ludowych jako piątego wielkiego mocarstwa decydowanie o najważniejszych sprawach międzynarodowych nie jest możliwe. I dlatego bez udziału Chin Ludowych dziewiąta sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych nie będzie mogła odegrać tej roli, do jakiej predysponuje ją Karta NZ.

Porządek dzienny dziewiątej sesji obejmuje 66 punktów. Wśród tego obfitego programu jest kilka spraw, które posiadają istotne znaczenie dla podstawowego celu ONZ — zabezpieczenia pokoju światowego. Po większej części na porządku dziennym znajdujemy „starych znajomych“. Jest więc ciągnąca się od szeregu lat, wniesiona przez Indie sprawa dyskryminacji rządu Południowej Afryki w stosunku do ludności hinduskiej i odmowa tego rzą-

du udzielenia Radzie Powszechnej sprawozdań o sytuacji na terytorium mandatowym Afryki południowo-zachodniej. Są wysuwane przez kraje arabskie już po raz czwarty, sprawy wolności narodów arabskich w Maroku i Tunisie. Z nowych spraw tego rodzaju porządek dzienny dziewiątej sesji zawiera sprawę przyłączenia Zachodniej Nowej Gwinei do Indonezji. Porozumienie zawarte pomiędzy Indonezją a Holandią odnośnie Archipelagu Wypłw Indonezyjskich nie obejmowało Zachodniej Nowej Gwinei, której stan prawny określony miał być w rok później. Indonezja domaga się włączenia Zachodniej Nowej Gwinei do swego terytorium państwowego i postawiła tę sprawę na porządku dziennym obecnej sesji ONZ. Grecja zaś wysunęła sprawę sytuacji wyspy Cypru pod rządami brytyjskimi. Jest jeszcze na porządku dziennym szereg innych spraw z zakresu uciskania ludów kolonialnych przez państwa imperialistyczne. Nagromadzenie tych spraw na porządku dziennym ONZ jest dowodem wzrostu ruchu narodowo-wyzwoleńczego ludów kolonialnych i uciskanych, z którym obóz imperialistyczny musi się coraz bardziej liczyć jako z aktywnym czynnikiem w polityce międzynarodowej.

Sprawa, która niewątpliwie mogłaby w walce o pokój świata odegrać przełomowe znaczenie, jest znajdująca się znowu na porządku dziennym sesji ONZ sprawa rozbro-

Wchodzi ona na porządek dzienny obrad dziewiątej sesji pod postacią raportu specjalnej komisji rozbrojeniowej ONZ, która obradowała w ciągu tego roku, ale nie do-

prowadziła do uzgodnienia przeciwnych poglądów obozu imperialistycznego a Związku Radzieckiego na ten temat. Obóz imperialistyczny w dalszym ciągu przeciwstawia się radzieckim propozycjom natychmiastowego przystąpienia do zmniejszenia efektywów o jedną trzecią oraz bezwzględnego zakazu użycia i produkowania broni atomowej. Mało jest danych na to, że obóz imperialistyczny zmienił swoje stanowisko i że dziewiąta sesja ONZ da pod tym względem lepsze wyniki niż sesje dotychczasowe.

Warto przy tym zwrócić uwagę na zapowiedź Dullesa wniesienia przez Stany Zjednoczone pod obrady Zgromadzenia projektu „poolu” atomowego — znajdującego się pod egidą ONZ międzynarodowego organu, z udziałem—według pierwotnego planu — siedmiu państw, a mianowicie Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji, Kanady, Belgii, Australii i Afryki Południowej. Plan ten łączy się z zeszłorocznym planem Eisenhowera utworzenia ogólno-światowego poolu atomowego, rzekomo w celu wykorzystania energii atomowej w celach pokojowych. Ten plan Eisenhowera z 8 grudnia 1953 r. został zdemaskowany przez oświadczenie radzieckie z 21 grudnia 1953 r., które stwierdzało, że propozycja wydzielenia na cele pokojowe jedynie pewnej niewielkiej części zapasów materiałów atomowych oznacza, iż podstawowa masa będzie nadal przeznaczona na produkcję nowych bomb atomowych i wodorowych, oraz że pozostaje pełna możliwość dalszego gromadzenia broni atomowej i tworzenia nowych rodzajów tej broni o

jeszcze większej sile niszczycielskiej. „**A zatem — stwierdzało oświadczenie radzieckie — propozycja ta w obecnej formie niczym nie krępuje państw, mających możność produkowania broni atomowej i wodorowej.**” Propozycja prezydenta Eisenhowera w niczym nie ograniczała też samej możliwości stosowania broni atomowej i dlatego nie zmniejszała niebezpieczeństwa agresji atomowej. To samo odnosi się do obecnej propozycji amerykańskiej, która pod płaszczykiem rzekomego wykorzystania energii atomowej dla celów pokojowych usiłuje ustanowić częściowy chociażby monopol Stanów Zjednoczonych nad podstawowymi surowcami, niezbędnymi dla produkcji atomowej.

Plan amerykański nie jest więc niczym więcej, jak pewnego rodzaju dywersją, mającą na celu — podobnie, jak w roku zeszłym propozycja Eisenhowera — odciągnięcie uwagi opinii publicznej od istoty zagadnienia atomowego, wobec rosnącego na całym świecie żądania zakazu używania energii atomowej dla celów wojennych.

Perspektywy wyborów do 84 Kongresu

2 listopada w Stanach Zjednoczonych odbędą się wybory do Kongresu. Wyborom podlega cała Izba Reprezentantów, a mianowicie 432 posłów z 48 stanów oraz jedna trzecia członków Senatu. Kadencja posłów do Izby Reprezentantów trwa dwa lata, natomiast kadencja 96 senatorów trwa sześć lat z tym, że co dwa lata jedna trzecia Senatu jest odnawiana. W wyborach obecnych, o-

prócz jednej trzeciej, czyli 32 senatorów, podlegających automatycznie wyborom, zadaniem wyborców będzie również przeprowadzenie wyborów uzupełniających w pięciu innych senackich okręgach wyborczych, opróżnionych z powodu śmierci lub innych przyczyn. Ogółem więc wybory do Senatu dotyczą w tym roku 37 senatorów.

Z reguły wybory kongresowe do Izby Reprezentantów i częściowo do Senatu, nie odbywające się łącznie z wyborami prezydenckimi i określane dlatego jako wybory „mid-term” — to znaczy wybory w środku pomiędzy jedną kadencją prezydencką, a drugą (kadencja prezydencka trwa cztery lata), nie posiadają w życiu politycznym Stanów Zjednoczonych takiego znaczenia, jak wybory kongresowe połączone z wyborami prezydenta. Masy wyborców zainteresowane są daleko więcej w wyborze prezydenta, bo z jego osobą związana jest w Ameryce faktyczna władza, nadająca ton i kierunek całej polityce kraju. Bezpośrednim skutkiem tego stanu rzeczy jest powtarzający się stale fakt, że w wyborach prezydenckich frekwencja jest daleko wyższa aniżeli w wyborach „mid-term”. Nawet w wyborach prezydenckich zdarza się, że daleko większa ilość głosów oddawana jest przy głosowaniu bezpośrednio na osobę prezydenta niż w tym samym czasie na posłów do Izby Reprezentantów lub senatorów. Objawia się to zwłaszcza, gdy w walce prezydenckiej występuje kandydat posiadający popularność, wykraczającą poza ramy popularności czysto partyjnej. Tak było w ostatnich wy-

borach w 1952 r., gdzie na kandydaturę Eisenhowera jako kandydata republikańskiego padło o 5 milionów głosów więcej aniżeli głosowało na republikańskich kandydatów do Izby Reprezentantów i Senatu. / Podobnie było czternaście lat temu, w roku 1940, gdy toczył się bój o fotel prezydencki między dwoma popularnymi kandydatami — Rooseveltem i Willkiem. Tradycyjną cechą charakterystyczną wyborów „mid-term“, stanowiących z natury rzeczy wydanie sądu o pierwszych dwóch latach rządów danego prezydenta, jest częściowe odwracanie się wyborców od prezydenta, którego wybrali dwa lata wcześniej. Wybory „mid-term“ są więc zazwyczaj dla rządu u władzy mniej korzystne aniżeli wybory, które mu tę władzę przekazały. Tradycja ta przełamana została po raz ostatni dwadzieścia lat temu, gdy poparcie masowe, które wyniosło na fotel prezydencki Franklina Roosevelta, było po dwóch latach jeszcze tak silne, że wystarczyło w 1934 r. w wyborach „mid-term“ dla zachowania wpływów partii demokratycznej w Kongresie w rozmiarach nie mniejszych, jak przy wyborach prezydenckich w 1932 r.

Prognoza publicystów amerykańskich nie jest dla obecnego prezydenta optymistyczna. Reakcyjny republikański publicysta Dawid Lawrence przewiduje na łamach „New York Herald Tribune“ klęskę partii republikańskiej. Zdaniem Lawrence'a rozdział panujący w łonie partii republikańskiej między Eisenhowerem a Mac Carthym doprowadzić może do tego, że wielu wyborców republikańskich nie popatuguje się

do urn wyborczych i przez swoją abstynencję pomoże demokratom. Lawrence stwierdza, że od pewnego czasu Eisenhower daje posłuch wyłącznie tzw. „liberalnemu“ skrzydłu partii republikańskiej, odpychając tym samym wyborców republikańskich o bardziej typowym, reakcyjnym republikańskim obliczu. Lawrence atakuje Eisenhowera zwłaszcza za krytykę, jakiej prezydent celowo nie szczędził na swoich konferencjach prasowych w stosunku do senatora Mac Carthy. „**Miliony wyborców republikańskich** — twierdzi Lawrence — są obecnie tego zdania, że senator Mac Carthy prześladowany jest przez Biały Dom, ponieważ zwalczał wpływy komunistyczne w kancelariach rządowych. W chwili, gdy republikanie powinni się zjednoczyć we wspólnej kampanii przeciwko demokratom, komisja senacka, zainicjowana przez proeisenhowerowskiego senatora Flandersa, wszczęła śledztwo, mające na celu usunięcie Mac Carthy'ego z przewodnictwa komisji senackiej, badającej infiltrację komunistów do instytucji rządowych“ — lamentuje Lawrence.

Zarzut Lawrence'a nie jest słuszny. W rzeczywistości, nie zgadzając się na pozór z metodami senatora z Wisconsin, Eisenhower prześladowa jednak komunistów i wszelkich ludzi postępowych nie mniej brutalnie, niż byłby to czynił Mac Carthy, gdyby był u władzy. Niedawne akty ustawodawcze przeciwko partii komunistycznej, których inicjatorami byli usiłujący przelicytować pod tym względem republikanów demokraci, zostały przez Eisenhowera bez wahania wprowadzone w życie, aby

nie dać się pod tym względem zdyktansować przez partię demokratyczną.

Istotną bolączką rządu Eisenhowera, która według przewidywań obserwatorów odbić się może ujemnie na szansach wyborów listopadowych, jest inna sprawa — jest sprawa depresji gospodarczej i bezrobocie.

Po stronie ujemnego bilansu dwóch lat rządów Eisenhowera znany publicysta „New York Timesa“, James Reston zapisuje także nieumiejętne prowadzenie polityki zagranicznej przez Dullesa. Główną i zyczną krytyki polityki zagranicznej USA wśród wyborców jest według Restona **„lekkomyślna i nierealistyczna postawa wobec chińskich nacjonalistów i chińskich komunistów“**.

Również tygodnik „US News and World Report“ stwierdza, że partia republikańska stoi w obliczu poważnych trudności. Przedmiotem krytyki w akcji wyborczej jest według tego wpływowego tygodnika polityka gospodarcza i socjalna. „US News and World Report“ zalicza do krytyków nie tylko opozycję demokratyczną, lecz także urzędników państwowych, których żywo dotknęła odmowa prezydenta Eisenhowera podwyższenia ich płac; rolników, których sytuacja pogorszy się w związku z zamierzonym w przyszłym roku zmniejszeniem powierzchni uprawnej; robotników zrzeszonych w związkach zawodowych, podlegających kontroli ogólnokrajowej komisji pracy (National Labour Relations Board), zarzucających tej instytucji, że chroni ona tendencyjnie interesy pracodawców. Ataki skierowane są

również, z daniem amerykańskiego tygodnika bezpośrednio przeciw osobie Eisenhowera, któremu zarzuca się, że tworzy dookoła siebie karmyrlę i popiera swoich osobistych przyjaciół przy rozdziale rozmaitych zamówień państwowych.

Do przedstawionych w ten sposób przez reakcyjną prasę amerykańską perspektyw wyborów do Kongresu, które odbędą się 2 listopada, dodaje należy, że różnice polityczne między obu przystępującymi do wyborów partiami — rządzącą republikańską a opozycyjną demokratów — są oprócz różnej, posiadającej już dzisiaj tylko historyczne znacznie sprawy mało dostrzegalne. Z doświadczenia wiemy, że polityka poprzednich rządów Trumana kontynuowana jest przez obecne rządy Eisenhowera. Walka wyborcza między obu partiami nie toczy się o odmienne koncepcje rządzenia; sprowadza się ona do walki o władzę, o stanowiska rządowe, federalne i stanowe, z wyborami związane. Władza zaś jest w USA wykładnią wpływów potężnych monopoli i trustów. Rządy władzy sprawowane są w interesie zysków Rockefellerów, Morganów, Dupontów, Mellonów, Vanderbiltoów, Harrimanów czy innych jeszcze, konkurujących ze sobą potentatów dolarowych. Działalność rządu biegnie w USA po torze, wytyczonym przez Wall Street.

I dlatego w Ameryce wybory wygrywa w ostatecznym obliczeniu nie partia republikańska czy partia demokratyczna: wygrywa je — dotąd — reprezentujący interesy konkurujących grup — kapitał.

STEFAN LITAUER

Miesięcznik „W Obronie Pokoju“ ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“ 33, rue Vivienne, Paris 2,

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace , Rassegna internazionale del mese“,
Roma, Via Savoia 82.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Jaurez 20.

CHINY: „Pae Wei Ho Ping“, Pekin, Taiehichang 9.

NRD: „Friedenswacht“, Berlin W 8 Taubenstrasse 1-2.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“, Stuttgart 0 —
Heinrich-Baumannstrasse 27.

JAPONIA: „Haiwa Yogo“, Japan Peace Committee 28.
Tamach, Bunkyo-ku, Tokio.

RUMUNIA: „In Apararea Pacii“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“, Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review“, 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi Teheran.

INDIE: „Peace Review“. 14. Munshi Niketan, Kamla Market,
New Delhi (India).

W obronie POKOJU

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obroonie Pokoju” są przyjmowane:

Na okresy kwartalne: do dnia 10-go grudnia na I kwartał, do dnia 10-go marca na II kwartał, do dnia 10-go czerwca na III kwartał, do dnia 10-go września na IV kwartał.

Na okresy półroczne: do dnia 10-go grudnia na I półrocze, do dnia 10-go czerwca na II półrocze.

Na okres roczny — do dnia 10-go grudnia.

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy.

Reklamacje prosimy kierować do P. P. K. „Ruch” — Warszawa, ul. Śrebrna 12

